ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 11/530 1991

• « La Culture » • Revue mensuelle •

R. KACZMAREK: **SYMBOLE I ZŁUDZENIA**

SMECZ: **Z UKOSA**

ZADUSZKI: T. CHRZANOWSKI: **STEFAN KISIELEWSKI;** St. SWIANIEWICZ: **WSPOMNIENIE O MOJEJ ŻONIE OLIMPII;** H. JÓZEWSKI: **POGRZEB MARII DĄBROWSKIEJ**

SPIS RZECZY

Robert Kaczmarek:	*Symbole i złudzenia*	3
Smecz:	*Z ukosa*	13
Andrzej Drawicz:	*A może by tak niekonwencjonalnie...* ..	30
Wojciech Popławski:	*Migawki z Polski*	32
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Aleksander Sołżenicyn:	*Oświadczenie*	38
Janusz Mondry:	*Stosunki sowiecko-japońskie*	39
Józef Garliński:	*List z Londynu (23)*	46
	WYWIADY „KULTURY"	
Włodzimierz Odojewski:	*Zmieniając w marszu... (O aktualnych sprawach Radia Wolna Europa — rozmowa z P. Mroczykiem)*	52
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Antoni Pospieszalski:	*Religijna zimna wojna*	60
	SPRAWY I TROSKI	
Bohdan Strumiński:	*Rosja a slawistyka amerykańska*	66
	SĄSIEDZI	
Bohdan Osadczuk:	*Ukraina, Żydzi i Rosja*	71
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	74
	ZADUSZKI	
Tadeusz Chrzanowski:	*Stefan Kisielewski*	80
Stanisław Swianiewicz:	*Wspomnienie o mojej żonie Olimpii* ..	87
Henryk Józewski:	*Pogrzeb Marii Dąbrowskiej*	104
	KSIĄŻKI	
Janina Katz Hewetson:	*Jeszcze o Singerze*	128
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	130
	POLEMIKI	
Piotr Skórzyński:	*Polska demokracja w pół drogi*	132
Jarosław Klejnocki:	*List do Redakcji*	139
	•	
—	*Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki amerykańska, kanadyjska i szwedzka* ..	142
	OKRUCHY HISTORII	
—	*Czy to tylko niedawna przeszłość? (Rozmowa dziennikarza z mjr. KGB J. Proskurinem)*	153
	•	
Ks. R. Dzwonkowski, Z.S. Siemaszko	*Listy do Redakcji*	156
—	*Odpowiedzi Redakcji*	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1991

Warszawa BN W6

INSTYTUT LITERACKI

DO CZYTELNIKÓW

Zawiadamiamy, że prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* na rok 1992 pozostają bez zmiany.

REDAKCJA

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Michalina i Piotr Ageros, Bruksela — dla uczczenia pamięci Rodziców Anny i Jerzego Stefana Langrodów	F.	500,00
Wanda Bobrowicz, Princeton, NJ (USA) — dol. US 100,00	F.	570,00
Ilse Maybach, Heilbronn/N (Niemcy), po raz 28-y	F.	469,34
Pamięci nieodżałowanego Stefana Kisielewskiego — H.K.W., San Francisco, CA (USA) — dol. US 20,00	F.	114,00
Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego w Dzień Zaduszny — Żona (Francja)	F.	100,00
François Prause, Chiangmai (Tailandia), po raz 34-y	F.	200,00
Stanisław Radwański, Paryż, po raz 15-ty	F.	500,00
Dr inż. Wojciech M. Szczygielski, Unionville, ON (Kanada) — dla uczczenia setnej rocznicy urodzin i 50-ej rocznicy śmierci swego Dziadka, Kazimierza Lucjana Pierackiego, filologa, organizatora ruchu niepodległościowego w Nowosądeckiem, oficera Legionów, wicemin. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, głównego architekta międzywojennej reformy szkolnictwa, przewodniczącego tajnej komisji Oświecenia Publicznego w latach 1939-1940, aresztowanego przez Gestapo, więźnia Pawiaka, zamordowanego w Oświęcimiu — dol. c. 100,00	F.	510,00
W piątą bolesną rocznicę śmierci dr . Maksymiliana Pszenickiego, zmarłego w Londynie 29.10.1986 r. — żona, dzieci i wnuki — £ 50,00	F.	500,00
Zamiast kwiatów na grób płk. Stefana Jellenty, weterana Legionów, nestora naszej rodziny — Stanisława i Tadeusz Polanowscy ze Stockholmu	F.	150,00

●

Fundusz Kazimierza F. Vincenza i Halszka Vincenzowa-Poniatowska, Zurich — w odpowiedzi na powstanie KOR-u inicjatorka i współzałożycielka (w 1976 r.) Hilfskomitee für die verfolgten Arbeiter in Polen — dla uczczenia pamięci Jana Józefa Lipskiego:		
— na fundusz „Kultury" — Frs 500,00	F.	1.909,85
— na Fundację Pomocy Bibliotekom Polskim — Frs 500,00	F.	1.909,85
Michał Lisiński, Winiarska Maria, Norbert Żaba, Stockholm — dla uczczenia pamięci Jana Józefa Lipskiego — na Fundację Pomocy Bibliotekom Polskim — Krs 700,00	F.	650,00

DZIĘKUJEMY

Symbole i złudzenia

Wałęsa przez lata odzwierciedlał zbiorową świadomość: instynktowny sprzeciw wobec komuny i zarazem automatyczny znak nadziei na podobieństwo amerykańskiego snu powodzenia, siły i urody, jaki uosabiali aktorzy filmowi złotej ery Hollywoodu. Celuloidowe posągi amerykańskiej fabryki marzeń nie stawiały widzom żadnych żądań, rzadko skłaniały do refleksji, jeszcze rzadziej niepokoiły stawianiem prawdziwych pytań, za to ofiarowywały najtańsze ze złudzeń, to mianowicie, które wykarmić można wiarą w symbole. Ze swej strony Wałęsa nigdy nie formułował programów, nie wdawał się w zawiłe rozważania dotyczące ekonomicznych i kulturowych źródeł polskiej nędzy; rozpięty na bramie Stoczni gdańskiej, później centralna figura stołów prezydialnych, wreszcie samotny, odizolowany od kolegów więzień, nieprzekupny mimo intensywnych zalotów reżimu — zapadł w pamięć milionów jako nieugięty znak sprzeciwu wobec zdemaskowanego w swojej słabości komunizmu. Samym swoim istnieniem dostarczał komfortu związanego z trwaniem symbolu, który zapalał światło nadziei nie wymagając przy tym zasadniczego zaangażowania. Kiedy z początkiem lat osiemdziesiątych komuna dożywała swoich beztroskich dni i naglący stawał się imperatyw zakwestionowania samych zasad ustroju, fakt istnienia związku zawodowego z charyzmatycznym przywódcą na czele pozwalał na ignorowanie budzących lęk rewindykacji czysto politycznych. Ludzie, dla których kwestionowanie politycznego systemu graniczyło z awanturnictwem, masowo garnęli się do niezależnej organizacji związkowej, dającej złudzenie reformowalności komunizmu. Kiedy zaś ustrój ostatecznie wykazał swą niezdolność do dalszego trwania i ustąpił niemal z dnia na dzień — wówczas legenda „Solidarności" i jej popularnego w świecie szefa ratowała społeczeństwo przed niepokojem, naturalnym wobec powstałej nagle pustki. Złudzenie strajkowej skutecz-

ności, oś uprawianej w latach 1980–81 zasady umiarkowania politycznego („ogłosimy strajk i zmusimy komunę do dogadania się, jak Polak z Polakiem") zastąpione zostały złudzeniem urojonych praw kombatanckich: uratowaliśmy świat przed komunizmem, zatem świat nam pomoże.

Chronologicznie rzecz biorąc, pierwszym ze złudzeń, jakie legło u podstaw rozbrajającej mitologii polskiej końca XX wieku było dostrzeganie komunizmu jako całego zła, pełnej przyczyny społecznych dolegliwości. W następstwie utrwaliło się przekonanie, że wystarczy obalić ustrój i będzie OK. Logicznie wynikał stąd w kręgach „S" brak zainteresowania dla problemów innych, niż ściśle polityczne. Po okresie umiarkowanego zainteresowania dla skądinąd źle wykorzystanej koncepcji samorządów robotniczych w roku 1981, problematyka skuteczności gospodarczej i zarządzania, podobnie jak szerszy zakres zagadnień związanych z głębokimi zmianami cywilizacyjnymi w świecie, nie znajdowały żadnego odzwierciedlenia w programach, o ile takie istniały. Ze wzrokiem utkwionym wstecz wschodzące gwiazdy politycznego parnasu snuły podstawy nowego porządku w oparciu o podwójne złudzenia: że można wszystko zmienić stosując półśrodki oraz że można dziś zasadniczo wpłynąć na rzeczywistość poprzez działalność ograniczoną do sfery czysto politycznej.

Na kolejne złudzenie pracowały pokolenia proroków opozycji, którzy przepowiadali upadek komunizmu poprzez erozję intelektualną, siłą Tyrmandowskiej „myśli". Inni — zwłaszcza obserwatorzy zachodni — oczekiwali, że zaczynem rewolty będą ogniska nacjonalizmów.

Wewnętrzny opór rozwijany w bardzo ograniczonych kręgach społecznych istotnie odegrał rolę katalizatora historii w zamrożonych dotąd dziejach Imperium, ale trudno dać wiarę kombatantom gdy mówią, że obalili ustrój. Trwał on tak długo, dokąd funkcjonowały rdzewiejące kółeczka historycznego fenomenu, w którym zniesienie własności prywatnej pozbawiło społeczeństwo podstawowego mechanizmu motywacyjnego, a zatem warunków jakiegokolwiek rozwoju. Tak zaprogramowana struktura żywić się mogła jedynie początkowym impulsem, aż do momentu, gdy jedyna możliwa w tych warunkach gospodarka ekstensywna osiągnęła granice uprawianego przez siebie rabunku surowcowego, ludnościowego i kredytowego. Obóz dobrnął do takiego stanu w latach osiemdziesiątych i załamał się wszędzie pod ciężarem własnych gruzów. Tak skończył jedyny w historii ustrój o naturze samobójczej, który rozpoczął powolne umieranie w tej samej chwili, kiedy zaistniał.

KORZENIE ZŁUDZEŃ

Jedno ze źródeł polskich złudzeń w stosunku do własnej roli w świecie wzięło się z długotrwałego odosobnienia i historycznych obciążeń narodu walczącego o przetrwanie. Polska od wieków znajdowała się na uboczu procesów kształtujących nowoczesne społeczeństwo. Takie paroksyzmy cywilizacyjne, jak średniowieczny konflikt stuły i miecza, renesansowy rozwój mieszczaństwa, wreszcie eksplozja kapitalizmu zachodziły u nas z nieporównanie mniejszym natężeniem, niż na Zachodzie. Procesy te stanowiły intensywny czynnik rozwoju prawa, które stało się kamieniem węgielnym porządku społecznego, źródłem jego dynamiki i zarazem stabilizacji. W Polsce z grubsza od trzech wieków obywatel miał do czynienia nie tyle z prawem, co z bezprawiem, najpierw wewnętrznym, później narzuconym z zagranicy. Wobec gwałtu zewnętrznego wykształcił się podstawowy obowiązek walki zbrojnej. Wraz z rozbiorami Polski trzon Europy pękł na dwie części: w jednej z nich życie człowieka przebiegało w obliczu prawa, obejmującego wszystkich, w drugiej rozwijało się pod ciężarem zbiorowego obowiązku, przyjmowanego przez niewielu. W rezultacie jedni mnożyć będą technologiczne i organizacyjne przewagi, tak jak drudzy, inkasując kolejne ciosy, pielęgnować własne złudzenia. Podczas gdy na Zachodzie *Ancien Régime* znajdował się w pełnym odwrocie pod ciosami agresywnego indywidualizmu, w społeczeństwie polskim stan zagrożenia narodowego utrwalał złudzenia o nadrzędnym znaczeniu losu zbiorowego, który miał godziwie zorganizować życie wszystkim jego członkom. Tym sposobem, gdy przyszedł czas, wpadła Polska w komunizm jak śliwka w kompot, wroga raczej imperialnej dominacji Moskwy, niż odrzucająca miraże złowrogiego ustroju. Wielu przylgnęło do teorii marksizmu, gdzie dostrzec można było odległy refleks konstruktywizmu lat walki. Wizja ładu zbiorowego nie mogła wszak być obca w narodzie, w którym od kilku pokoleń dobro Ojczyzny szło przed szczęściem osobistym. W drugiej połowie XX wieku, w sposób dość niedostrzegalny dla intelektualistów zauroczonych bolszewizmem, prowadziło to przede wszystkim do zerwania ze wszystkimi kryteriami skuteczności i rzeczywiste, to znaczy nie tylko polityczne, ale przede wszystkim kulturowe odosobnienie od reszty świata. Komunizm sprawnie wykorzystał i wzmocnił izolację od Zachodu, będącego od końca II wojny terenem stopniowego podboju przez liberalną kulturę amerykańską. Polacy przechowywali zatem cały ładunek narodowych złudzeń i dziedzictwa tego nie można się pozbyć w ciągu paru lat. W tym sensie zjawisko Wałęsy ma charakter całkowicie obiektywny

i naturalny w dziejach narodu: podobnie, jak stulecie walki zrodziło Piłsudskiego, tak dwieście lat złudzeń wysforowało na wierzch politycznej piramidy człowieka, który tych złudzeń jest najlepszą ilustracją.

OSTATNIA DEKADA POLITYCZNYCH ZŁUDZEŃ

Dziedzictwo własnej historii jako źródło narodowych iluzji jest przejawem znacznie głębszego zjawiska konserwatyzmu kulturowego. Zaliczyć tu należy przekonanie o tradycyjnie dominującej roli polityki w życiu społeczeństw. Działacze polscy zajęci od lat skomplikowanymi zabiegami personalnymi i salonowymi nie spostrzegli, że to nie polityka rządzi dziś technologią i aktualnościami, lecz na odwrót, innymi słowy znaczenie mają kategorie obejmujące wielkie rzesze ludzi. Siłę napędową cywilizacji stanowi wysiłek milionów, a rola władzy polega na aktywizowaniu ich przedsiębiorczości. Według zaś tradycyjnej formuły politycznej, przejętej bez zastrzeżeń przez nową władzę, rzeczywistość tworzy się w drodze gabinetowej kabały, spotkania na wysokim szczeblu, oświadczenia. Ćwiczenia takie bywały jeszcze skuteczne w stanie wojennym, kiedy dogorywający komunizm współżył z manifestacjami i drugim obiegiem kultury. Stanowiły one istotnie część aktualności kupowanej przez Zachód. Przez szereg lat kilku ludzi z polskiego podziemia było w stanie wywołać polityczny akt poprzez deklarację strajku lub demonstracji. Często deklaracje takie nie były poprzedzone żadnym rozpoznaniem własnych możliwości, ani zabezpieczeniem środków dla głoszonego celu. Klasycznego przykładu dostarcza historia strajku generalnego w 1982 roku. Przed jego ogłoszeniem przez TKK przeprowadzony został sondaż w kilkudziesięciu zakładach pracy, skupionych w krakowskiej strukturze zakładowej, nazwanej później MKZ Kraków. Ponad 90% ankietowanych uznało akcję za przedwczesną. O ile mi wiadomo, nie podjęto dalszego rozpoznania na innym terenie, natomiast sygnał krakowski został zignorowany. Strajk ogłoszono i oczywiście natychmiast zakończył się całkowitą klapą. Obyczaj podejmowania decyzji wyssanych z palca trwał przez cały okres stanu wojennego i wyrobił obyczaj tworzenia polityki poprzez rodzaj *non evenements*. Chodzi o wydarzenia nie istniejące na skalę społeczną, lecz zwężone do kręgu zawodowych opozycjonistów, a w miarę upływu lat coraz bardziej przeznaczone dla zachodnich środków przekazu lub bezpośrednio zachodnich ofiarodawców. Utrwaliło się przekonanie, że znaczenie aktów oporu polega na utrzymywaniu zainteresowania świata samym faktem istnienia tego oporu, niezależnie od jego rzeczywistego zasięgu.

Zachodnia optyka polskich spraw maskowała skutecznie rzeczywiste znaczenie podziemnej opozycji, związane ze stopniowym rozkładem gospodarki komunistycznej. Już od końca lat siedemdziesiątych utraciła ona wszelkie znamiona sterowalności, stawiając pod znakiem zapytania zarówno skuteczność zespołu wojskowego, uzbrojonego w rdzewiejący sprzęt, jak i lojalność wewnętrznego aparatu ucisku, dla którego zaczęło brakować przywilejów. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych niektórym środowiskom opozycyjnym, zorganizowanym w sieci międzynarodowych kontaktów, wiodło się lepiej, niż komunistycznym dygnitarzom, co właściwie oznacza podzwonne dla reżimu. Jednocześnie liczni dygnitarze komunistycznej gospodarki porzucali arenę polityczną, podejmując działalność w nomenklaturowych spółkach, z zachowaniem mafijnych powiązań i apanaży. Niemal całkowicie zdezerterowali piewcy systemu w dziedzinie kultury, przez dziesięciolecia stanowiący jego najczulszą, propagandową tkankę. Władza komunistyczna, pozbawiona swego zaplecza w postaci uprzywilejowanej warstwy pasożytów, znalazła się twarzą w twarz z wynędzniałymi rzeszami robotników, wobec których nie była już w stanie dotrzymać specyficznej, nigdy nie sformułowanej ale tym niemniej przez lata realnie istniejącej umowy społecznej, zapewniającej społeczeństwu minimum egzystencjalnego bezpieczeństwa, a władzy maksimum swobody politycznej i materialnego komfortu. Wewnętrznej izolacji władz komunistycznych towarzyszyło od początku lat 80-tych osamotnienie na arenie międzynarodowej, gdzie przestały być partnerem rządów zachodnich, ponieważ utraciły zdolność prowadzenia zbrojnych konfrontacji na peryferiach Imperium. Straciły one na atrakcyjności także jako odbiorcy nadwyżek międzynarodowego systemu finansowego, ponieważ od początku lat 80-tych nadwyżki te przeniesione zostały w obszar znacznie bardziej korzystnych spekulacji na zachodnim rynku nieruchomości, akcji, dzieł sztuki i bezpośrednio w dziedzinie monetarnej. Z drugiej strony zachodni rynek pracy oswoił się z istnieniem dużego bezrobocia, co zahamowało tendencję zapobiegania mu poprzez udzielanie pożyczek wschodnim reżimom, tym bardziej, że wobec niewypłacalności dłużników stopniowo ujawnił się sztuczny, bo tymczasowy charakter takiego środka. Wreszcie powojenna stabilność geopolityczna przestała być atrakcyjna dla rosnącej w siłę zachodniej hemisfery, ponieważ dynamika ponadnarodowych grup nie znosi politycznych granic i narzuca kryteria międzynarodowego podziału pracy na skalę planety. Nagle okazało się, że istnienie obozu komunistycznego nikomu nie przynosi korzyści.

BANKRUCTWO DYKTATUR

Upadek komunizmu jest częścią ogólniejszego zjawiska wewnętrznej przemiany ustrojów opartych o archaiczne formuły dominacji politycznej. Najnowszego przykładu dostarcza Republika Południowej Afryki, gdzie dalsze trwanie apartheidu zaczęło zagrażać interesom białych. Od strony politycznej ustawowa segregacja jednoczyła czarnych, co utrudniało Afrykanerom wygrywanie głębokich waśni międzyplemiennych. Możliwość zorganizowanego buntu całej czarnej ludności Republiki coraz bardziej hamowała rozwój gospodarki, a przy tym izolacja czterech piątych społeczeństwa pozbawiała właścicieli przedsiębiorstw wielkiego rynku konsumpcyjnego. Wreszcie koniec światowej konfrontacji amerykańsko-sowieckiej utrudnia dalsze poparcie Zachodu dla reżimu białych, tłumaczone jak dotąd koniecznością blokady dla komunizującej partii Mandeli ANC. Groźba przejęcia przez Sowiety kontroli nad strategicznym przylądkiem Afryki dziś już nie istnieje, przede wszystkim nie istnieją Sowiety.

Wszystko to oznacza utratę znaczenia apartheidu dla trwałości systemu południowoafrykańskiego. Celem zachowania uprzywilejowanej pozycji biali zrezygnowali zatem z niepewnych dziś i trudnych do utrzymania prawnych środków dominacji, stawiając na swoją przewagę ekonomiczną i umiejętność wykorzystywania mechanizmów demokracji formalnej, w czym z pewnością liczyć mogą na solidarność Zachodu. Nagła troska zachodnich rządów o rozwój południowoafrykańskiej demokracji wynika w szczególności z nowej sytuacji w krajach sub-saharyjskich, gdzie po odejściu Rosjan, Kubańczyków i wschodnich Niemców pojawiła się możliwość odzyskania utraconych ongiś wpływów. Trudno wszak szukać porozumienia z rządami czarnej Afryki popierając jednocześnie prawną dyskryminację kolorowych w RPA. Z gospodarczego punktu widzenia Zachód zainteresowany jest powstrzymaniem katastrofalnego upadku Afryki, by za wszelką cenę uniknąć syndromu oblężonej twierdzy, grożącego bogatym krajom Północy wobec pogłębiającej się nędzy regionów Południa. Nie miejsce tu wdawać się w ocenę inicjatyw Zachodu, który jak dotąd zdaje się szukać rozwiązania w drodze minimalnego wysiłku. W szczególności nikt nie kwestionuje samych zasad międzynarodowego systemu finansowego, który systematycznie zapewnia wzrost zamożności bogatych i — jeśli pominąć fenomen zbiorowej ascezy i pracowitości w regionie Azji południowo-wschodniej — osłabia zaradność ubogich. Warto jedynie zwrócić uwagę na integralny charakter przyczyn, które jak świat długi i szeroki postawiły przed tracącymi skuteczność

reżimami alternatywę — przekształcić się lub zginąć. Przemiany w Afryce stanowią część ogólnego procesu wywołanego tą sytuacją. Pozbawione sowieckiego poparcia, skonfrontowane z krytycznym zadłużeniem i ogólną katastrofą gospodarczą reżimy Etiopii, Togo, Beninu, Mali, Konga, Anglii, Mozambiku, Wybrzeża Kości Słoniowej, Nigeru, Kamerunu z dnia na dzień zrzuciły etykietę monopartyjnych, albo ustąpiły przodu sceny rządom przejściowym, wszędzie hasłem dnia jest demokracja i zalecenia Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

Czas dyktatur politycznych dobiegł końca, ponieważ klasyczna formuła politycznej dominacji nie zapewnia już dziś realnej władzy. Jest to wynik najgłębszych przemian kulturowych cywilizacji zachodniej, jakie na podobieństwo niepowstrzymanej fali stopniowo ogarniają cały świat. Następstwem jest trwająca od ćwierćwiecza reakcja łańcuchowa rozpoczęta dekolonizacją Afryki i kontynuowana zasadniczą ewolucją ustrojową Grecji, Hiszpanii, Portugalii, krajów Ameryki południowej i środkowej, Dalekiego Wschodu i reżimów afrykańskich. Wreszcie na naszych oczach ewolucja obejmuje także i obóz komunistyczny. Imperium, którego jedynym spoiwem był lęk przed inwazją, zdystansowane wojskowo przez ruchliwą strukturę liberalnego Zachodu, niezdolne do ciągnięcia zysków z podbitych terytoriów, największy swój interes ma we własnej politycznej dyslokacji.

Podobnie w aspekcie wewnętrznym dyktatura utraciła swą rację bytu przede wszystkim z punktu widzenia samej elity władzy, której przestała ona dostarczać trwałych korzyści. Uprzywilejowana dotąd mniejszość, wykorzystując do końca swoją przewagę, głównie w dziedzinie informacji — wcześniej niż reszta uświadomiła sobie rosnącą nieskuteczność klasycznych mechanizmów politycznego wyzysku. Niemal wszędzie zatem, gdzie polityczna mafia przez lata trzymała społeczeństwa w żelaznym uścisku, doszło do zasadniczych przemian ustrojowych, jakim nikt inny lecz sama władza nadała instytucjonalny impuls. Jak car uwłaszczający chłopów w przeczuciu dobrze pojętego interesu, jak europejskie metropolie, umiejętnie przekształcające kolonializm polityczny w dominację gospodarczą, jak amerykańskie gangi alkoholowe lat trzydziestych, w stosownej chwili przenoszące swe zainteresowanie w dziedzinę rozrywki czy handlu nieruchomościami. W procesie tym opozycja polska mogła była odegrać dynamiczną rolę, gdyby nie uległa zauroczeniu kompromisową grą polityczną z bezsilną już władzą. Złudzenia dotyczące znaczenia politycznego konfliktu w Polsce lat osiemdziesiątych wyolbrzymiły zarówno rolę opozycji, jak i siłę komunistów. Jest to chyba główna przyczyna, dla której opozycja w chwili przełomu została zdystansowana przez wydarzenia, lub — by rzec po prostu — wykiwana przez bardziej świadomego przeciwnika.

DUCH OKRĄGŁEGO STOŁU

Istotnym tłem polskich przemian jest przygotowane przez obrady okrągłego stołu nowe rozdanie kart w układzie władzy: nomenklatura przejmuje lub zachowuje uwłaszczony już kapitał, natomiast opozycja obejmuje władzę polityczną. Nastąpił układ odwrotny od tragicznej koncepcji krakowskiego filozofa Dzielskiego, który proponował komunistom pełnię władzy politycznej w zamian za wolność gospodarowania. Dzielski nie wziął pod uwagę zdrowego rozsądku komunistów, bardziej niż ktokolwiek inny świadomych końca pewnej epoki. Przekazanie władzy politycznej nowym ludziom, z zachowaniem przez nomenklaturę nowo nabytych apanaży gospodarczych było możliwe wobec istnienia zorganizowanej opozycji, zorientowanej wyłącznie na rewindykacje polityczne — i komuniści wykorzystali tę szansę po mistrzowsku. Trudno wchodzić w ocenę moralną tego procesu; na marginesie można zauważyć, że powstawaniu wielkich fortun przemysłowych i błyskotliwych karier politycznych na ogół w historii nie towarzyszyły chóry anielskie. Ważne jest co innego, a mianowicie przydatność nowych właścicieli Polski do skutecznego wykorzystania nabytego kapitału, innymi słowy chodzi o to, czy uwłaszczona nomenklatura jest w stanie gospodarować, a opozycja rządzić.

Na pierwsze pytanie trudno jest o jasną odpowiedź, ponieważ skuteczność gospodarowania zależy od systemu ekonomicznego, w jakim podmioty gospodarcze funkcjonują, ten zaś jak na razie sprzyja spekulacji importowej i budżetowej, natomiast penalizuje wytwórczość, usługi i eksport, krótko mówiąc utrudnia mnożenie dóbr. Znacznie więcej danych zebrać można dla oceny rządów nowej władzy politycznej, która dysponowała pełną samodzielnością wyboru własnych strategii.

Rzuca się w oczy systematyczna niepewność w poczynaniach nowych władców, wynikająca przede wszystkim z braku dobrego rozpoznania warunków i kategorii skutecznego gospodarowania we współczesnym świecie. Inną przyczyną jest konserwatyzm polityczny, piętno długotrwale pielęgnowanych złudzeń ustrojowych i narodowych. Kuriozalnie wygląda dziś program wyborczy „S" z czerwca 1989, gdzie zapowiadano „usamodzielnienie przedsiębiorstw", „zmniejszenie marnotrawstwa", a przede wszystkim pilną kontrolę rozdziału dóbr, jak gdyby przyczyną upadku gospodarki były błędy w dystrybucji. Słabe rozpoznanie sytuacji doprowadziło do gorączki przedwyborczej w roku 1989, kiedy najpierw przeceniono siłę komunistów, a później nie doceniono własnych możliwości. Wielka mobilizacja w sposób szczególny kontrastowała z ambarasem wy-

wołanym rozmiarem zwycięstwa wyborczego, jakie rychło pospieszono ograniczyć w obawie przed przekraczającą oczekiwania odpowiedzialnością. Latem 89 roku nie wiadomo właściwie było, czy odbyły się jakieś wybory, czy nie, układ władzy nie miał nic wspólnego z wolą społeczną, szanującą przecież wymogi samokontroli. Realia polityczne pospiesznie ukształtowane zostały poprzez zastosowanie misternego algorytmu kuluarowej arytmetyki, ponieważ kuluary to od lat jedyne środowisko dobrze znane aktorom komunistycznego epilogu po obu stronach barykady. Jedni już zdążyli zapomnieć, jak się robi rewolucję, tym bardziej, że w swoim czasie przejęli ją byli z obcych rąk, a drudzy sprawiali wrażenie ludzi stworzonych do defensywy, idących śladem wydarzeń raczej, niż je tworzących. Również i nowi politycy wierzą przede wszystkim w zewnętrzny patronat, tyle że Moskwa ustąpiła teraz miejsca Waszyngtonowi. Na żadnym etapie przemian polscy przywódcy nie posiadali inicjatywy: czy to wprowadzając w życie ustrojową łamigłówkę okrągłego stołu, czy niemniej karkołomne koncepcje ekonomiczne zachodnich ośrodków finansowych. Dziś doszła do tego pełna bezradność wobec huraganu zmian w świecie, gdzie polska scena polityczna usytuowana jest w ogonie wydarzeń, biernie oczekując na ich rozwój.

NOWE WYBORY, NOWE ZŁUDZENIA?

Tymczasem w gospodarczej strukturze kraju nic się nie dzieje. Systematyczne apele i wręcz żądania inwestowania w naszym kraju szczególnie kontrastują z wewnętrznymi barierami dla produkcji i obrotu kapitałowego, takich jak długo utrzymywany zakaz transferu zysków, sztucznie taniejący dolar, niekorzystny system podatkowy, praktyczna blokada zakupu ziemi przez obcokrajowców, biurokracja, w szczególności nieoperatywny system bankowy, sztywny czas pracy, wzrost ilości wolnych dni w roku... Myślenie życzeniowe i dziedziczny wasalizm były jeszcze do niedawna źródłem wiary, że wystarczy wyeksponować na Zachodzie własne zasługi kombatantów oraz bezwarunkowe posłuszeństwo wobec zaleceń międzynarodowych organizacji finansowych, by zasłużyć na worek dolarów. Tak czy inaczej, mamy wszak Lecha...

Tymczasem okazało się, że na pojemny worek nie można liczyć. Wkrótce stało się również jasne, że i sam Przywódca cudów nie dokona. Z jego programu pozostało tylko przyspieszanie wyborów, kolejne złudzenie: wybierzemy posłów i wszystko będzie inaczej. Nowa kampania wyborcza nie przebiega pod hasłem popierania lub kwestionowania programu prezydenckiego,

ponieważ takiego nie ma. Bez impulsu dla aktywizacji terenu, bez programu gospodarczego, bez wizji politycznej, z kapitałem rozproszonym w kłótniach i obfitych dowodach niekompetencji roztacza nowa klasa polityczna pełny czar pustych deklaracji, patriotycznych frazesów i kuluarowych emocji, rwąc się do upragnionej władzy, której strzępy rozdzielić wszak można pomiędzy wielu. Rządzić może każdy, w końcu przykład idzie z góry.

Głównym darem Wałęsy jest łatwość mówienia: toteż mówi, od lat bez przerwy słychać jego głos, nie zatrzymujący się nigdy, jakby w obawie przed zebraniem myśli. Wałęsa przywódca państwa. Wałęsa, oddający Polsce ostatnią ze swych symbolicznych przysług — ogniskowania we własnej osobie wszystkich niedoskonałości nagle wolnego społeczeństwa. Wałęsa firmujący — tym razem już niepodzielnie — drugi stracony rok.

Paryż, 9.10.91

Robert KACZMAREK

Z ukosa

Zawał w Związku Sowieckim. Co poczuliśmy? Zmęczenie.

Migawki, które już przechodzą do historii. Gorbaczow w willi na Krymie. Chwyta za słuchawkę telefonu, potem słuchawki następnych aparatów, wszystkie martwe. Wtedy żołądek podchodzi mu do gardła. Jak kiedyś łuna pożaru tak dzisiaj martwy telefon jest znakiem katastrofy. Będziemy do końca życia pamiętać nasze telefony ogłuchłe wśród śnieżnej nocy 13 grudnia 1981 roku.

Lenin i Dzierżyński, ale tym razem już nie w pionie jak zwykle, ale horyzontalnie z wystającą sztywną ręką. I nie są to już kopie, jak w Europie Wschodniej, to odjeżdżają na zawsze matki naszych Leninów i Dzierżyńskich, burzona jest prawdziwa Bastylia.

Tłumy odwiedzają mauzoleum Lenina na Czerwonym Placu, jak na wiadomość, że do sklepu rzucili szynkę. Niczego nie było w ZSSR, a Lenin był zawsze, teraz i Lenina może zabraknąć, bo oto trwa debata — co zrobić z tymi nieszczęsnymi zabalsamowanymi szczątkami? (Czy nie warto by zostawić na pamiątkę, i ku przestrodze przyszłym zbawicielom świata. — Historia do napisania — historia ZSSR widziana oczyma zabalsamowanego wodza rewolucji a pisana twarzami odwiedzających mauzoleum).

I co za wzruszenie — bo ten pakiecik guzików uruchamiających zagładę świata był w drżących rękach zamachowego bęcwalstwa. Doprawdy już teraz pewne, co od dawna podejrzewano, że możemy być kiedyś spuszczeni w nicość przez nieuwagę jednym pociągnięciem ręki, jak spuszczana jest woda w klozecie.

Ktoś stamtąd pytał mnie — co zrobić, by nie doszło do rzezi ludów? Przyszła mi do głowy tylko jedna rada — wyjedź.

I banalne ale przejmujące uczucie żalu — szkoda, że mój ojciec tego nie dożył, on na pewno by się cieszył, ja już nie bardzo potrafię.

Kiedy został rozwiązany Związek Sowiecki poczułem jakiś nieokreślony brak i jakby potężnie ciągnęło chłodem. Dopiero po kilku dniach zrozumiałem, że to tak ciągnie od gigantycznej dziury po ZSSR.

Życie w długich ramionach Imperium to był gwałt codzienny, więc codziennie rosły nowe piętra nienawiści. Tak zbudowaliśmy Wielką Nienawiść. Ale całe jedno skrzydło tego gmachu było zajęte przez magazyny Absurdu. Wlał się on w puste miejsce po zbrodni.

Wielka Nienawiść znieczulała nas na wszystkie inne postacie zła. Okrucieństwa Pinocheta w Chile oczywiście budziły niepokój — ale na żywą niechęć nie mogliśmy sobie pozwolić, bo w naszym pojęciu ten dyktator uratował Chile od gorszego nieszczęścia. Przecież nawet najokrutniejsze niekomunistyczne dyktatury zdawały się mieć wobec przodującego ustroju jedną wielką zaletę. Były nietrwałe, podczas gdy sowiecki socjalizm posiadał niezwykłe mechanizmy stabilizacyjne i środki konserwujące, zabójcze dla ludzi, ale gwarantujące mu przetrwanie. Więc nawet zło bardziej dolegliwe a istniejące poza Imperium zdawało nam się zawsze mniejsze, bo nie skazane na wieczność.

Dzisiaj zmieniło się więcej niż nam się zdaje. I gdy nastawić uszu, można posłyszeć jak przesuwają się nasze miary świata, z trudem bo zardzewiały. Są zmiany wielkie, ale są i malutkie. Oto zauważyłem, że oglądając zawody sportowe nie jestem już odruchowo kibicem przeciwnika sowieckiego sportowca.

Ale prawdziwy problem z Wielką Nienawiścią. Jak lodowa góra potrzebuje Ona wiele czasu by zniknąć. Na razie jej strumienie poją nasze małe nienawiści, całe ich sfory rzucają się sobie do gardeł. Stąd taki zgiełk i zamieszanie we wschodniej Europie.

Odwiedza mnie P. Tak wiele lat... To było dwadzieścia kilka lat temu, upalne wakacje, a my obaj jeździliśmy jak szaleni po Polsce obijając się o granice, które jeszcze wtedy wydawały się twarde. Co nas tak gnało? Dopiero teraz wiem, byliśmy bardzo młodzi, szukaliśmy dziewczyny, to bolało, byliśmy głupi, nie wiedzieliśmy, że tak właśnie pachnie szczęście.

Potem widziałem go tylko raz przelotnie w pierwszych dniach stanu wojennego. Sterczałem na ulicy Foksal gapiąc się na książki leżące za szkłem wystawy, zdziwiony, że nie schudły. Stanął obok.

Skrzypiąc butami minął nas patrol, słońce ostrzyło zęby na śniegu i na karabinach. Spłoszył się, bał się o mnie, a ja spłoszyłem się jego obawą. Teraz siedzimy naprzeciw siebie jednak zdziwieni, że nasz świat odwrócił się na drugą stronę jak kieszeń. Kto by się spodziewał, że było tam aż tyle śmieci. Poznaję

ten płomyk desperacji w oczach, który oświetla dołek, który nosi z sobą. On też ma dosyć Polski, do której zresztą świadomie wrócił po wielu latach pobytu za granicą. On też robił z komunizmu kozła ofiarnego wszystkich swoich problemów. To zostawia ślad. I bez trudu mógłbym wymacać mu odcisk, inteligenckie bolesne zgrubienie ostatniego roku po dyskusjach na temat Wielkiego Elektryka.

Nagle wchodzi jego syn, jest w wieku nas kiedy przyjaźniliśmy się. Poczułem, że drgnął czas. I to małe trzęsienie ziemi o ileż ważniejsze od wszystkich politycznych zdziwień.

I drugie spotkanie, podobne, ale inne.

T. jest ładną kobietą i zdolną malarką. Pokolenie o stopień młodsze od mojego, więc nie ma jeszcze między nami barykady zbudowanej przez inne doświadczenia, jest za to wspólne dorosłe przeżycie ostatniego dziesięciolecia, pełnego zgiełku i kurzu. Kiedy odbieram ją w porcie zaczepionym u brzegów luksusowego małego miasteczka, wypełnionego po brzegi wiosennym deszczem, widzę jak wraz z tym deszczem spływa z niej napięcie przywiezione z kraju. Gdy rozmowa wpada wbrew naszej woli w koleiny, które wiodą do sedna naszych problemów, mówi — „Nie spodziewałam się, że w Polsce już wolnej, nadal będę myśleć o władzy ONI, że nie będę potrafiła współodczuwać, gdy są podejmowane ważne dla kraju decyzje".

Nie byłem w stanie zmusić się, by spojrzeć prawdzie w oczy i zapytać — jak ja sam myślę o kraju? Czy nie podobnie? Coraz częściej słychać, że do Polski wrócili ONI. Znajomy podsłuchał w pociągu: „Oni są jeszcze gorsi od Tamtych".

Do tego nic się nie da dodać, ani nic ująć. Jest to konstrukcja doskonała.

Odruch myślenia Oni, i ...Ja, a w najlepszym razie My, utrwalał się przez wszystkie dni panowania obcego ustroju. Tego nie zdejmuje się bez operacji, jak nie można pozbawić żółwia skorupy. Mechanizm przejęcia władzy nie miał nic z cięcia chirurgicznego, był to zabieg czyniony w półnarkozie tępym narzędziem, które nowe zakażało starym. Winić za to „okrągły stół" to za łatwe, to użycie siekiery tam gdzie do diagnozy konieczny jest laser.

Inne uczucie, które zrodziły tamte czasy — to myślenie „im gorzej tym lepiej". To nie zawsze w pełni świadome czekanie na katastrofę, z lekkim drżeniem łydki na myśl jaka będzie kolorowa. Katastroficzne myślenie wydaje się powszechne, a nowy czas tylko kazał głębiej przed samym sobą ukryć tę przypadłość tak częstą u dzieci, które marzą o czymś niezwykłym, chociaż się tego obawiają. To wszystko łączy się oczywiście z naszym bardzo szczególnym stosunkiem do państwa, o czym napisano wiele banałów, które wszystkie wydają się mniej więcej prawdziwe.

Ale najbardziej rozpowszechniony jest oczywiście lęk i niepokój przed przyszłością, co przybiera wszelkie postacie. Czy starczy pieniędzy, czy po deszczu będą działać telefony, czy przyjdzie hydraulik, czy siostra zakonna znowu naopowiada dziecku głupstw na lekcji religii, że komuna nagle podniesie głowę, czy wsadzą za skrobankę, że okradną, co jutro zdrożeje, że fabryka zbankrutuje, a w pobliże wprowadzą się chorzy na Aids, gdzie będą mieszkać syn i córka jak dorosną, ilu Żydów jest w rządzie, i że zjedzą nas Niemcy...

Jak ćma do ognia lecę ostatnio do Polski dawnej, w minione wieki i słyszę jak ze szmeru setek relacji samych Polaków i odwiedzających nas cudzoziemców wyłania się jeden głos i jeden obraz, barwny, ale przygnębiający. Obraz kraju niesłychanej jak na ówczesną Europę biedy, niesłychanej głupoty szlachty i arystokracji, niesłychanej demoralizacji i niekompetencji. I ta zatrważająca zbieżność rozmaitych naszych słabości, jakby te dzisiejsze były tylko nieco bardziej okrzesanymi dziećmi dawnych. Może być zresztą pociechą, że uchwytne są źródła dzisiejszego opóźnienia, które sowsocjalizm tak wzmocnił i pomnożył, i że przestrzeń, która nas niegdyś dzieliła od Europy była nie mniejsza, a może większa niż dzisiaj, zaś perspektywy zmiany na lepsze wtedy o wiele mniejsze. I ten okrzyk króla Stanisława Augusta w rozmowie z Wiliamem Coxe, „Szczęśliwy Angliku, twój dom jest już wzniesiony, a mój ma się dopiero budować".

Ale czyż nie podobnie smętny obraz XVIII wieku kreśliła historia, której uczono nas w szkole, którą upowszechniano w książkach ubranych w majteczki cenzury. Moje pokolenie broniąc się przed upupieniem przez propagandę, już na własny rachunek skrzywiło w sobie obraz tak historii jak i współczesnego świata.

Ciekawa dyskusja w *Res Publice* o naszym stosunku do przeszłości. Słowa Marcina Króla, które zapamiętałem. „Polska nigdy w swojej najnowszej historii, liczącej 200 lat, krajem normalnym nie była, a więc po to, żeby stać się krajem normalnym, Polska musi samą siebie zapomnieć". Jeszcze kilka lat temu wyszedłbym ku tej myśli uzbrojony w nasze powstania, w nasze barykady, w supły na sercach i serca na dłoni. Teraz, chociaż się nie zgadzam, stoję naprzeciw bezbronny.

Gdyby podkraść się do naszej dzisiejszej sytuacji, złapać ją za rękę i spojrzeć w oczy prawdzie tak gwałtownie, że nie zdąży zamknąć powiek, to można zobaczyć, że wszystko co dzieje się dzisiaj jest naturalne, nieuniknione i zrozumiałe.

Zostaliśmy poddani próbie, którą czasem dobrze znoszą

poszczególni ludzie, nigdy ogół. Gwałtowne zmiany cywilizacyjne powodują dzisiaj ostre bóle i zawroty głowy we wszystkich nieomal stronach świata, a my dołożyliśmy sobie jeszcze zmianę systemu, a więc — bagatelka — sposobu funkcjonowania państwa i ludzi w państwie. Polacy stają się więc emigrantami, co jest zawsze czymś ponad siły, a emigrować nie opuszczając własnego kraju to trudność dodatkowa. I to samo co u emigrantów poczucie utraty gruntu pod nogami, gdy przestaje się rozumieć dawny świat, a nowy jest jeszcze groźną zagadką, tym groźniejszą, że go jeszcze nie ma, tylko się staje. Jest to sytuacja, kiedy nawet złe wczoraj kusi swoją stabilnością.

Gdy patrzy się z lotu ptaka na masowe nerwice, które zwykle pojawiają się u schyłku epoki, to widać, że spełnimy wszystkie warunki, by ulec tej przypadłości.

Dziwne uczucie na ulicach polskich miast, jakby wszyscy przechodnie byli właśnie w trakcie przeprowadzki i zawadzali się nogami krzeseł i kredensów.

Im dłużej jestem poza granicami kraju, ale nieuchronnie w polskiej wannie i pod polskim tuszem, tym wyraźniej widzę, że emigracyjny upływ krwi i ulatnianie się intelektualnego potencjału musi ważyć na naszym energetycznym bilansie i utrudnia zrobienie kroku do przodu. Coraz więcej u nas skóry i kości, coraz mniej mięśni i myśli.

Nasze, moje polskie kompleksy każą szukać tego, co u nas najlepsze i w czym nie jesteśmy gorsi. Najlepiej są ułożone obok siebie kompleks niższości z poczuciem wyższości. Moje, nasze, dziecięce zdziwienia, że wszędzie nasi, że ten najciekawiej zaprojektowany dom, to jednak, mimo wszystko i oczywiście Polak, że najlepszy lekarz oczywiście Polak i tak w kółko Macieju. A te pęczki niezwykle ciekawych pokomplikowanych przez historię i nietypowe okoliczności osobników to rzecz jasna Polacy. Nie przejedziesz zachodnią ulicą, by się o kogoś nie zaczepić. A zarazem jaka inna emigracyjna grupa ma u siebie tylu palantów. Pojęcie „palant" jest nie do przetłumaczenia na żaden język, bo palant jest naszą kolejną niezwykłością. Palant to skomplikowany twór, to w pierwszym stadium połączenie bufona z bęcwałem, a bufonobęcwała z zaściankowym inteligentem. Jak widać palant się nie tłumaczy bo zrobiony jest z równie nieprzekładalnych składników.

Właśnie dzisiaj odwiedził mnie palant. Jeśli ktoś nie ma wprawy w rozpoznawaniu palanta po napięciu twarzy czy sposobie poruszania, może go poznać po zapachu. Bo palant na ogół bardzo się poci, a to pocenie jest na skutek napięć między kompleksem wyższości a poczuciem niższości.

Upokorzenie — bo ma do mnie interes i musi być grzeczny, a przecież krzyczy w nim, że ja winienem wszystko dla Niego uczynić, bo Mu się należy. Maska ugrzecznienia, jakże koślawo leży na pogardzie do mnie za to upokorzenie. Nie potrafi się powstrzymać, by nie pokazać mi, że on jest ho, ho, ale to ho, ho, sam nie wie jak daleko może się posunąć, by nie zepsuć interesu. Skoro widzi, że jego ho, ho, nie robi na mnie żadnego wrażenia, szuka przyczyn, oczywiście nie w sobie, a w spisku. Skąd ja jestem? No tak, oczywiście z Warszawy, w jego oczach błysk zrozumienia, teraz wszystko jasne, on z prowincji musi paść ofiarą stołecznego spisku. Ale pod ręką kilka innych spisków, staro lub nowo-nomenklaturowy albo żydowski.

Po takiej wizycie ciężko zatruty palantem od razu muszę zobaczyć się z którymś z Polaków niepalantów, na szczęście całkiem oni liczni, i każdy z nich jest jak odtrutka na to zatrucie.

Jak bez trudu znaleźć można początki zła komunizmu u źródeł tej idei, i tak przypominam sobie niepokojące objawy w naszej konspiracji lat 70. Czyż koledzy z opozycji, którzy poszli inną drogą nie zostali przez nas od razu odepchnięci, a czasem nawet posądzeni o najgorsze? Czasami, a może to była reguła? Leszek Moczulski? Jak szybko przylepiono mu etykietkę ubeka. Pamiętam tekst Staszka Barańczaka w *Krytyce* gdzie opisał postać funkcjonariusza przebranego w szaty opozycjonisty i sprawne pióro nie pozostawiło miejsca na wątpliwości — to była postać Moczulskiego. Skoro nawet Barańczak padł ofiarą tej choroby, cóż dopiero inni.

Daleko było nam do władzy politycznej, ale rząd dusz był tuż, tuż. I byli swoi i obcy, była grupowa solidarność i elementy partyjnej dyscypliny.

Gdy rozmawiałem z uczestnikami stalinizmu, ludźmi tamtej partii i tamtego wielkiego grzechu, mówili wiele o panicznym lęku przed wyrzuceniem z partii, tak marynarz na statku lęka się wyrzucenia we wrogi żywioł północnego morza. Ten lęk, chociaż o wiele mniejszy, również nas cementował. To oczywiście tylko ślady choroby, której nie daje się uniknąć w podziemiu, a sprawa była piękna i wielu było pięknych ludzi. Zdarza się, że brzydną naprawdę dopiero dzisiaj. Człowiek jak widać jest w stanie wytrzymać prawie wszystko, ale władzy nie wytrzyma.

Dlaczego różnice między nami z niechęci stoczyły się w nienawiść? Polska to obszar szczególnego stressu gdzie już nie dziesięciolecia a stulecia są połaciami klęski. Któż nie ma tutaj poczucia przegranego życia. Tym bardziej gorączkowe staje się

szukanie sukcesu, choćby za wszelką cenę. I jest wielka nieudolność, i wielka bezradność, to również najłatwiej pokryć gniewem i agresją. Szukając przyczyn nie należy sięgać zbyt daleko. Trzeba zacząć od siebie. Wtedy okaże się, że mało kto z nas ocalił w sobie psychiczne zdrowie. W końcu problemy nawarstwiały się piętrami tworząc gruzowisko przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Konflikt między Centrum a Unią obnaża tylko część licznych osi które stają się linią barykady. I tylko we fragmentach pokrywa się to ze schematem walki nadętych panów i dumnych chamów. W obozie Centrum są nie tylko zdolni, chociaż mało przytulni bliźniacy, są również liczni inteligenci, którzy nie zdążyli wsiąść do pociągu władzy, gdy odjeżdżał z pierwszego peronu. Jest też grupa odtrąconych, którym ktoś nie podał ręki, albo przypiekł do żywego złośliwym językiem.

Linie podziału zostały wyrąbane sztucznie przez ambicje. To tylko pozornie podział między katolikami i niewierzącymi, między prawicą i lewicą, już prawdziwszy jest podział psychologiczny na mniej i bardziej sfrustrowanych, na bardziej i mniej zrealizowanych, i w końcu na osobowości autorytarne i bardziej otwarte.

Jest też jeden istotny element. Nasza elita ma nieświadomą pogardę dla prostaka, a do tej kategorii łatwo być u nas zaszeregowanym. A gdzie jak gdzie, ale w Polsce nie wybacza się lekceważenia i wyniosłości. W końcu każdy tu szlachcic, choćby zaściankowy. I to właśnie elita skupiona wokół Tadeusza Mazowieckiego poczęła razić wokół strzałami lekceważenia. Zdumiewające, jak szybko wokół byłego premiera powstał dwór, który gwałtownie zawęził mu pole widzenia. (Trzeba przyznać, że obecny premier Bielecki jest na razie wolny od tych przywar, a nabawić ich się chyba nie zdąży). Tak narodziła się wielka grupa odtrąconych, upokorzonych i dotkniętych. To zaczęło zmieniać się w nienawiść i karmić myślenie spiskowe. Doszło do tego, że nawet światli ludzie z obozu Centrum mówią wydymając boleśnie wargę — „To co oni robią, jest celowym niszczeniem polskiego narodu".

Nie ma w tym ziarna prawdy, jest za to ziarno szaleństwa.

Zresztą któż jest teraz wolny od spiskowej choroby. Premier uważa, że Sejm dąży do upadku kraju, bo opanowali go dawni komuniści. Wałęsa traci zaufanie do własnej kancelarii i nasyła nań kontrole, zresztą Prezydent, jak wiadomo, nie ufa nikomu oprócz swojego byłego kierowcy. (Opisy dworu Prezydenta i kancelarii wynoszone przez tych, co tam zaszli, budzą szczerą trwogę) Unia i Centrum oskarżają się nawzajem o łóżkowe kontakty z byłą PZPR. A poseł Gil oskarża SDPRL o

tajny pakt z puczem w Moskwie, SDPRL odgryza się... itd.

Co podejrzewa tak zwane społeczeństwo, lepiej nie podejrzewać.

Codziennie wybucha jakaś gigantyczna afera, powstają w okamgnieniu zawrotne fortuny. Słynna spółka Art-B, sztab obsługi długu zagranicznego, to nie wszystko i z pewnością nie koniec. Aresztowanie prezesa Banku Narodowego to dla normalnego państwa wielki wstyd. Sumy jakie są defraudowane, czasami na wpół legalnie, bardziej swojskie astronomom niż zwykłym zjadaczom chleba. Mówi się o szarej strefie gdzie nie rządzi prawo, a gdzie jest bezpiecznie. Więc o czym marzy obywatel? By wejść na chwilę do tej szarej strefy i wyjść z niej niezauważonym.

Polska wydaje się teraz jednym z najlepszych miejsc na świecie do robienia pieniędzy, pod warunkiem, że ma się znieczulone skrupuły.

Marsz triumfujący Kościoła w Polsce, ku radości jednych, w niepokoju i gniewie innych. Krytyka płynie również z kręgów Kościołowi bliskich i nawet wielkie autorytety krytykują, np. Miłosz, który — domyślam się — że nie pisze na ten temat wszystkiego co myśli. Kościół lekceważy te głosy nazywając je głosami „kundli" albo „wilczurów" (Prymas), są jednak delikatniejsze określenia np. „głosy mniejszości politycznych" (na pewno eufemizm od „narodowych"). Do najbardziej dyplomatycznych należy określenie z listu biskupów „nieobyci w problematyce narodowej i religijnej". Ci nieobyci mówią, że Kościół zalewa sobą państwo wciskając się we wszystkie szczeliny, co wydaje się jednak przesadą, bo nie we wszystkie. Ostatnio bronią masowego rażenia Kościoła stają się „wartości chrześcijańskie". Mają one być wpisane do nowej konstytucji. Ktoś nieżyczliwy mógłby zrobić aluzję do „przewodniej roli". Zaś nasz Senat jest właśnie w trakcie przypisania „chrześcijańskich wartości" Telewizji.

Trafna uwaga Anny Jedynak w *G.W.* „Odnoszę wrażenie, że największa krzywda, jaką komunizm wyrządził Kościołowi, nie sprowadzała się do takich działań, jak wstrzymywanie budowy świątyń, inwigilacja księży itp. Krzywdą tą było zaszczepienie Kościołowi skłonności do rozszerzenia swoich wpływów przy użyciu środków zaczerpniętych raczej ze sposobów uprawiania polityki niż tradycji ewangelicznej".

Powiększa się grupa obywateli na Kościół uczulonych. To niedobra choroba, wystarczy choćby pyłek a organizm reaguje histerycznie. Sam jestem bliski tej przypadłości. Gdy słyszę, że ktoś mówi — „jestem Polakiem, katolikiem i patriotą", coś niewyraźnego dzieje się z moim organizmem. Wielce podejrzana hałaśliwość tej grupy, bo przecież każda postać z wymienionej

powyżej świętej trójcy realizuje się naprawdę w milczeniu, nie w gadaniu. Kiedy słucham kardynała Glempa, gdy uda mi się schować niechęć, to mogę choć z wielkim trudem zaakceptować, co nie znaczy dzielić, jego widzenie, pod warunkiem, że nie posunie się o centymetr dalej. Problem w tym, że jeśli nie ON, posuwają go inni. Oto słowa Kardynała:

„Polacy, którzy nie zaakceptowali modelu radzieckiego, nie zechcą również na przykład francuskiego czy niemieckiego. Stać nas na kontynuowanie własnych tradycji. Będziemy się więc bronili przed zamiarami ogłaszanymi przez ideologów różnych mniejszości politycznych, pozbawienia nas własnych cech narodowych, co miałoby pomóc stworzyć społeczeństwo i państwo wedle obcych wzorów".

Gdyby jeszcze móc uwierzyć, że z tego śmietnika da się wyłuskać jakiś „nasz wzór". I doprawdy, lepiej aby to mówił proboszcz. Gdy tak każe wielki pasterz do owiec, z których tyle zwilczało z powodu biedy i nieszczęść, to ja się trochę boję. Centymetr dalej jest to (— cytat z dziennika *Czas*, autor Andrzej Waśko) „Strach o to, by w żadnej sytuacji nie być posądzonym o nacjonalizm jest jednym z ważniejszych czynników paraliżujących myślenie warszawsko-krakowskiej elity politycznej. Za 'polski nacjonalizm' w opinii tych kręgów może zostać uznane dosłownie wszystko: zarówno sympatia do ZChN, jak i upominanie się o prawa Polaków na Wschodzie, zarówno powątpiewanie w litewsko-żydowskie pochodzenie Adama Mickiewicza, jak i samo używanie słowa naród w liczbie pojedynczej. Dla zdobycia towarzyskiego uznania należy za to możliwie często wychwalać Bałtów, unosić się nad historyczną wielkością narodu białoruskiego i stale deklarować chęć poproszenia Ukraińców o wybaczenie. Przestrzeganie tych prostych reguł zapewnia dziś opinię intelektualisty i prawdziwego demokraty".

Ten fragmencik ma wiele smaczków, doceniam czytelników *Kultury*, niech sami rozwiną ukryte tam powaby. Że Kardynał by tak nie powiedział? Zapewne. Ale te dwa sposoby myślenia łączy krótki i jasno oświetlony korytarz. O rzut kamieniem jest Tejkowski. Daleko i blisko. To myślenie ociera się o nacjonalizm, jest prowincjonalne i w naszych warunkach otwiera pole do skrajności. I nawet jeśli Prymas i podobnie myślący nie są skrajni, co zrobią gdy pod ich sztandary zbiegnie się czerń. Już się zbiega. Odtrącą ich, czy przygarną. Szamotanina Porozumienia Centrum by się nie dać wplątać w te pajęczyny pokazuje skalę problemu.

To wszystko oczywiście nie powód by rezygnować z katolicyzmu i wiary w wagę wspólnoty narodowej. Myślę, że większość jest u nas ładnie katolicka, źródło jest takie czyste. Ale ludzie ci milczą. Będą wabieni przez jednych demagogów, rugani przez drugich.

I ten nasz antysemityzm bez Żydów, a więc magiczny. To na nim żerują dwie odmiany szakali — jedne mają pyszczki antysemickie drugie anty-antysemickie, ale żerują jednako. Z tych dwóch trampolin skacze się w dwie różne strony do tego samego basenu gdzie spływa kapitał polityczny. Na wszelki wypadek warto jednak skakać na nogi, nie na głowę.

Pogrom Cyganów w Mławie, nienawiść do chorych na Aids, to znaki jak głęboki jest niepokój i lęk, które szukają swojego ofiarnego kozła.

Plan Balcerowicza staje się węzłem gordyjskim. Nie wiem pod jaką nazwą wejdzie do historii i czy historia w ogóle ustąpi mu skrawek miejsca. Efektowne jest określenie „O jeden most za daleko", ale czy trafne, tych mostów jest chyba więcej. Wiara w ten plan słabnie w miarę jak rozpada się gospodarka a ruiny nie chcą kwitnąć. Sam Balcerowicz położył się w końcu w szpitalu. A kto uleczy naszą pogruchotaną gospodarkę?

Jednym z błędów planu Balcerowicza była wielka skala zabiegu i kiepskie przygotowanie do operacji. Jakby robiono ofensywę na słabo rozpoznany kontynent przy pomocy nie żołnierzy a cywilów. Operacja już się zaczęła, gdy poinformowano nas, że ów zabieg jest jedyny oraz nieunikniony. Trudno tylko zrozumieć czemu teraz takie zdziwienie, że ludzie, którzy nie są w mundurach, nie znają musztry i nie rozumieją sztuki wojennej, nie chcą się poświęcać.

Przymierzanie się by złożyć Balcerowicza na ołtarzu historycznych konieczności. Zbyt wierzy w swój plan, by go modyfikować. Ma w sobie coś z żarliwości pierwszych chrześcijan, ale czy naje się nim nasze lwie społeczeństwo?

Wielkie polowanie na spekulantów, głównie w gadaniu. Np. Prezydent — „Łamane jest prawo... będzie rozliczanie ze złodziejstwa, nawet trybunały! Każdą skradzioną złotówkę zabiorę i jeśli trzeba w skarpetkach zostawię". Za poleceniem Prezydenta powołano policję gospodarczą pod wstrząsającą nazwą „K 17".

Minęły długie miesiące, każdy ciężarny w nową aferę a wszyscy jak byli tak są w butach.

P.C. i Komitety Obywatelskie zwołują konferencję poświęconą korupcji i rozkładowi państwa. „Istnieje rozkład państwa — mówi Jarosław Kaczyński — sparaliżowane są działania aparatu państwowego, sparaliżowane życie gospodarcze". Mówiło się też na tej konferencji o ogromnych pieniądzach w rękach byłych komunistów i że te pieniądzae się teraz rozmnażają. Wniosek — ciągle nie możemy oderwać się od komunistów. Rada. Ujawnić, obnażyć. To czemu się nie ujawnia? Bo gruba kreska Mazowieckiego pozwoliła im się ukryć i pochować skarby.

Dokonałem tylko niewielkiego uproszczenia w tym rozumowaniu. I mnie czasami nagle ogarniają wątpliwości, a nuż tak jest rzeczywiście? Lecz gdy się uspokajam, uderza mnie podejrzenie, że co tak majaczy, to nie komuniści podnoszą głowę tylko nasz własny cień. Bo przecież ostatecznie prawdziwe ostrza wymierzone są przez nas samych w nas samych. I to już nie dawni komuniści podwyższają nam niebezpiecznie ciśnienie i grożą wylewem krwi do mózgu. Wszędzie tam gdzie wygraża się komunistom są ogólniki, Oni tam gdzieś ukryci, zaś zło jawne to Geremek, Mazowiecki, Unia, a z drugiej strony podpalacz i mały Mussolini Prezydent, z jeszcze innej bracia Kaczyńscy, partyjki chrześcijańsko narodowe, proszę bardzo, to jest na wierzchu. Czytając wywiady robione przez moich akt. lub b. kolegów z moimi akt. lub b. kolegami, zawsze mam wielką ochotę uchylić zasłonki, i jak to drzewiej bywało przy pracy dziennikarskiej ściszając do szeptu głos zapytać — no a teraz proszę mi tak prywatnie... jak to naprawdę jest?

Adam Michnik replikuje Wałęsie w telewizji. Na początku jest ton wysoki, sięga serca, ale nie wyżej, i jak zwykle jest zdanie okute brylantem dowcipu. „Nikt rozumny dziś w Polsce nie uwierzy w kolejnych dyżurujących winowajców. I nikt w Polsce nie naje się befsztykiem z Adama Michnika".

I wszystko byłoby cacy, gdyby nie ten krok dalej, niestety uniesienie nogi w marszu jest powyżej serca. Nie potrafię powtórzyć gestu Michnika i tak lekko jak przyprawą do befsztyka sypnąć cytatem z Nowego Testamentu. Michnik bez wątpienia potrafi udowodnić, że nie jest Chrystusem, chociaż trudno nie zauważyć, że w replice nim jest, to coś więcej niż wpadnięcie w poślizg.

Pamiętam był rok bodajże 79, wilgotny wieczór, bodajże wrześniowy, grób nieznanego żołnierza, kilku tajniaków krążyło wokół jak na nitkach przesuwane wiatrem pająki, gdy z półmroku wyłoniła się kolumna czwórkowa. To partia Leszka Moczulskiego szła się konstytuować, Wodza zamknęli, więc szli tylko jego oficerowie. Najwyżej szedł sztandar, a im byli bliżej tym mocniej szli, nogi unoszone wysoko, wojskowo, nie byli konno, ale szli jakby jechali, ułani, a może nawet husarze. I nagle w pierwszym szeregu, nie do wiary, ujrzałem Michnika, on też szedł jadąc konno, obok sztandaru w pierwszym szeregu... Poczułem uczucie zażenowania, bo była w tym jakaś fałszywa nuta, zgrzyt taniego patosu, ton fałszywy.

Wtedy dziwiłem się, teraz już nie dziwię się.

A może to nie był On, może sen mara, i może wszyscy teraz są poczciwi, jak to się kiedyś w dobrych domach mówiło porządni ludzie, tylko przemęczeni, bolą ich zęby bo jest ciężki

czas, popsuły nam się w czasach niewoli zęby i jest teraz czas bolących zębów, jak tu wymagać grzeczności gdy kogoś tak boli, a ja tylko piszę zadrością, Wałęsie zazdroszczę talentu literackiego, Michnikowi garniturów, a moje gorycze w ustach z własnego woreczka żółciowego. I czasami ogarnia mnie taka wielka niepewność jak to jest, skoro wszędzie tyle mgły i pozorów. I to naiwne dążenie by jak sprężynę w zegarku odnaleźć kto ma rację, a kto wsuwa ziarenko piasku, i pewnie zbyt łatwe poczucie, że racji nie ma nikt. Już ładniej uznać, że trochę racji jest po wszystkich stronach. I niewybaczalnym grzechem jest łatwość zapominania o niedawnych jeszcze latach, o odwadze i determinacji tych ludzi. U źródła heroicznej postawy były z pewnością te same cechy, które teraz wydają się tak nieznośne. W końcu niezgoda i bunt przeciwko przemocy, obok strony moralnej, mają również swoją pychę, która żywi niezgodę na upokarzającą bierność. Zdarza się po zwycięstwie, że ta pycha zje swojego moralnego bliźniaka i żerując na jego zwłokach tyje i rośnie. Chyba jest trochę takich nieszczęśliwych przypadków. I to świadome wykorzystywanie dwóch ról, moralisty i polityka, czasami zgodnie z sumieniem, czasami z taktyką.

Chciałem tak to zostawić, i nagle poczułem, że nie można, że to część prawdy. Że figura „zrobić piruecik i dostać oklaski" była wtedy i jest teraz żywa, ale któż od tego jest wolny. I przecież gdyby przyszło siedzieć we współczesnej Berezie Kartuskiej wolałbym, żeby Wielkim Klawiszem był Adam Michnik, niż np. Y. z kancelarii Prezydenta, ach w ogóle nie ma nawet o czym mówić, Michnika tam sobie nawet nie umiem wyobrazić, a tamtego urzędnika znakomicie. Ale to tylko moja wyobraźnia, a gdzie jest prawda?

Chciałem tak zostawić ale nie mogę. Bo jak tu nie podkreślić, że replika o której piszę była odpowiedzią na słowa, które brzmiały tak: „panie Geremek, panie Michnik, demokracja była, jest i będzie, ale z demokracją trzeba iść, trzeba iść z narodem, a nie tak, że tylko wy macie rację". Te słowa oczywiście domagały się męskiej odpowiedzi. Czyż nie podobnie krzyczał Gomułka do Antoniego Słonimskiego, przepraszam, doprawdy nie porównuję Wałęsy do Gomułki, chociaż Michnika do Słonimskiego, czemu nie. Kiedy Gomułka krzyczał domagając się by Słonimski zadeklarował się kim właściwie jest, kontekst był też narodowy i był bodajże rok 60. Biedny Słonimski, mistrz dowcipu, a drugą połowę życia spędził w czasach zupełnie pozbawionych humoru i nie miał żadnej nadziei na publiczną odpowiedź. A dzisiaj jak widać można fontanną humoru tryskać z ekranu telewizora i to w czyje oczy! A więc jednak wolność.

Chciałem tak zostawić, i po raz trzeci nie mogę. Zebrało mi się na samokrytykę. Ja przecież nie znoszę dydaktyzmu i

tonu Katona, a jestem przez nie zagrożony. Niewątpliwy grzech takiego pisania, że będąc z kości środowiska, które opisuję, poprzez ostrą krytykę stawiam się niejako ponad nim. Jest to wywyższenie się poprzez zjadliwy opis i moralny kokon, w jaki ubieram swoje obserwacje. Ale łatwo mi (podejrzanie łatwo) o chwilę szczerości, i wtedy widzę, że co krytykuję jest również moje i jest we mnie. Dlatego boli, drażni i tak łatwo daje się uchwycić. I czyż nie jest częste, że im krytyk ostrzejszy tym mocniejsze podejrzenia, że ma w sobie realnie lub potencjalnie wszystkie słabości, które wytyka innym, tym żarliwiej im bardziej sam jest przez nie zagrożony. Następny stopień perfidii... ujawniam grzech, by dostać rozgrzeszenie i tym swobodniej dalej grzeszyć. A więc do pracy.

Ile osób liczyła grupa zwana przed rokiem 80 opozycją? Kilkaset? Potężny wybuch sierpnia wyłonił rzeszę działaczy „Solidarności", w stanie wojennym wielu zamilkło, jeszcze więcej wyjechało, tylko garstka przeszła przez pustynię do ziemi obiecanej.

Wiele tam indywidualności, charakterów barwnych, umysłów ciekawych, dusz skręconych. No i... przejęliśmy władzę. Nagle i niespodziewanie. Ale nie wzięliśmy jej tylko dla siebie, w pierwszym odruchu poprosiliśmy znajomych, najpierw tych, których telefony i adresy w naszych notesach stanu wojennego były zapisane szyfrem.

Potem notes warszawskiej opozycji został poszerzony o notes gdański, jakieś odpryski stołu spadły na krakowski rynek. I jak na razie na tym koniec. „Wszędzie słyszę o braku ludzi fachowych. Jakich ludzi? Swoich — oczywiście. Uważam naszą politykę kadrową za schizofreniczną", mówi Anatol Lawina, dyrektor Zespołu Analiz w Naczelnej Izbie Kontroli, który sam padł „ofiarą" tej schizofrenii.

Z pewnością obsesyjnie wracam do tematu — znajomi u władzy. Jest to jedno ze zjawisk, które najgłębiej mnie porusza w okresie nagle odzyskanej wolności. Bo nasz polski przewrót strącił władzę w ręce niemal kolegów i koleżanek z mojego podwórka. Więc mi z kolei spada w ręce całym swoim ciężarem mechanizm, który stoi jak się zdaje u źródeł wielkich katastrof tego świata.

Chociaż znam dobrze bojowników z obu stron niedawno zbudowanej barykady i czuję, jak zazębiają się o siebie fatalne koła, ale wielu szczegółów nadal nie rozumiem. Nie rozumiem siły tych uczuć. I chyba trzeba przyjąć, że do zrozumienia potrzebny jest mikroskop, który potrafi chwycić w soczewkę różne odmiany tego samego wirusa.

Niepokoją w tych wzajemnych oskarżeniach szczeliny, gdzie

prześwitują fragmenty języka komunistycznej propagandy. Nie ma wątpliwości, że język, nawyki i odruchy jakie nam zostawili w spadku komuniści są o wiele groźniejsze od ich cielesnych powłok i nowych interesów.

Zadziwienie sobą spotykam czasami u samych zwaśnionych. To ostatnie chwile, kiedy zdziwienie ma się jeszcze czym żywić. Czasami objawia to się w następującej formie — „siedziałem z nim w więzieniu (w internie), taki był sensowny facet, co się z nim zrobiło". — Mając możność przechodzić na obie strony barykady, usłyszałem kiedyś taką bliźniaczą sekwencję od dwóch polityków o sobie nawzajem. Myślę, że tylko ponowne zamknięcie w celi tych dwóch zadziwień pozwoliłoby rozsupłać węzeł. Szanse na to niewielkie, ale doprawdy ryzykowną rzeczą byłoby twierdzić, że jest to nieprawdopodobne.

Polityka krótkowidzów. Co się dzieje w naszej polityce jest lustrzanym odbiciem sytuacji w biznesie. Uprawia się głównie taktykę — zrobić szybko, łatwo pieniądze i w krzaki. Nasi politycy robią szybki interes polityczny i włażą na drzewo. Bo im z kolei zależy, aby być widzianym. Dalej w górę już iść nie można, w bok też nie da rady, bo gałęzie coraz cieńsze. A w dół, to tylko upadek. Oj, chyba nie opłaca się być politykiem, w kraju gdzie krótkowidztwo jest chorobą zakaźną.

Partie polityczne są mikre, blade, zajmują się głównie iskaniem sobie wszy, albo rzucaniem w sąsiednie klatki ogryzkami.

Najbardziej liczni są więc bezpartyjni, a wśród nich mają przewagę spłoszeni i bezradni. I coraz bardziej po jednej stronie jest władza, po drugiej właśnie spłoszeni bezradni, zaś partie polityczne są w ogrodzie.

„Wyraźne jest", jak opisuje mój znajomy, od niedawna na górze, „rozłażenie się instytucji". Gospodarka już prawie się rozeszła. I nagle ujawniła się gigantyczna dziura w narodowym budżecie, tak duża, że nie jesteśmy już obok niej, a w niej.

„Zagrożony jest autorytet państwa polskiego, jego prawo, powaga, trwanie", piszą i mówią ważne persony naszego życia politycznego. Tu trzeba przyznać jest pełna demokracja, o przyszłość niepokoją się mali i duzi jednako. „Jestem przerażony", mówi publicznie Prezydent, a prywatnie wykonuje nagłe telefony do ludzi z którymi już dawno zerwał stosunki. Prosi o pomoc. Przerażająca samotność Wałęsy. Sam się na nią skazał, a sytuacja dopełnia wyroku.

Bo doprawdy nie jest już pewne, czy obowiązuje nas arytmetyka, w którą święcie wierzyliśmy — koniec komunizmu plus wolność równa się demokracja. Jak się zdaje coś tam po drodze jeszcze jest. A tak pieściliśmy myśl — „kiedy tylko opadną pęta komunizmu, wytryśnie Polska fontanną dobrobytu, ujawnią się

niezliczone talenta tego trudnego, ale zdolnego narodu. Jak na razie ujawnia się głównie nasze dojrzałe amatorstwo. W środowisku polskiej elity politycznej nastąpiła gwałtowna utrata wiary w zbiorową mądrość narodu. Dzieckiem tego zwątpienia jest utrata wiary w dogmat, że większość ma rację.

Dlatego coraz więcej naszych polityków coraz śmielej wykuwa publicznie ścieżkę do tego, co nazywają „silnym państwem". Pojawiają się nawet pierwsze głosy traktujące taką możliwość w kategoriach zabiegu chirurgicznego, którego oczywiście lepiej byłoby uniknąć, ale „gdyby nastał okres rządów autorytarnych, nie oznaczałoby to bynajmniej przekreślenia szans na demokratyczną Polskę. Rządy silnej ręki umożliwiłyby bowiem sprawne przekształcenie gospodarki i szybkie wytworzenie klasy średniej" (Lech Mażewski — *Rzeczpospolita* nr 155). No i na koniec sam Prezydent: „Zastanawiam się, czy możliwa jest ewolucja od komunizmu do demokracji, czy też potrzebne są inne twarde metody". I zupełnie ostatnio: „Z dużą siłą dążę do demokracji, gdybym jednak miał do czynienia z anarchią, wielkimi strajkami, gdyby sytuacja stała się dramatyczna musiałbym oprzeć się na sile, żeby ratować kraj".

Ciekawe co będzie, ciekawe, ale jedno zawsze jest pewne — będzie inaczej niż się boimy, bądź pragniemy. I jeszcze jedno jest pewne; ewentualne rządy „silnej ręki" będą u nas z pewnością rządami jakiegoś innego silnego członka lub organu.

Pożegnanie z „Solidarnością". Szczególnie smutny pogrzeb po zwycięstwie, i grzebany jest żywy. Z „Solidarności" odeszli prawie wszyscy legendarni jej przywódcy ciągnąc za sobą legendę jak dziurawy i zabłocony płaszcz. Zbyszek Bujak, który założył swoją partię, nie bardzo miał ochotę przyłączyć się do bliźniaczej „Solidarności Pracy", jako główny powód podał, że „Solidarność" w szyldzie zabiera wszelkie szanse wyborcze.

Brygady antyterrorystyczne na rozkaz solidarnościowego rządu atakują i usuwają siłą strajkujących.

I tak nasza „Solidarność" za którą tylu siedziało, za którą życie oddało na szczęście niewielu, ale gotowych było oddać wielu, nasz wielki sen na jawie, nasz piękny rok oporu pełen romantycznych figur, teraz jak stary zardzewiały i niemal wyludniony statek dryfuje w stronę swego śmiertelnego wroga OPZZ.

Gdy ten tekst ukaże się w druku, nowy Sejm zostanie już wyłoniony przez nielicznych, którzy pójdą do urn. Będzie on zapewne rozdrobniony i skłócony. Nie znam nikogo kto wierzy, że będzie lepszy od tego, na który tak gniewają się Prezydent i rząd. Przyszły rząd będzie słabszy od obecnego, a wszystkie

problemy o wiele większe. Kampania wyborcza skompromituje do końca nasze życie polityczne ukazując amatorszczyznę i bezradność prawie wszystkich partii.

I tak oto pierwszy rozdział tworzenia nowej Polski zostaje zamknięty. Ten czas określi przyszłą strukturę polskiej demokracji, jej atmosferę, odruchy, nawyki. A to jest decydujące znaczenie dla formy w jakiej będzie trwał. Niestety ten początek źle wróży naszemu małżeństwu z demokracją.

Nadal wielki ciężar spoczywa na barkach Prezydenta. Stanowczo za wiele przypisuje mu się złej woli, kiedy działa głównie bezradność wspierana przez brak narzędzi do wyrażania i formułowania myśli i woli. W miejscu, gdzie teraz jest, skończył się czas intuicji i nie ma już sceny na ludowy teatr. Teraz potrzeba profesjonalizmu i wizji. Nie widać zresztą nikogo, kto by dorósł do tej roli, lub może raczej, kogo by ona nie przerosła. I pomyśleć, że w tym samym Belwederze nie tak dawno i z podobnych powodów bił głową w ściany Józef Piłsudski, aż trzęsła się Warszawa.

Kłęby papierosowego dymu, na stoliku nie ma zwykłego o tej godzinie pasjansa. Marszałek już wie o zamachu na Pierackiego. Wchodzi do gabinetu jego adiutant, niezbyt mądry ale poczciwy Lepecki.

— Pamiętacie wy Priwislinje?

— Mało panie Marszałku.

— Dziesięć priwislinskich guberni i trzynaście milionów priwislincew — zaczął z polska po rosyjsku — gławnyj gorod Warszawa, wieroispowiedanje rimsko-katoliczeskoje. Priwislinje a w nim priwislincy, łapówki i konspiracje.

Marszałek cały się nasrożył i rzucał twarde słowa pod adresem dawnego zaboru rosyjskiego i jego przedwojennych mieszkańców.

Lepecki wtrąca nieśmiało, że to Bogu dzięki przeszłość. Marszałek wali pięścią w stół.

— „Gdzie wy w tej teraźniejszości widzicie przeszłość. A potem jakby sam do siebie: — Ja nic nie mam przeciw tej waszej czerezwyczajce, ja się na tę waszą czerezwyczajkę na rok zgadzam". (Tak powstała Bereza Kartuska).

W kilka godzin później, gdy przyszły wiadomości, jak się potem okazało nieprawdziwe, że to strzelali Endecy, Marszałek bije pięścią w stół i krzyczy.

— „Ja was każę siec batogami, ja was każę ze skóry obdzierać. Ja każę nie żałować nikogo, ni kobiet, ni panienek. Ja wyplenię prywislinskie nasienie..."*.

* Mieczysław Lepecki, „Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego", PWN, 1987. str. 216.

Dalszy ciąg był zupełnie nieprzewidziany, świat zapłonął a mieszkańców znad Wisły spotkał o ileż sroższy los niż ten w gniewie Marszałka. Potem Belweder został odbudowany i zamieszkali w nim najemnicy Imperium. Wbrew temu co o sobie mówili, nie byli reprezentantami klasy robotniczej. Prawdziwy robotnik wszedł do Belwederu w roku 90. I ten prawdziwy robotnik twierdzi, że nieprawdziwy jest lud co począł oblegać Belweder niemal w rocznicę słynnego gdańskiego sierpnia. Był to tłum głodnych i zagniewanych emerytów. Wałęsa wyszedł im dzielnie naprzeciw. Gruszka ciśnięta z tłumu ugodziła Prezydenta w piersi. „Ładnie, w Matkę Boską mnie trafiliście" — powiedział Wałęsa.

Bardzo to się wydaje swojskie. Co zrobiono z Narutowiczem było nieludzkie i obce naszej tradycji.

SMECZ

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

prowadzi na terenie Polski sprzedaż książek INSTYTUTU LITERACKIEGO w PARYŻU.

Sprzedaż obejmuje pozycje z katalogu „BIBLIOTEKI KULTURY". Ceny książek w złotówkach w przeliczeniu FFr. 1,00 = zł. 500,00.

Adres FUNDACJI:

00-524 WARSZAWA
ul. Marszałkowska 74
tel. 21 70 75

FUNDACJA zamierza w najbliższym czasie otworzyć salon książki z pierwszym w Polsce firmowym stoiskiem INSTYTUTU LITERACKIEGO w PARYŻU.

A może by tak niekonwencjonalnie...

Myślę, że *oldboy* może, a nawet powinien, mieć pomysły niekonwencjonalne; inaczej po co miałby zawracać głowę młodszym?

Oto więc jeden z nich, tj. z pomysłów.

Prowizoryczny sejm, wykonawszy szereg pożytecznych prac, zakończy niedługo swą męczącą kadencję. Stanie się to w imię nowego, prawdziwie demokratycznego polskiego ładu.

Moje pytanie brzmi: czy nie byłoby właściwe, aby prezydent, w imię tego samego, również zakończył swój eksperymentalny pobyt w Belwederze? Stabilizacja nastąpiłaby wówczas na całej przestrzeni politycznej.

Określenia „eksperymentalny" używam z premedytacją, ponieważ dla niespełna czterdziestu procent rodaków, uprawnionych do głosowania w drugiej rundzie — zeszłoroczna decyzja oddania głosu właśnie na Lecha Wałęsę musiała mieć znamiona eksperymentu, i to bardzo śmiałego. Musieli przecież słyszeć, a także oglądać w telewizorach inne warianty prezydenckości, a wybrali właśnie ten (prawda, że podniecani strachem przed Tymińskim).

Efekty, jakie są, każdy widzi. Na szczęście, kandydat chciał po prostu dostąpić wywyższenia, bo gdyby miał program, byłoby pewnie o wiele gorzej. A tak na wielu obszarach polityki spełnia się po prostu kontynuacja poprzednich założeń. Plus, jednak, masa dodatkowego zamętu. To trochę tak, jakby ktoś narobił strasznego przeciągu: wiatr hula, szyby się sypią, drzwi trzaskają, papiery lecą, meble się chwieją, a otwieracz miota się po mieszkaniu, zamyka jedno, otwiera drugie, chwyta trzecie, upuszcza czwarte i woła, że gdyby nie on, to wszystko poszłoby w diabły.

Męczymy się wszyscy, a główny sprawca najbardziej. Młodzież się frustruje. Emeryci krzyczą. Naród pokpiwa. Dawni towarzysze mają za złe. Czy istotnie musi to jeszcze trwać przeszło cztery lata?

Toć mamy wybitnych konstytucjonalistów i legislatorów; niech znajdą formułę załatwienia wszystkiego bez urazy, w elegancki sposób. Stworzymy nowy konsens. Świat nam przyklaśnie. Wszystko będzie logiczne, bo i cyfry układają się blisko; zarówno sejm, jak i prezydent są niespełna czterdziesto-procentowi.

Uwolniony od uciążliwych obowiązków, a zwłaszcza od konieczności zabierania głosu na różne tematy, eksprezydent będzie mógł robić właśnie to, co lubi i w czym jest dobry; podobnie jak inni politycy, którzy zeszli z wysokich urzędów, będzie jeździć po świecie i załatwiać krajowi wiele ważnych spraw.

Sądzę, że Lecha Wałęsę, mistrza posunięć zaskakujących i — właśnie — niekonwencjonalnych, było na to stać. Bardziej boję się o tych, którzy są wokół niego i zdają sobie sprawę, że bez swojego szefa mają w układzie zbliżonym do normalnego bardzo nikłe szanse polityczne. A skoro tak, to położą się, rejtanowskim gestem, w progach Belwederu. Też bym się pewnie kładł, na ich miejscu.

Dalibóg, przydałaby się właśnie teraz trudna obliczalność człowieka, który dzięki swemu politycznemu instynktowi położył w wojnie o nową Polskę tak wielkie zasługi. Przydałby się gest równej wagi, a jeszcze śmielszy niż skok przez ogrodzenie stoczni — wyjazd poza ogrodzenie Belwederu. I powrót na obszar autentycznych możliwości — do roli żywego, dynamicznego symbolu.

Będę pierwszym, kto się wówczas Lechowi Wałęsie pokłoni, myśląc: zaiste, potwierdził się jako człowiek wielkiego formatu.

Andrzej DRAWICZ

28/29 września br. ukazał się w *Rzeczypospolitej* powyższy artykuł Andrzeja Drawicza. Ze względu na jego wagę przedrukowujemy go w *Kulturze* bez wiedzy i zgody redakcji i autora.

REDAKCJA

Migawki z Polski

Polskę odwiedziłem po dwunastu latach nieobecności. Byłem w ciekawym okresie, w końcu sierpnia, tuż po nieudanym puczu w (chyba) byłym ZSSR. Moja wizyta, w pewnym sensie służbowa, była związana z uczestniczeniem w kongresie geofizycznym IUGG '91 w Wiedniu. Zaproponowałem kilku firmom australijskim, że zorientuję się w możliwościach współpracy z producentami w Polsce. Ofertę przyjęto chętnie, chociaż w Australii dużego zapału do współpracy z Polską nie ma. W Kraju byłem tylko dziesięć dni, toteż trudno wydawać uogólniające oceny. Niemniej wydaje mi się, że moje spostrzeżenia jako przedstawiciela tzw. inteligencji technicznej mogą być przydatne. Do tej pory w *Kulturze* ukazywało się więcej komentarzy pisanych przez humanistów.

●

Konsul handlowy Zdzisław Sieczek okazał się mało pomocny przy nawiązywaniu kontaktów w Polsce. List dyrektora jednej z firm autralijskich przesłał co prawda do Kraju, ale nie raczył mnie poinformować do kogo. Kiedy zadzwoniłem do Sydney, okazało się, że jest chory i poza nim nikt nie mógł mi udzielić żadnych informacji. W końcu otrzymałem (przesłane faxem do Wiednia) nazwisko (podobno) pracownika Ministerstwa Handlu Zagranicznego (czy jak to się teraz nazywa) wraz z numerem telefonu. Pomimo usilnych starań nie mogłem się do niego dodzwonić. Numer nie odpowiadał o żadnej porze dnia i wieczoru. Myślę, że pora aby tow. Sieczek zajął się inną działalnością niż reprezentowanie interesów Polski. Dodać jeszcze można, że Dyrektor Operacji Zagranicznych Izby Handlowej w Brisbane (jak mi sam powiedział) nigdy nie był „napastowany" przez przedstawicieli Polski, w przeciwieństwie do przedstawicieli Węgier i Czecho-Słowacji.

Ciekaw również jestem, jakie konsekwencje służbowe wyciągnął min. Skubiszewski w stosunku do urzędnika, który zafundował (na

koszt MZS) wyjazd do Australii pismakowi z Polski. Pismak ów (nazwiska nie podaję, żeby nie zaśmiecać pamięci czytelnika — jak mawia Jacek Fedorowicz), ponoć dobry znajomy niejakiego Rakowskiego Mieczysława, wypisywał różne głupstwa w prasie polskiej mające na celu skłócenie Polonii w Australii (*Kultura* 9/528). O ile wiem, został zmuszony do skrócenia pobytu u nas, ale i to wystarczyło, żeby ludziom napsuć krwi. Będąc w Polsce starałem się wyjaśniać znajomym, jak się sprawy mają naprawdę.

●

Pierwszym Polakiem, którego spotkałem w Wiedniu, był prof. Zdzisław Kaczmarek (ten sam, który wyrzucił prof. Geremka z PAN). Był swego czasu dyrektorem IMGW, gdzie pracowałem i jemu pośrednio „zawdzięczam" emigrację do Australii. Z ulgą dowiedziałem się, że w Polsce już jest na emeryturze. Nie chciałem robić przedstawienia, więc zamieniłem z nim kilka słów. W pewnym momencie powiedział: „Jaki silny zespół inżynierów można by stworzyć z Polaków zamieszkałych za granicą". Istotnie, tylko po pierwsze w Polsce mieszka wciąż wielu wspaniałych inżynierów pracujących w gospodarce wodnej, których on tępił, a po drugie, wielu inżynierów wodnych zostało na zachodzie, bo nie chciało mieć nic wspólnego z osobnikami takimi jak on.

●

Wielu Polaków wzięło udział w konferencji. Referaty, których wysłuchałem, były na dobrym poziomie. Uderzyło mnie, że nasi rodacy mają tendencję do wpadania w panikę, kiedy po wystąpieniu zadają im pytania. Przyczynę wyjaśnił mi siedzący obok dr B., który powiedział: „Przecież chyba Pan wie, że w Polsce publicznie zadaje się pytania nie po to, ażeby się czegoś dowiedzieć, ale po to, żeby zaatakować prelegenta". O tym, że jest w tym stwierdzeniu źdźbło prawdy, upewnił mnie incydent, który wydarzył się następnego dnia. Po referacie pewnego Hiszpana, w dyskusji zabrał głos Niemiec z Drezna. W niezwykle agresywnym tonie powiedział, że referowane badania są do niczego i nadają się do kosza. Otóż żaden Amerykanin czy Anglik nie wypowiadałby się w ten sposób nawet gdyby był najświęciej przekonany o tym, że badania są złe. Powiedziałby raczej, że jego zdaniem można by coś zmienić, bądź, że wyniki nie potwierdzają jego badań itp. itd. Amerykanin wie, że jeżeli okaże życzliwość to może liczyć, że pytany nawiąże z nim współpracę. Wątpię, czy ów Hiszpan będzie miał ochotę do kontynuowania kontaktów z tym Niemcem. Po tym incydencie przypomniałem sobie kilka „naukowych" dyskusji z lat 70-tych. Nie różniły się wiele od wystąpienia drezdeńczyka.

W Polsce wszyscy moi znajomi utyskują na plan Balcerowicza. Jasno widać, że wiele w miarę dobrych przedsiębiorstw upadło, a wiele złych się utrzymało (w założeniach miało być na odwrót). Plan wymaga znacznych modyfikacji. Niestety nikt w Kraju nie powiedział mi, na czym te modyfikacje miałyby polegać.

W *The Financial Times* przeczytałem artykuł o Polsce. Autor uznał, że władze państwa nie mają wizji wyjścia z kryzysu i są w stanie paraliżu. Niestety trudno się nie zgodzić z tą oceną. Sądzę, że kontraktowy Sejm i osławiona „gruba kreska" przyczyniają się do atmosfery bezwładu. Jeżeli jednak „gruba kreska" była ceną, jaką Mazowiecki musiał zapłacić za bezkrwawe oddanie władzy, to czy warto ponosić teraz konsekwencje gospodarcze?

●

Znajomy zwrócił mi uwagę, jak mało było w prasie dyskusji na temat perspektyw dla Polski, gdyby pucz w Moskwie się udał. A przecież przy kontraktowym Sejmie i nie wymienionym aparacie administracyjnym średniego szczebla byłaby to groźna sytuacja. Czyżby nasi politycy zajęci osobistymi rozgrywkami nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji? A jeżeli zdawali sobie sprawę, to dlaczego nie dzielą się swoimi opiniami ze społeczeństwem?

●

Andrzej Osęka powiedział parę lat temu w Sydney, że Kościół w Polsce pod koniec lat 80-tych stracił historyczną okazję trwałego pozyskania dużej części inteligencji twórczej. Kler zraził sobie również i dużą część inteligencji technicznej. Oto przykłady dwóch nauczycieli akademickich. Obaj są głęboko wierzącymi katolikami, uczęszczającymi regularnie na msze. W latach poprzednich promocje ich były często opóźniane ze względu na ich głęboką i manifestowaną religijność. Teraz nietolerancyjne kazania wygłaszane często przez duchownych, w których przewija się nuta: dobry Polak równa się dobry katolik, a reszta jest w najlepszym przypadku podejrzana — zraziły ich do kilku księży, z którymi mieli do czynienia. Jeden z nich zdecydował się kandydować do Senatu z listy Unii Demokratycznej, bo uważa Kuronia i Michnika za ludzi bardziej tolerancyjnych niż wielu działaczy chadeckich.

Dziś zabawnie brzmi „taktowne" stwierdzenie pewnego księdza wypowiedziane w stanie wojennym do drugiego: „Bo wie pan, Panie Profesorze, wszystkich porządnych ludzi już wsadzili. Na wolności została sama hołota".

●

W związku z nadmiarem towarów w sklepach, sprzedawcy uśmiechają się do klientów. Słyszy się „proszę" i „dziękuję" wypowiadane z uśmiechem. Można też wymienić towar (nie wszędzie). To dobrze. Jest nadzieja, że obyczaje się poprawią, bo nawyki dobrego traktowania klienta przeniesione zostaną na rodziny i znajomych, a w dalszej kolejności i na obcych ludzi.

W innych sytuacjach „proszę" i „dziękuję" niestety wciąż są rzadkością. Pewien znajomy przedsiębiorca (nazwijmy go Szefem) w rozmowach z podwładnymi używa bardzo często słów niecenzuralnych. Przykro mi było słuchać, bo to człowiek zasłużony dla „S". Odniosłem również wrażenie, że Szef uważa, że o wszystkim powinien decydować sam. Ciekawe, że sporo pisywał w prasie o rozbudzaniu inicjatywy oddolnej. Nie daję dużych szans na rozwój jego firmy mimo niewątpliwego talentu Szefa w swoim zawodzie i mimo, że obecnie prosperuje świetnie. Jego były pracownik powiedział mi, że jeżeli ktoś wytrzyma z Szefem dłużej niż 8 miesięcy, uważany jest za weterana.

●

Na szosach straszno. Jechałem z Warszawy przez Łódź do Częstochowy i z powrotem. Kierowcy w silnych wozach marek zachodnich z rejestracją krajową często utrzymywali za mną odległość nie większą niż 5 m mimo, że akurat w danej sytuacji nie mieli żadnej szansy mnie wyprzedzić, a ja jechałem z prędkością od 100 do 120 km na godz., czyli również łamałem przepisy drogowe. Znajomy twierdził, że to nowa burżuazja odbija sobie za frustracje poprzednich lat. Być może, faktem jest, że ludzie są wciąż bardzo agresywni w stosunku do swych bliźnich. Jak mi mówiono, wypadków drogowych jest mnóstwo i nie dziwi mnie to, bo drogi polskie nie nadają się do szybszej jazdy niż właśnie 120 km na godz.

●

Polska telewizja też może dostarczyć „ważnych" informacji. W sprawozdaniach z Międzynarodowych Mistrzostw Tenisowych Stanów Zjednoczonych trzykrotnie dowiedziałem się, że Aaron Kriekstein jest synem rabina. Niestety niewiele dowiedziałem się o formie tego zawodnika, który w ćwierćfinale został wyeliminowany przez Connorsa. Tenisem interesuję się od wielu lat, Kriekstein często pokazywany jest w australijskiej TV. Komentatorzy tej klasy co John Newcombe czy Tony Trabert zawsze koncentrowali się na jego grze czy zachowaniu (zazwyczaj wzorowym), a nigdy nie wspominali o jego pochodzeniu. Ale to są fachowcy.

●

W urzędach ponure wrażenie wywierają puste korytarze z pozamykanymi drzwiami. Jest kiepska informacja. Żeby trafić do właściwego urzędnika, trzeba przed każdymi drzwiami czytać tab-

liczki z nazwiskami. Skoro nie ma pieniędzy na opłacenie wystarczającej ilości recepcjonistek, to proponuję wydać rozporządzenie o obowiązku utrzymywania otwartych drzwi z wyjątkiem, kiedy dyskutowane są sprawy personalne. Dodatkowa korzyść, interesant szybko stwierdzi, że to urząd jest dla niego, a nie on dla urzędu. Koszty inwestycyjne — na klocki do zapobiegania zatrzaskiwaniu się drzwi.

Plaga tytułomanii wywołuje rozwarstwienie w zakładach pracy. W Australii i wszędzie w krajach anglosaskich wszyscy są ze sobą na ty. Nasz generalny dyrektor (i cała „góra") często chodzi z pracownikami na piwo i spotyka się po pracy przy wielu okazjach. To buduje morale zespołu. Uważam, że szczególnie teraz, w ciężkiej sytuacji, w jakiej Polska się znajduje, „góra" powinna często spotykać się z szeregowymi pracownikami (gońce, sprzątaczki też) w okolicznościach nieformalnych, po to, żeby ludziom dodawać ducha. Żeby pracownicy wiedzieli, że dyrektor też nie krezus, tylko borykający się z trudnościami (i z brakiem pieniędzy) człowiek. Że w końcu tylko wspólnie mogą coś osiągnąć. Myślę, że obawa przed możliwością natknięcia się na stek wyzwisk ze strony pracowników powstrzymuje wielu porządnych ludzi przed takimi spotkaniami. Początkowo to się może zdarzyć, ale takie są koszta zajmowania wyższych stanowisk, szczególnie w kraju, w którym celowo społeczeństwo starano się pozbawić kultury obcowania.

●

Podczas mego pobytu na dobre rozpoczęła się kampania przed wyborami do Sejmu. Wielu młodych ludzi zbierało podpisy potrzebne do zarejestrowania kandydatów. Dla człowieka mieszkającego od kilkunastu lat w Australii właśnie to jest uderzające, bowiem w Australii raczej ludzie w średnim i podeszłym wieku pomagają w kampaniach wyborczych, właściwie wszystkich partii politycznych. Myślę, że to dobrze, że wśród młodzieży jest sporo entuzjazmu do działalności politycznej. Może nie będzie tak źle, jak przepowiadają moi znajomi, narzekający na zobojętnienie społeczeństwa.

Na spotkanie ze znajomymi pod pomnikiem Chopina w Łazienkach przyszedłem przed czasem. Nie mając wiele do roboty, wdałem się w rozmowę z sympatyczną dziewczyną, która zbierała podpisy na rzecz jakiejś partii liberalnej. Rozmowa przebiegła mniej więcej następująco:

— Proszę poprzeć kandydata N.

— Ale ja jestem z Australii.

— To nic nie szkodzi, przecież jest Pan Polakiem.

— Chyba jednak nie powinienem, bo przecież ja zupełnie nie znam kandydatów. Poza tym to nie ja będę ponosił konsekwencje jeżeli okaże się, że wasi kandydaci są nieodpowiedni.

— (chwila namysłu) Ma Pan chyba rację.

No cóż, ta miła dziewczyna zrozumiała. Pytanie, dlaczego tej prostej prawdy nie chcą zrozumieć nasi politycy oraz przywódcy emigracyjni i upierają się przy udziale emigracji w wyborach.

●

W sumie moje wrażenia z pobytu są zdecydowanie dodatnie. Odnoszę wrażenie, że wciąż wśród moich znajomych jest dużo dobrej woli do wyciągnięcia Kraju z kryzysu. Wola ta niestety idzie na marne, bo „wodzowie" nie śpieszą się z przeprowadzeniem prac ustawodawczych o zasadniczym znaczeniu dla Kraju. Przede wszystkim nowej konstytucji, potem nowego kodeksu postępowania administracyjnego. Egzemplarza nowej ustawy o inwestycjach zagranicznych nie udało mi się dostać, a przecież ustawa ta powinna być dostępna wszędzie. Odnoszę wrażenie, że działalność gospodarcza w Polsce to strefa szarości. Tak naprawdę to nikt nie wie, czego się trzymać. Stąd tyle skandali i nadużyć gospodarczych. Należy się modlić, żeby wybory były już za nami i Sejm wziął się za sprawy zasadnicze.

Brisbane, 28 września 1991 r.

Wojciech POPŁAWSKI

WAWEL
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Archiwum polityczne

Oświadczenie

Nasze narody wychodzą spod ruin upadłego nareszcie komunizmu w stanie szoku. Ludzie słusznie oczekują — jak długo jeszcze mają czekać? — godziwego, a nie męczeńskiego życia. Na razie jednak tkwimy w chaosie bied. Na przykład po dziś dzień nie dano ludziom ziemi do uprawy, nawet małych nadziałów. Nasz przemysł został sprowadzony do stanu pierwotnego. Zatruta jest cała przyroda. Tymczasem jacyś cwaniacy cichcem sprzedają albo zastawiają bezzwrotnie nasze ocalałe jeszcze bogactwa, naszą przyszłość — a co zostanie dla nas, a przede wszystkim dla naszych dzieci? Dla ludzi pracy wszystko tylko nieubłaganie drożeje i drożeje. A jaki powszechny upadek norm moralnych, jakie spodlenie duchowe!

Ale w tej katastrofie zróbmy choć tyle, by własnymi rękami nie piętrzyć nowych udręk dla ludzi, nowych niesprawiedliwości na przyszłość. Oto po barykadach w Moskwie, po moskiewskim sierpniowym obaleniu komunizmu otwarła się przed republikami po raz pierwszy realna możliwość utworzenia odrębnych państw. Powitałem ją już rok temu. Daj Bóg, aby każde nowe państwo szczęśliwie stanęło na nogi. (Przecież konfederacja samodzielnych państw to czcze gadanie, nie będzie zdolna do życia). Nie powstanie jednak nic dobrego, jeżeli już pierwszym krokom niezawisłości towarzyszyć będzie dławienie części ludności, powstających nowych mniejszości narodowych. Już teraz dochodzą z rozmaitych miejsc skargi — a to na masowe prześladowania, a to na wyrzucanie z pracy za przynależność narodową; z czasem może zabronią mniejszościom uczyć dzieci w ojczystym języku, jak zabraniali komuniści? Nasze wspólne, gorzkie sowieckie doświadczenie wystarczająco nas przekonało, że żadna racja stanu nie może uzasadniać gwałtu na ludziach. Wszyscy powinni mieć zapewniony wolny, spokojny żywot.

To doskonale, że zostanie rozpisane referendum na terenie

byłej Ukraińskiej SSR. Ale tylko, jeżeli zostanie przeprowadzone absolutnie uczciwie. Wzywam wszystkich, od kogo to zależy i kto może na to wpłynąć:

— aby pytanie w biuletynie brzmiało jasno (nie jak w minionym, marcowym referendum w ZSSR) i dawało głosującym rzeczywistą wolność wyboru, bez mętnych wypaczeń sensu;

— aby, zgodnie z normami światowymi, nie wywierano nacisku na głosujących, nie fałszowano, a w miarę możności powierzono nadzór neutralnym komisjom. I

— aby wyniki referendum obliczano osobno dla każdego obwodu; każdy obwód powinien sam zdecydować, dokąd należy.

Różne obwody mają rozmaite korzenie historyczne, odmienny zestaw ludności, i los mieszkańców obwodu nie może zależeć od średniej arytmetycznej z rozległej, 50-milionowej republiki. Ci, którzy we Lwowie i Kijowie nareszcie obalają pomniki Lenina, kłaniają się nie wiedzieć czemu, jak jakiejś świętości, fałszywym leninowskim granicom, wytyczonym często w krwawym zaraniu władzy sowieckiej tylko po to, żeby zapewnić stabilność reżymu komunistycznego. Przy zdecydowaniu Ukrainy, aby się całkowicie usamodzielnić, do czego ma pełne prawo, takie globalne podliczenie głosów w tych granicach może okazać się zgubne dla losów wielu milionów ludności rosyjskiej. I powstaną strefy przyszłych napięć.

Zapewnijcie uczciwe, wolne głosowanie — i wszyscy mu się podporządkują. Dajcie wszystkim prawdziwą wolność wyboru — i wtedy, niezależnie od rezultatu, samookreślenie zostanie uszanowane, i gorąco pogratulujemy Ukrainie wskrzeszenia jej państwowego i kulturalnego bytu.

Sąsiadami będziemy zawsze. Bądźmyż dobrymi sąsiadami.

7 października 1991

Aleksander SOŁŻENICYN

Stosunki sowiecko-japońskie

Przemawiając na otwarciu konferencji szkoleniowej japońskiej Partii Liberalno-Demokratycznej w Shizuoka dnia 7 września, premier Japonii T. Kaifu oświadczył m.in. „Obecne wydarzenia w Rosji mają doniosłe znaczenie dla gospodarki i bezpieczeństwa narodowego Japonii. Japonia dołoży więc wszel-

kich starań, by obecne przemiany w Rosji w kierunku pełnej demokracji przebiegały jak najbardziej pokojowo i bez zakłóceń". Wypowiedź premiera Kaifu uwypukla tu w bardzo wymowny sposób nadzieje, jakie Japonia wiąże z przebłyskiem demokracji w Rosji oraz jej powrotem do kręgu cywilizowanych państw świata. Ożywiona wymiana dyplomatyczna na osi Tokio-Moskwa od czasu nieudanego puczu wskazuje wyraźnie na autentyczne przełamywanie impasu w stosunkach między dwoma gigantami na Dalekim Wschodzie.

Fiasko polityki dalekowschodniej Gorbaczowa

Japonia, tak ze względów geopolitycznych jak bilateralnych (spór o Kuryle) pozostawała długo i uparcie poza nawiasem ogólnego odprężenia między Zachodem a Związkiem Sowieckim[1]. Umiarkowany optymizm przed przyjazdem Gorbaczowa do Tokio w kwietniu br., oparty na pogłoskach „przełomowej" oferty w sprawie Wysp Kurylskich, okazał się kolejnym rozczarowaniem. „Nowy" pakiet Gorbaczowa nie tylko nie wniósł niczego nowego do sporu terytorialnego, lecz był wyraźnym regresem wobec 5-punktowego planu, jaki rok przed Gorbaczowem przedstawił w Tokio Borys Jelcyn. Jak wynika z późniejszych analiz japońskich, aspekt strategiczno-militarny był nadal największą przeszkodą dla ustępstw w sprawie Kurylów, wykazując ponad wszelką wątpliwość, iż w ważnych sprawach strategicznych Gorbaczow pozostawał w kleszczach swych wojskowych, niezdolny do podjęcia decyzji. W tej sytuacji Tokio, zawsze podejrzliwe wobec sowieckich inicjatyw bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie, odrzuciło projekt Gorbaczowa szerszego aliansu politycznego między ZSSR, Japonią i USA, z ewentualnym dołączeniem Chin. Największym ciosem dla Gorbaczowa był brak nawet mglistych obietnic pomocy gospodarczej, o którą usilnie w Tokio zabiegał.

Brak porozumienia politycznego i postępu w sprawie Kurylów był też jedną z przyczyn chłodnego stanowiska Japonii wobec późniejszych, desperackich zabiegów Moskwy o pomoc gospodarczą Zachodu, chociaż zapewne nie jedyną. Japonia stała na stanowisku, iż pompowanie dalszych sum do gospodarki sowieckiej, bez uprzedniej likwidacji systemu komunistycznego, byłoby równoznaczne z marnotrawstwem na jakie ani Zachód ani Japonia nie mogą sobie pozwolić. Na nic nie zdały się naciski europejskich partnerów Japonii i wzmożone wysiłki dyplomacji sowieckiej. Zaledwie na kilka dni przed rozpoczęciem lipcowego szczytu Grupy Siedmiu w Londynie przybył do Tokio członek państwowej Rady Bezpieczeństwa Primakow, z osobistym apelem od Gorbaczowa, iż „ważą się losy demokracji w ZSSR", lecz spotkał się z odmowną odpowiedzią premiera Kaifu. Na lipcowym szczycie w Londynie minister spraw zagranicznych Japonii podał dwie główne przyczyny negatywnego stanowiska Japonii wobec apelu Gorbaczowa. Po pierwsze, ZSSR nadal utrzymuje swą produkcję militarną na niezmienionym poziomie, bez żadnych postępów w redukcji zbrojeń na Dalekim Wschodzie. W tym względzie Związek Sowiecki pozostaje nadal głównym źródłem zagrożenia dla bezpieczeństwa Japonii. Po drugie, pomimo znacznych przemian wewnątrz-politycznych, ZSSR nadal podtrzymuje ustrój komunistyczny, w którym zasadnicze reformy gospodarcze są niemożliwe. Dopiero radykalne zmiany ustrojowe skłonią Japonię do zmiany polityki gospodarczej wobec Moskwy.

Twarda i nieprzejednana postawa Japonii, równolegle z niechętnym i ostrożnym nastawieniem ze strony USA i Wielkiej Brytanii, odegrała więc kluczową rolę w zablokowaniu pakietu finansowego dla Gorbaczowa, jaki skłonni byli mu przyznać europejscy partnerzy Japonii, głównie Niemcy[2].

Stawka na Rosję

Nieudany zamach stanu w Moskwie, a w konsekwencji wzrost znaczenia politycznego Rosji Jelcyna, stworzyły zupełnie nowe warunki dla dalszego rozwoju stosunków japońsko-rosyjskich. Jednakowoż punktem przełomowym, sygnalizującym autentyczne przełamywanie losów na osi Tokio-Moskwa, było rozwiązanie partii komunistycznej, które minister spraw zagranicznych Nakayama przywitał jako „pierwszy, zasadniczy krok na drodze do pełnej normalizacji stosunków między obu krajami". Upadek komunizmu spotkał się z powszechnie entuzjastycznym przyjęciem w prasie japońskiej. Komentarz redakcyjny wpływowego dziennika *nihon keizai shinbun* (4.9.91) określił koniec bolszewizmu w Rosji jako „najbardziej doniosłe, historyczne wydarzenie u schyłku obecnego stulecia. Historyczny rok 1989 był wprawdzie pierwszym, druzgocącym ciosem dla komunizmu, lecz

1. Główne problemy i aspekty impasu na osi Tokio-Moskwa przedstawiłem w artykule „Przyszłość stosunków japońsko-sowieckich", *Kultura* Nr 4/1990.

2. Według doniesień japońskich kanclerz Kohl odbył aż dwa zakulisowe spotkania z premierem Kaifu w czasie lipcowego szczytu G-7 w Londynie, nalegając na zmianę stanowiska Japonii. W po-szczytowym wywiadzie dla prasy „obarczył Japonię główną odpowiedzialnością za brak porozumienia w sprawie pakietu dla Gorbaczowa", ostrzegając przed groźnymi konsekwencjami takiej krótkowzroczności.

nie ostatecznym, jakim jest likwidacja komunizmu w samej kolebce jego powstania".

Świeże sygnały poprawy stosunków z Japonią zaczęły przychodzić również z Moskwy. W wywiadzie dla japońskiej agencji „Jiji" dn. 27 sierpnia wiceminister spraw zagranicznych Rosji, Georgi Kunadze, podkreślał znaczenie dalekiego Wschodu, a zwłaszcza Japonii, w przyszłej polityce zagranicznej Rosji. W podobnym duchu wypowiedział się sam prezydent Rosji Borys Jelcyn w rozmowie z japońskim wiceministrem spraw zagranicznych Saito, dn. 28 sierpnia, dając do zrozumienia, iż rozwiązanie sporu o Kuryle będzie jednym z nadrzędnych priorytetów nowej polityki zagranicznej Rosji.

Ważnym wydarzeniem w kalendarzu dyplomatycznym między Moskwą a Tokio, wskazującym na wyraźną oscylację polityki japońskiej w kierunku Rosji, była wizyta delegacji parlamentu Rosji w Tokio w dn. 8-13 września. Szef delegacji rosyjskiej, Chazbułatow, wręczył premierowi Japonii osobisty list Jelcyna, wyrażający życzenie zapoczątkowania nowej ery przyjaznych stosunków między Rosją a Japonią. List ten zawiera jednak ważny postulat, iż podpisanie przyszłego układu pokojowego z Japonią jest wyłącznie sprawą Rosji, a więc jest to żądanie bezwarunkowego uznania suwerennego statusu Rosji. Wg wyjaśnień ekspertów japońskich, nacisk na jednostronne rozmowy z Rosją przedstawia nadal poważny dylemat dyplomatyczny dla rządu japońskiego. Jakkolwiek Tokio stawia wyraźnie na Rosję i Jelcyna w rozwijaniu nowych stosunków z Moskwą, to jednak nie może zupełnie ignorować wciąż istniejącego, dwuliniowego podziału władzy w Moskwie, dopóki sprawa ta nie zostanie należycie uregulowana w samej Moskwie i płaszczyźnie międzynarodowej.

Komentarze prasy japońskiej wysoko oceniły wyniki rozmów z delegacją rosyjską w Tokio dla zbliżenia japońsko-rosyjskiego, podkreślając, iż obie strony, chociaż z odmiennych względów, starały się nie czynić z Kurylów jawnego przedmiotu przetargowego w rozmowach gospodarczych.

Terytoria Północne

Sprawa Terytoriów Północnych (japoński odnośnik do Wysp Kurylskich), oprócz rozmów gospodarczych, była jednym z centralnych punktów w rozmowach z delegacją rosyjską. Nowy plan Jelcyna, który Chazbułatow wręczył premierowi Kaifu, wychodzi z głównych założeń jego pięciopunktowego planu sprzed niespełna dwóch lat, lecz zawiera nowe propozycje dla znacznego przyśpieszenia przekazania wysp pod administrację

japońską. Wg wyjaśnień Chazbułatowa udzielonych prasie japońskiej, największym problemem dla Jelcyna jest znalezienie odpowiednich ram prawnych dla zwrotu tych wysp Japonii, bez narażania na szwank własnego prestiżu politycznego w domu. Dał on wyraźnie do zrozumienia, iż wbrew lansowanym przez stronę japońską tezom, sprawa Kurylów nie jest identyczna ze sprawą odłączenia od Związku republik bałtyckich, gdyż dotyczy zasadniczo zmian terytorialnych i granicznych[3]. Niemniej Tokio przyjęło z zadowoleniem nowe propozycje rosyjskie. W wywiadzie dla prasy minister spraw zagranicznych Nakayama stwierdził, iż „nie ulega wątpliwości zdecydowanie Jelcyna na szybkie załatwienie problemu kurylskiego i wszystko wskazuje na możliwość znacznego zbliżenia japońsko-rosyjskiego u progu 21-go stulecia". W międzyczasie kolejne sygnały, potwierdzające radykalne zmiany w podejściu do Kurylów, przychodziły z Moskwy. W wywiadzie dla agencji „Jiji" nowy szef Wydziału Japonii w Instytucie Dalekiego Wschodu w Moskwie, Konstanty Salinkow, powiedział, iż nowy klimat polityczny w Rosji oznacza również definitywne odcięcie się od pozostałości dziedzictwa Jałty, a więc nowe potraktowanie sprawy Kurylów. Rosja musi powrócić do pozycji sprzed r. 1945, kiedy wyspy te były integralną częścią Japonii, oraz uznać legalne prawo Japonii do ich odzyskania. Zdaniem Salinkowa powrót Kurylów do Japonii może nastąpić w przeciągu 2-3 lat.

Kolejnym, ważnym wydarzeniem było ogłoszenie 17 września w Moskwie nowych poprawek ustawowych, usuwających konieczność referendum narodowego w sprawie zmiany granic państwa. Zdaniem ekspertów japońskich zmiany te mogą w zasadniczy sposób ułatwić i przyspieszyć proces negocjacji z rządem rosyjskim w sprawie Kurylów. Odpowiadając przed Komisją do Spraw Terytoriów Północnych Senatu japońskiego 19 września, wiceminister spraw zagranicznych Japonii Saito wyraził przekonanie, iż problem Kurylów nie był jeszcze nigdy tak bliski załatwienia jak obecnie. Podkreślił jednak, iż przyszły kieru-

3. Sprawa japońskiego zainteresowania republikami bałtyckimi, w związku ze sprawą Kurylów, ma tutaj interesujące konotacje dla Polski. Wg założeń japońskich odłączenie republik bałtyckich od ZSSR stworzyłoby sprzyjający precedens dla odłączenia Kurylów, lecz jest to rozumowanie raczej nieścisłe. Jak na to zwrócił (skądinąd słusznie) w Tokio uwagę Chazbułatow, nie uniezależnienie od Moskwy krajów bałtyckich, *lecz „zwrot" Kurylów stworzyłby tutaj precedens* dla roszczeń Polski i Rumunii wobec terenów, które zostały im po wojnie odebrane na mocy tych samych układów jałtańskich, co Kuryle Japonii. Oficjalna denuncjacja przez Moskwę tych układów ułatwi wprawdzie sprawę oddania Kurylów Japonii, lecz równocześnie może sprowokować rewizjonistyczne tendencje na zachodnich rubieżach byłego Związku Sowieckiego.

nek polityki rządowej musi być bezwarunkowo orientowany na Rosję, a nie władze Związku.

Szanse zbliżenia gospodarczego

Zarysowująca się poprawa klimatu politycznego otwiera dla Rosji realne szanse większego zbliżenia gospodarczego z Japonią. Premier Rosji Silajew, który stanął na czele nowopowstałej Ogólnozwiązkowej Komisji Gospodarczej, podkreślił już kilkakrotnie nadzieje Rosji na inwestycje japońskie, głównie w przemysłach wytwórczych, a prezydent Rosji Jelcyn powiedział otwarcie, iż zależy mu przede wszystkim na zaangażowaniu Japonii w odbudowę gospodarczą Rosji. Moskwa liczy również na prawie wyłączny udział Japonii w eksploatacji złóż naturalnych w rejonach Sachalina i Chabarowska oraz na pomoc japońską w usprawnieniu wydobycia nafty, której produkcja dramatycznie spada, z groźnymi konsekwencjami dla przypływów dewizowych Rosji. Interesujące są plany Moskwy dotyczące „japonizacji" przedsiębiorstw i przemysłu rosyjskiego, a więc oparcia odradzającej się gospodarki Rosji nie na klasycznych modelach wolnorynkowych, lecz na modelu „gospodarki mieszanej", praktykowanej w Japonii. Na zaproszenie japońskiego Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Przemysłu (MITI) bawiła już w Tokio delegacja zrzeszenia przedsiębiorstw przemysłowych Rosji, celem omówienia zakresu japońskiej pomocy technicznej w przebudowie systemu gospodarczego Rosji.

Nie ulega wątpliwości, że również Japonia, w szerszej perspektywie czasowej, jest zainteresowana poszerzaniem współpracy gospodarczej z Rosją. Minister spraw zagranicznych Japonii Nakayama powiedział wyraźnie, iż Japonia będzie rozwijać dalekosiężne stosunki gospodarcze z Rosją, i wymienił zwiększenie obrotów handlowych, transfer technologii oraz udział w rozwoju gospodarczym rosyjskiego Dalekiego Wschodu jako trzy główne kierunki przyszłej polityki gospodarczej wobec Moskwy.

W wyniku nowej sytuacji w Rosji zmieniła się również radykalnie japońska polityka pomocy gospodarczej dla Moskwy. W trybie doraźnym i przyspieszonym Tokio będzie stopniowo zwiększać pomoc materialną i żywnościową dla Rosji, w sensie pomocy humanitarnej na czas trudnego okresu przejściowego. We wrześniu Japonia przyznała w ten sposób Rosji pakiet finansowy wysokości miliarda dolarów, przeznaczony na złagodzenie rosnącego braku podstawowych towarów i żywności oraz na wzmocnienie rubla i stabilizację finansową. Jednakowoż przyznanie większych sum, na jakie Rosja liczy w najbliższym

terminie[4], Tokio uzależnia od większej stabilizacji gospodarczej w Rosji. Wg częstych oświadczeń i wyjaśnień rządowych, Japonia nie wiąże dziś polityki pomocy gospodarczej dla Rosji bezpośrednio ze sprawą Kurylów, lecz kieruje się stanem sytuacji wewnętrznej w Rosji. Jak dotąd nie istnieją w Rosji odpowiednie warunki dla skutecznego wykorzystania większych sum, dlatego w najbliższej przyszłości Japonia ograniczy się do stopniowego zwiększania pomocy materialnej, w zależności od realnych potrzeb.

Eksperci japońscy oceniają raczej sceptycznie szanse szybkiej stabilizacji gospodarczej Rosji, spodziewając się raczej przewlekłego okresu chaosu gospodarczego, jak również niepewności wewnątrzpolitycznej. Wg wyników niedawnych ankiet dzienników japońskich, koła biznesu japońskiego wykazują nadal poważny brak zaufania inwestycyjnego do Rosji i nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie oceny takie miały ulec zasadniczemu przewartościowaniu. W tej sytuacji przyznanie Rosji znacznych kredytów rządowych miałoby raczej znikome szanse rzeczywistego wykorzystania.

●

Upadek komunizmu oraz perspektywa sąsiedztwa z nową, demokratyczną Rosją mają również doniosłe implikacje dla bezpieczeństwa narodowego Japonii. Już od kilku lat Japonia wyraża niezadowolenie z faktu, iż proces odprężenia w stosunkach Wschód-Zachód nie obejmuje Dalekiego Wschodu, ze względu na wciąż wysoki i agresywny profil militarny Związku Sowieckiego w tym rejonie. Sprawy redukcji zbrojeniowych oraz ogólnej demilitaryzacji sowieckiego Dalekiego Wschodu będą też jednym z głównych punktów rozmów o przyszłym układzie pokojowym między Rosją a Japonią. Od sukcesu na tym polu, a więc od stworzenia autentycznego klimatu odprężenia, będzie w dużej mierze zależeć dalszy rozwój stosunków japońsko-rosyjskich, na równi ze sprawą pomyślnego załatwienia sporu terytorialnego.

Perspektywa zbliżenia japońsko-rosyjskiego ma z kolei szersze, istotne znaczenie dla zawiłych problemów bezpieczeństwa w rejonie Dalekiego Wschodu i Azji. W pierwszym rzędzie może postawić znak zapytania nad dotychczasowym systemem układów

4. Chazbułatow zażądał w Tokio pomocy finansowej w wys. 8-15 miliardów dolarów, jeszcze w przeciągu b. roku. Jest jednak mało prawdopodobne, by Tokio zgodziło się na taką sumę przed uzgodnieniem kalendarza zwrotu Kurylów, nawet w sytuacji znacznej poprawy stosunków politycznych.

bilateralnych Japonii i Korei Południowej z USA, w miarę zanikania zagrożenia sowieckiego. Kompletne wycofanie militarnego i gospodarczego wsparcia Moskwy dla reżimu komunistycznego w Korei Północnej przyczyniłoby się znacznie do rozwiązania problemu koreańskiego. Ugruntowanie demokracji w Rosji pociągnie za sobą, zdaniem ekspertów japońskich, również poważne zachwianie komunizmu w Chinach. W odróżnieniu od uprzedniej nieufności wobec zabiegów i przebiegłych manewrów Gorbaczowa, rodzący się klimat zaufania między Tokio a Moskwą stwarza po raz pierwszy rzetelne przesłanki dla stworzenia nowego systemu bezpieczeństwa zbiorowego w tym rejonie, z aktywnym udziałem Rosji.

Janusz MONDRY

List z Londynu (23)

Polska emigracja polityczna po drugiej wojnie światowej zaczęła się dnia 5 lipca 1945 roku, gdy zachodnie mocarstwa cofnęły uznanie polskiemu rządowi w Londynie i trzeba się było zdecydować: zostać czy wracać. Przedtem żaden walczący żołnierz nie uważał siebie za emigranta. Końcem tej emigracji był grudniowy dzień 1990 roku, gdy na Zamku w Warszawie Prezydent Lech Wałęsa odebrał przywiezione z Londynu insygnia legalizmu.

Taka jest obecnie sytuacja, życie pokaże jak potoczą się losy milionów Polaków żyjących poza własnym krajem, a w międzyczasie jedynym zadaniem dawnych reprezentantów legalizmu jest uporządkowanie spraw materialnych i rozliczenie się z posiadanych pieniędzy. Dziwne, ale tak nie jest. Ciągle słyszy się dawne tytuły, nadal trwa rozdawanie awansów i odznaczeń. Historia go oceni, ale trzeba przyznać, że o ileż lepiej, w tych sprawach, wypada gen. Jaruzelski. Pełnił funkcję Prezydenta RP, choć wybrany jednym tylko głosem koniecznej większości, potrafił odejść i nie słyszy się, by załatwiał jakieś „zadawnione" wyróżnienia.

Początki emigracji nie były łatwe, ale nie można ich porównać z gehenną emigrantów w dziewiętnastym wieku. Nie myślę o emigracji polistopadowej, nazwanej przez historyków „Wielką". Liczyła tylko 8.000 ludzi, Adam Czartoryski czerpał

dochody ze swych majątków, choć krajem rządzili zaborcy. Myślę o setkach tysięcy nędzarzy, którzy opuszczali swe zagrody wypędzeni z nich po prostu głodem. Myśmy mieli jednak Polskie Siły Zbrojne i mocne w nich oparcie, w Wielkiej Brytanii powstał Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia, na który rząd brytyjski wydał ponad 100 milionów funtów. Stowarzyszenie Kombatantów otrzymało setki tysięcy funtów powojskowych pieniędzy, powstała z nich sieć Domów Kombatanta przede wszystkim w Wielkiej Brytanii, gdzie demobilizowała się nasza armia, ale także we Francji i w wielu innych krajach, nawet w najdalszej Australii. Oczywiście to nie była tylko pomoc Londynu, bardzo wiele osiągnięto w terenie, we własnym zakresie. Emigranci poczęli wchodzić w życie krajów, w których się osiedlili, poczęli się bogacić, poczęły powstawać partie, zrzeszenia, harcerstwo, kluby sportowe i wiele innych przejawów zbiorowego życia.

Na tle emigracji zarobkowej nasza fala posiadała tę, wprost bezcenną, kolosalną przewagę, że obejmowała bardzo liczną grupę inteligencji. Dzięki niej powstały szkoły, domy wydawnicze, uniwersytet, a przede wszystkim pisma z *Kulturą* na czele.

Słyszy się o inicjatywie przeznaczenia poważniejszej sumy z pozostałych rządowych pieniędzy na opracowanie historii emigracji i jest to inicjatywa jak najbardziej słuszna, ale z jednym zastrzeżeniem: że opracują ją ludzie fachowi z pokolenia, które nie przewodziło emigracji, zupełnie od niego niezależni. To jest możliwe, to się już raz udało, gdy Fundacja Grabowskiego sfinansowała pracę o formowaniu się polskiej społeczności w Wielkiej Brytanii w latach 1939-1950. Angielski tytuł tej pracy brzmi, *The Formation of the Polish Community in Great Britain 1939-1950*, ukazała się w r. 1989. Jest obiektywna, obejmuje wszystkie aspekty tego okresu, ale jej redaktorem był... Brytyjczyk, a firmowała ją School of Slavonic and East European Studies londyńskiego uniwersytetu.

●

W ciągu kilku tygodni odeszło dwóch wybitnych, bardzo bliskich mi przyjaciół. 30 lipca zmarł nagle Tadeusz Lisicki, a 10 września jego los podzielił Jan Józef Lipski. Byli tak różni od siebie i tak jednocześnie podobni w cechach swych charakterów i serc w życiu najważniejszych.

Lisicki, z pokolenia, które było już dojrzałe w okresie ostatniego światowego szaleństwa, służył zawodowo jako oficer łączności i miał tytuł inżyniera. Wszystkie wojenne lata przesłużył w mundurze, bo po Kampanii Wrześniowej przedostał się do Francji, a gdy załamał się tamtejszy front, *via* Gibraltar dotarł

do Wielkiej Brytanii. Mało go znałem, nie wiedziałem jakie były jego wojenne zasługi, gdy niepodziewanie londyński *Times* wydrukował jego list, który wywołał sensację. Ujawniono już wtedy jeden z najbardziej strzeżonych wojennych sekretów, że Brytyjczycy przez cały okres walk czytali niemieckie radiowe depesze szyfrowane na Enigmie i Lisicki stwierdził, że to Polacy do tego doprowadzili. Polscy kryptoanalitycy złamali przed wojną sekret niemieckiej maszyny, od nich Brytyjczycy otrzymali wszystkie potrzebne informacje. Dwóch z nich, Rejewski i Zygalski, służyło w czasie wojny w jego batalionie łączności w Stanmore pod Londynem, był wtedy we współpracy z tajnym brytyjskim ośrodkiem kryptologii w Bletchley Park.

Minęło kilka miesięcy i Lisicki poprosił mnie na rozmowę. Poważny londyński wydawca ofiarował mu kontrakt na napisanie książki o Enigmie, on nie jest ani pisarzem ani historykiem, mnie chce ten kontrakt odstąpić, sam napisze tylko załącznik z najważniejszymi zestawieniami cyfr skomplikowanych matematycznych permutacji, które pozwoliły na złamanie niemieckiego sekretu.

Wtedy poznałem go dobrze. Na tle powszechnej rywalizacji, zawiści i walk o wyprzedzenie konkurentów, jakże szlachetnie rysowała się jego sylwetka. Stał się znaną postacią, telewizje z różnych krajów ubiegały się o wywiady, nie odmawiał, ale zawsze chciał mnie mieć ze sobą, a gdy książka była już gotowa (miała dwa wydania angielskie, dwa amerykańskie i jedno polskie), nie chciał jej firmować, mnie odstępując całkowity sukces.

Jan Józef Lipski, o kilkanaście lat młodszy, zdążył jednak dołączyć do walki, uczestnicząc jako kilkunastoletni chłopiec w Warszawskim Powstaniu. Później były studia polonistyczne i włączenie się w walkę z naporem komunizmu w opanowaniu przez Sowiety kraju. Był jednym z twórców Klubu Krzywego Koła, wykładał na „Latającym Uniwersytecie", w roku 1976 współorganizował Komitet Obrony Robotników (KOR). Niestety uderzyła weń choroba serca, przyjechał do Londynu na ciężką operację i wtedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Jakiegoż uroku, jakiej czystości serca i intencji był ten człowiek. A jednocześnie, mimo choroby serca, która powoduje stały lęk, jakiej osobistej odwagi. Był właśnie w Londynie na nowej lekarskiej, ważnej konsultacji, gdy w Polsce ogłoszono stan wojenny. Czekała nań w Warszawie sprawa sądowa o strajk w Ursusie, czekało możliwe uwięzienie, choroba usprawiedliwiała odmowę powrotu, a jednak zaraz wrócił. Byłem w Warszawie, gdy przesilenie w PPS-ie spowodowało jego ustąpienie z przewodnictwa rady. Walczył o zasady i dlatego ustąpił; gdy uznano jego pogląd za słuszny, powrócił. Nikt go tam nie zastąpi w naszym, jakże chwiejnym, politycznym życiu.

Nawet w najgorszych latach, gdy przemilczano lub fałszowano nasze emigracyjne pisarskie osiągnięcia, byli w kraju ludzie, którzy próbowali jeżeli nie publikować, to przynajmniej zbierać rzetelne informacje. Później, gdy sytuacja uległa poprawie, naukowcy z kraju poczęli odwiedzać Londyn i korzystać z naszej pomocy. Był tu kilkakrotnie dr Marek Pytasz z Uniwersytetu Śląskiego, był prof. Janusz Kryszak z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, przyjeżdżał także dr Krzysztof Dybciak z Uniwersytetu w Lublinie. Odwiedzał Bibliotekę Polską i korzystał z tamtejszych zbiorów, kontaktował się z członkami Zarządu Związku Pisarzy, który działa od jesieni 1945 roku i z natury rzeczy o piśmiennictwie emigracyjnym wie jak najwięcej. Dostarczaliśmy mu nasze wydawnictwo, *Pamiętnik Literacki*, który wychodzi od r. 1976, objął już 15 tomów i jest jedynym wydawnictwem na świecie prezentującym polskie osiągnięcia pisarskie i kulturalne poza granicami kraju. Jego główne działy to słownik żyjących i nie żyjących polskich pisarzy na obczyźnie, przekłady na języki obce, osiągnięcia Polaków w obcych językach na rynkach światowych, nagrody pisarskie, instytucje kulturalne i wiele innych. Prenumeruje go kilkadziesiąt zachodnich uniwersytetów i bibliotek, takie same instytucje otrzymują go w kraju i zawsze ślą słowa uznania („nie wiem jak mógłbym pisać cokolwiek o literaturze emigracyjnej bez znajomości *Pamiętnika*" — dr M. Pytasz; „Proszę przyjąć gratulacje z racji tak bardzo interesującego i ważnego czasopisma" — prof. S. Skwarczyńska z Łodzi; „Chciałabym pogratulować *Pamiętnika Literackiego*, jest kopalnią wiedzy o pisarzach i ich dorobku" — Anna Baniewicz, Warszawa).

Jakiś czas temu ukazała się w kraju książka Dybciaka *Panorama literatury na obczyźnie*. Już samo rozplanowanie materiału budzi zdziwienie, bo autor podzielił temat nie merytorycznie a terenowo, a chodzi przecież o okres prawie pół wieku. Dowiadujemy się więc, że polskie ośrodki literackie i kulturalne to Afryka Północna, Węgry, Rumunia, Azja Zachodnia i Siedmiogród.

Wiadomo, że najłatwiej mogła się rozwijać w zniewolonym kraju niezaangażowana literatura piękna, a najbardziej prześladowana i fałszowana była historia. Ale Dybciak ten dział osiągnięć emigracyjnych opuszcza, a podanie kilkunastu przypadkowo wybranych nazwisk niczego nie załatwia. Jednym z zadań pisarzy, których los ustawił w kulturalnych centrach zachodniego świata, było wydobycie naszej literatury i naszych osiągnięć na rynki światowe. O tym u Dybciaka nie ma ani słowa.

Związek Pisarzy, który za kilka lat będzie obchodzić 50-lecie działalności, ogranicza się u Dybciaka do pierwszego prezesa, Stanisława Strońskiego, w latach 40-tych, jednej uchwały z

roku 1956 i *Literatury Polskiej na Obczyźnie*, ale to rok 1965. Dalsze, długie i ważne lata nie istniały.

Podobnie ma się sprawa ze źródłami. Dybciak wymienia szereg pism politycznych, które z literaturą nie mają nic wspólnego (*Robotnik, Trybuna, Jutro Polski, Myśl Polska*, nawet wydawane w Moskwie *Nowe Widnokręgi*) a *Pamiętnik Literacki* kompletnie pomija. Dlaczego? Tylko psycholog, specjalista od zapiekłych kompleksów prowincjonalności i zawiści, mógłby dać na to odpowiedź.

Książka Dybciaka nosi podtytuł „Opracowanie przeznaczone dla uczniów szkół średnich". Związek Pisarzy interweniował w tej sprawie w Ministerstwie Edukacji Narodowej i otrzymał odpowiedź, że „formuła rekomendująca tę publikację uczniom i nauczycielom nie nadaje jej charakteru obowiązującego podręcznika, a jedynie książki pomocniczej".

Daleko jeszcze do dnia, w którym wszystkie rekwizyty okresu „błędów i wypaczeń" zostaną usunięte z naszego zbiorowego życia.

●

Partia „Zielonych", walcząca o czystość naszego globu i uratowanie go od samobójczej katastrofy, która w roku 1989 osiągnęła szczyt swego sukcesu i w głosowaniu do Europejskiego Parlamentu zgromadziła 15 % głosów, jest obecnie w odwrocie. W tym parlamencie, gdzie tworzą się grupy nie narodowościowe, ale polityczne, „Zieloni" z całej Europy mają 30 posłów (przewodzą socjaliści ze 180 posłami), ale ich wpływy maleją i raz jeszcze powtarza się stara prawda, że w życiu politycznym nie ma miejsca na najszlachetniejsze nawet, ale jednak nie czysto partyjne inicjatywy. Polityka to władza, to wpływy, to pieniądze i dlatego była, jest i zawsze będzie domeną, pachtem tej samej kategorii ludzi. Mogą się oblewać pomyjami, mogą się zwalczać wszystkimi sposobami w parlamencie, mogą manipulować prasą, by unicestwić politycznych konkurentów, ale gdy tylko pokaże się szlachetny amator, który może zbałamucić opinię publiczną, natychmiast się zjednoczą.

Tak było, gdy siedem lat temu trwał tutaj przez rok strajk górników, gdy ich przywódca Arthur Scargill, demagog i komunista, zapowiadał społeczny przewrót i gdy się na to zanosiło. Czuło się powiew możliwych zmian, wzmogła się arogancja śmieciarzy, urzędnicy na poczcie zaczęli być mniej grzeczni, strajkujący terroryzowali rodziny nadal pracujących, dopuścili się zbrodni morderstwa.

Wtedy kilku emerytowanych pułkowników wysunęło inicjatywę stworzenia legionu „sprawiedliwych", który podjąłby walkę

z wypaczanymi przez demagogię nastrojami społeczeństwa. Zainteresowała się tą inicjatywą prasa, odezwało się kilka przychylnych głosów, ale natychmiast zareagowali politycy ze wszystkich ugrupowań i pułkownicy szybko przycichli.

To samo czeka teraz „Zielonych" — ich szczyt już minął.

●

Wiele lat doświadczeń pokazało, że tutejsi wyborcy uzależniają swoje opinie od spraw czysto wewnętrznych: cena benzyny, procent pożyczki na dom, kilka pensów ulgi lub obciążenia w podatku dochodowym. Wydawało się, że ta reguła tym razem się nie sprawdzi. Konserwatywny premier pojechał do Rosji, do Chin, spotkał się ze światowymi przywódcami, wypowiedział kilka słusznych uwag o poszerzeniu jednoczącej się Europy, podobał się i nagle, po wielu miesiącach, partia rządząca wysunęła się przed Partię Pracy. Minął miesiąc, premier wrócił do Londynu, zajazgotała opozycja o służbie zdrowia, o procentach, o bezrobociu i socjaliści znowu są na czele. W tym roku nie odbędą się powszechne wybory.

Józef GARLIŃSKI

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

Wywiady «Kultury»

Zmieniając w marszu

O AKTUALNYCH SPRAWACH ROZGŁOŚNI POLSKIEJ RADIA WOLNA EUROPA

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI: — *Zacznijmy od obecnej sytuacji Radia Wolna Europa i jego przyszłości. Ubiegły rok był w jakimś sensie dla egzystencji tej stacji przełomowy. Niektórzy zachodni politycy i pewni dziennikarze poważnych pism dawali wielokrotnie wyraz przekonaniu, że misja Radia Wolna Europa dobiega końca. Pojawiły się spekulacje na temat dalszej egzystencji tej stacji, i na Zachodzie i w Polsce, i w kręgach zbliżonych do administracji amerykańskiej, i wśród ludzi nowego* establishment'*u w Polsce. Czy istotnie egzystencja stacji była zagrożona?*

PIOTR MROCZYK: — Dotknął pan w tym pytaniu wielu różnych spraw jednocześnie. Odpowiedź może być nieco chaotyczna, ale spróbujmy...

Czy ubiegły rok był rokiem przełomowym? Sądzę, że jesteśmy w środku okresu przełomowego; jak długo ten okres będzie trwał — trudno powiedzieć. Kiedy się zaczął? Sądzę, że zaczął się dla nas wtedy, kiedy w Polsce i w Europie Wschodniej nastąpiły wiadome zmiany. Wolna Europa, której istnienie przez całe lata związane było w sposób wręcz organiczny z tym, co dzieje się w krajach Europy Wschodniej, szczególnie zaś w Polsce, nie mogła pozostać instytucją, która nie podlega zmianom. W Polsce ostatnio rozpadły się — miejmy nadzieję, że bezpowrotnie — niektóre instytucje, upadło wiele dawnych autorytetów, pojawili się na scenie politycznej nowi ludzie, powstają nowe instytucje, których jeszcze dobrze nie znamy. Wolna Europa musi się do tego wszystkiego przystosować.

W.O.: — *Przystosować, to znaczy zmienić. Jak?*

P.M.: — Zmiany następują i będą następowały w trzech kierunkach: programowym, organizacyjnym i finansowym.

W.O.: — *Może jednak wpierw o samym bycie stacji. Czy był on zagrożony? Czy jest zagrożony?*

P.M.: — Jak pan sam na wstępie zauważył — pewni politycy na Zachodzie, a także pewni ludzie w kraju mówili, że misja Wolnej Europy w Polsce skończyła się. Rozumowanie, które kryje się za takim postawieniem sprawy, można by przedstawić następująco: Wolna Europa była instytucją antykomunistyczną, walczyła z komunizmem, wobec tego, skoro nie ma komunizmu, nie ma potrzeby istnienia Wolnej Europy. Otóż istotnie, Wolna Europa była i jest nadal instytucją zrodzoną ze sprzeciwu wobec komunizmu. Ale Wolna Europa walczyła nie tylko z komunizmem. Piętnowaliśmy patologię władzy, nadużycia władz, pokazywaliśmy nonsensy gospodarcze, mówiliśmy o różnych głupstwach w dziedzinie kultury, w ogóle o schorzeniach w dziedzinie życia społecznego. W Polsce nie ma komunizmu, ale czy te różne patologie społeczne zniknęły? Nie. Wiele z nich istnieje nadal, a niektóre będą istniały jeszcze długo. I jako pozostałości po komunizmie i jako patologie zrodzone przez dzień dzisiejszy, charakterystyczne dla okresu przełomu. Droga do pełnej niepodległości nie jest jeszcze zakończona, droga do pełnej demokracji jest jeszcze dość długa, droga do systemu gospodarczego w stylu zachodnim jest jeszcze dłuższa. Nasza rozgłośnia nadal ma do spełnienia wiele pożytecznych zadań. Jeśli tu i ówdzie w Polsce odzywały się głosy proponujące, aby Amerykanie pieniądze dotychczas wydawane na naszą instytucję lepiej wydawali na jakiś inny cel, na rozwój powiedzmy wydawnictw w Polsce, to były to propozycje żenujące, bo przecież nie ma takiego mechanizmu, który by umożliwiał przerzuty tych pieniędzy z jednego celu na inny. To były skrajne przypadki, ale muszę powiedzieć, że bulwersowały nie tylko mnie osobiście i wszystkich członków naszego zespołu, ale także przedstawicieli administracji amerykańskiej. Świadczyły o nieznajomości mechanizmów, które w tej części świata działają.

W.O.: — *Skoro jesteśmy przy finansach... czy niepewność finansowa rozgłośni, niekiedy sugerowana przez niektóre gazety — raczej w Polsce niż w Ameryce — skończyła się?*

P.M.: — Nie. Nie skończyła się. W chwili obecnej w Waszyng-

tonie rozważa się różne opcje i alternatywy dotyczące przyszłości nie tylko RWE, ale również innych finansowanych przez Kongres USA radiofonii, czy telewizji. Pewne jest jedno, że wszystkie decyzje będą podejmowane w porozumieniu tam gdzie to możliwe, z władzami zainteresowanych krajów. W przypadku naszej rozgłośni z władzami Rzeczypospolitej. Duży wpływ na ewentualne decyzje będzie oczywiście miał rozwój sytuacji zarówno w Polsce, jak i w pozostałych krajach tego regionu. Trwają w tej chwili prace specjalnej komisji, powołanej przez prezydenta Busha, dla zbadania między innymi możliwości połączenia różnych amerykańskich radiofonii, czy stacji telewizyjnych, nadających za granicę. Sądzę, że opcje są następujące: zachowanie *status quo*, połączenie z Głosem Ameryki (tu istnieją różne warianty rozwiązań), prywatyzacja i komercjalizacja — nie w sensie programowym, lecz finansowym. Nie można również wykluczyć zamknięcia rozgłośni.

W.O.: — *To znaczy, że sytuacja Rozgłośni Polskiej RWE nie jest obecnie ustabilizowana?*

P.M.: — Istotnie nie jest. Natomiast jeśli do naszej pracy nie ma zastrzeżeń politycznych, a ze wszystkich poważnych opiniotwórczych ośrodków politycznych z Polski nadchodzą głosy, że jesteśmy potrzebni w nadchodzącym trudnym okresie, szczególnie wobec bardzo niestabilnej sytuacji politycznej w Polsce, pełnej zagrożeń dla demokracji i niebezpieczeństw wynikających z jeszcze niepewniejszej niż w Polsce sytuacji w Sowietach — to są to elementy, które przemawiają za kontynuowaniem prac naszej rozgłośni. Ma ona opinię bardzo dobrego zespołu fachowców, którzy swą pracą mogą na wielu odcinkach wiele pomóc swemu krajowi, zarówno informacją, jak i komentarzami.

W.O.: — *W tej chwili przeżywamy nowy etap rozwoju programowego. Wydzierżawiliśmy od warszawskiego radia część czwartego programu i nadajemy także na falach średnich. Jesteśmy w związku z tym bardzo dobrze słyszalni. Może zacznijmy od tego: czy uzależniło nas to administracyjnie od Komitetu radiofonii krajowej? Czy może nam się wtrącać w nasz program, kontrolować go? Jak to wygląda?*

P.M.: — Pan użył chyba najwłaściwszego określenia: wydzierżawiliśmy „czas" od Komitetu do Spraw Radia i Telewizji. Dotychczas ten czas wykorzystywany był na potrzeby warszawskiego programu czwartego. Nie chcę wdawać się w szczegóły tej operacji finansowo-technicznej, ale zapłaciliśmy za tę dzierżawę pewną sumę w milionach dolarów i w postaci finansowania przebudowy części krajowych nadajników, jak i budowy przekaźników satelitarnych. Pyta pan, czy nasze wejście na średnie fale warszawskiego programu oznacza, że jesteśmy w jakikolwiek sposób uzależnieni od Komitetu do Spraw Radia i Telewizji? Oczywiście, że nie. Jesteśmy uzależnieni o tyle tylko, że teoretycznie Komitet do Spraw Radia mógłby zerwać umowę i nam wypowiedzieć te nadajniki, czy ten „czas". Jeśli wynajmuje się mieszkanie w dużym bloku, to sposób życia, styl życia wynajmującego nie są w żaden sposób uzależnione od właściciela tego budynku. Więc nie jesteśmy ani programowo ani administracyjnie zależni od jakiejkolwiek komórki administracyjnej czy programowej Komitetu do Spraw Radia i Telewizji. To było od samego początku jasno postawione. Muszę powiedzieć, że druga strona, nasi partnerzy nawet o czymś takim, jak kontrola programu nie wspominali. Oczywiście, było jasne, że musimy działać w ramach przepisów prawnych, które w Polsce obowiązują, a interpretacja tych przepisów była przedmiotem długich i trudnych negocjacji.

W.O.: — *Czy te przepisy prawne ograniczają naszą działalność programową?*

P.M.: — Nie, w żaden sposób. Oczywiście, że jeśli kogoś obrazimy, to będziemy musieli z powództwa cywilnego odpowiadać, to jest zupełnie jasne. Albo jeśli pomylimy się, to musimy zdementować.

W.O.: — *Ale jeżeli jakaś stacja zachodnia obrazi jakiegoś polityka zachodniego, to też musi za to odpowiadać. I też odwołuje pomyłki, ogłasza sprostowania.*

P.M.: — W tej więc mierze podlegamy ogólnie obowiązującym przepisom, czy też kodeksowi dziennikarskiemu. Ale to nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek kontrolą programu czy wtrącaniem się do programu.

W.O.: — *Dodatkowe wejście naszego programu na bardzo dobrze słyszalne fale średnie, to wyzwanie dla zespołu...?*

P.M.: — Ma pan rację, jest to dla nas, dla naszej rozgłośni, dla naszego zespołu poważne wyzwanie. Walcząc z komunizmem mieliśmy przez lata jak gdyby automatycznie zawsze merytorycznie rację. Wobec tego formalnie nie musieliśmy specjalnie zasta-

nawiać się nad opakowaniem naszych racji. Forma radiowa nigdy nie miała większego znaczenia, generalnie mówiąc. Na ogół najważniejsza była treść, forma miała drugorzędne znaczenie. W tej chwili forma jest co najmniej równie ważna jak treść. Teraz zaczynają pojawiać się u nas formy przedtem mało używane: reportaż radiowy, przeróżne montaże słowno-dźwiękowe, audycje tak zwane „na żywo" i różne inne, bardziej skomplikowane formuły programu radiowego. Nasz zespół w tym kierunku się przestawia. Mam nadzieję, że sprostamy temu zadaniu. Za nami przemawia tradycja, znakomite źródła informacji i dostęp do nich, znakomite środki łączności, które pozwalają nam łączyć się błyskawicznie z każdym zakątkiem globu ziemskiego. Mamy archiwa, które są kopalnią danych, do których inne ośrodki masowego przekazu w Polsce nie mają dostępu. Za nami przemawia także nasza niezależność. A również i to, że obserwujemy i interpretujemy to, co się w Polsce dzieje z zewnątrz, w wewnętrzne spory polityczne nie mieszając się. W Polsce wprawdzie został złamany monopol polityczny, kierujący środkami masowego przekazu, ale nie oznacza to, że większość środków masowego przekazu przestała już być w taki czy inny sposób dyspozycyjna wobec takiego czy innego ośrodka władzy politycznej. To samo jest z prasą. W Polsce jest niewiele poważnych gazet, dzienników, czy tygodników, które byłyby politycznie zupełnie niezależne.

W.O.: — *Jak od strony politycznej wyobraża pan sobie naszą konkurencję ze środkami masowego przekazu w kraju?*

P.M.: — Uważam, że nasze radio jest radiem politycznym w tym sensie, że zajmuje się polityką. Opisuje politykę — zdarzenia polityczne, instytucje polityczne, ludzi polityki — tłumaczy zdarzenia polityczne i interpretuje je. W tym sensie jesteśmy rozgłośnią polityczną. Natomiast nie uprawiamy polityki. Przedtem ją uprawialiśmy. Przedtem mieliśmy wyraźny i oczywisty nakaz ideowy, by to robić. Co więcej — mieliśmy mandat ku temu dany przez Amerykanów i naszą polityczną emigrację. Także przez zniewolony kraj. Wtedy mogliśmy mówić: rząd nie ma racji, władza się myli, Sejm kłamie, partia łże; mieliśmy na to oczywisty mandat. W tej chwili takiego mandatu nie mamy, bo nie można powiedzieć, że Sejm kłamie, bo to po prostu jest nieprawdą, wszystko zależy od tego kto mówi, dlaczego i w jakim momencie. Nasza siła polega na tym, że będąc niezależni od polskiego rządu, od Sejmu, od urzędu prezydenta, możemy sobie pozwolić na to, aby jak gdyby z lotu ptaka przyglądać się i interpretować, także krytykować, oraz ukazywać różne opcje.

W.O.: — *Niezależnie od rządu, Sejmu, prezydenta, czy także od partii politycznych?*

P.M.: — Tym bardziej jesteśmy niezależni od poszczególnych partii. Także ugrupowań, prądów, instytucji. To jest nasza siła. Ale z drugiej strony jest to nasza słabość. Bo praktycznie, wobec bardzo ostrych konfliktów i podziałów politycznych w Polsce, ci którzy biorą udział w konfliktach są uczestnikami tych sporów, chcą mieć swój środek przekazu, chcą się identyfikować ze swoją gazetą, chcą mieć swoje radio, chcą mieć swoją telewizję. Ponieważ jednak my — co nie oznacza, że jesteśmy przeciwko nim — nie jesteśmy z nimi, odwracają się niekiedy od nas. Nasze niemieszanie się odbiera nam część słuchaczy.

W.O.: — *A nawet przyczynia nam wrogów.*

P.M.: — Oczywiście. To jest nieuniknione. Mam jednak nadzieję, że Polacy po pewnym czasie docenią wartość niezależnego środka masowego przekazu. Widać ją zresztą szczególnie w sytuacjach zagrożeń, napięć społecznych czy politycznych. Jestem przekonany, że teraz, w okresie wyborczym, nasze audytorium gwałtownie wzrośnie. Bo jednak nasza tradycja, opinia, że jesteśmy niezależni, będą za nami przemawiały. Zauważyłem ciekawą rzecz: w okresie poprzedzającym wybory prezydenckie mieliśmy najwięcej zwolenników wśród opozycji. To się nie zmienia. Dzisiaj nadal mamy więcej zwolenników wśród opozycji.

W.O.: — *Czy na zakończenie nie powiedziałby pan kilku słów o samych zmianach programowych, które następują mniej więcej od maja w związku z naszym wejściem na fale średnie wydzierżawione od czwartego programu? Pewne programy zostały przesunięte na stałe, inne na okres próbny. Poza tym dokonała się w programie duża zmiana ilościowa. Myślę o premierach i powtórzeniach.*

P.M.: — Najważniejszą zmianą z punktu widzenia naszych słuchaczy jest fakt, że musieliśmy zrezygnować z powtórzeń. To nie jest dla nas zmiana korzystna. Słuchacze byli przyzwyczajeni do powtórzeń. Wiedzieli, że mogą nas wysłuchać jeżeli nie o tej, to o innej godzinie. Powtórzenia były dla słuchacza wielkim ułatwieniem życiowym. Podkreślam jednak, że nie była to nasza decyzja, lecz wspólna decyzja polsko-amerykańska. Najbardziej przekonywującym argumentem na rzecz zniesienia powtórek był fakt, że przestaliśmy być zagłuszani i wobec tego nie ma powo-

du, żeby przez dwadzieścia cztery godziny trzy razy powtarzać program. To była najważniejsza zmiana. Spotkała się ona z wieloma pretensjami z kraju.

W.O.: — *Bardzo ostrymi.*

P.M.: — Tak, ale jednocześnie nie zauważono, że faktycznie program nasz się zwiększył. Nigdy w historii RWE program premierowy oryginalny nie był tak obszerny. Ponadto wprowadziliśmy program poranny, który dla nas samych jest nowością. Przez lata w godzinach porannych powtarzaliśmy z poprzedniego dnia *Panoramę* i *Fakty, Wydarzenia, Opinie.* Teraz tego nie ma. Program poranny zawiera wiele bardzo pożytecznych informacji. Muzykę staramy się ograniczyć do minimum, ale mimo że pamiętamy o polskiej specyfice, to jednak wiemy również, że program poranny na całym świecie ma pewną cechę charakterystyczną. Musi być lżejszy, a zarazem bardziej dynamiczny od pozostałych. Nadajemy go non-stop od godziny szóstej do godziny ósmej. Zakładamy, że w tym przedziale czasowym słuchają nas cztery grupy słuchaczy, którzy się po prostu budzą. Jedni o szóstej, inni o szóstej trzydzieści, inni o siódmej, wreszcie o siódmej trzydzieści. Więc program ten ma swoje reguły. Nie chcę tu wchodzić w szczegóły, bo jak pan sam zauważył, w tej chwili dostosowujemy się do słuchacza; badamy cały czas to, co się dzieje w Polsce i kiedy nasz słuchacz chce się o tym dowiadywać, w jakich audycjach. Jednym słowem badamy rynek i niejako zmieniamy program w marszu... To jest proces nużący dla słuchacza i nużący dla zespołu, mam pełną świadomość tego. Ale tylko takie zmiany, próby i znowu zmiany pozwolą nam wypracować nową formułę nadawania.

W.O.: — *A zmiany najbardziej spektakularne?* Fakty, Wydarzenia, Opinie? Panorama?

P.M.: — To właśnie są zmiany najbardziej spektakularne. Przesunęliśmy *Fakty* z godziny dwudziestej trzeciej na godzinę dwudziestą drugą. Przerzuciliśmy także na godzinę dwudziestą trzecią *Panoramę.* Tę decyzję podjęliśmy po długich dyskusjach. Skłoniło nas do tego to, że jednak wszystkie badania wskazywały, iż znacznie więcej ludzi słucha radia, w tym naszej rozgłośni, pomiędzy dwudziestą drugą i dwudziestą trzecią, niż powiedzmy pomiędzy dwudziestą trzecią i dwudziestą czwartą. A przecież *Fakty* uważaliśmy i nadal uważamy za nasz statek flagowy. To jest nasz najważniejszy program. Dlatego zależało nam, żeby udostępnić ten program jak największej liczbie słuchaczy. Część się oburzyła, bo przez lata była przyzwyczajona do wysłuchiwania tego programu o godzinie dwudziestej trzeciej i nagle zmuszona jest słuchać go o dwudziestej drugiej. Na wytłumaczenie mogę powiedzieć tylko tyle — przepraszając naszych wiernych słuchaczy za te zmiany — że zależy nam nie tylko na zatrzymaniu ich przy nas, ale nadto na znalezieniu nowych słuchaczy. Te zmiany są podyktowane właściwie trochę zapotrzebowaniem na nowego słuchacza. Nie zdradzamy jednak przyjaciół starych na rzecz jeszcze nieznanych przyjaciół nowych, prosimy tylko wszystkich o cierpliwość i o wyrozumiałość, bo robimy to we wspólnym interesie. Jeżeli chcą, żeby to radio funkcjonowało nadal, to musi ono być słuchane przez większą liczbę ludzi. Wobec tego liczymy na to, że nasi starzy przyjaciele będą nas słuchać, a jednocześnie zrozumieją, że od czasu do czasu musimy dokonywać pewnych zabiegów niejako ich kosztem na rzecz pozyskania sobie nowego słuchacza.

Rozmawiał Włodzimierz ODOJEWSKI

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości $ US 50 natychmiast, nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne. Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Rd, London SW5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

Informacje: Madame C. Piquard-Zabłocki, 12, rue Condorcet, 75009 Paris, France, Tel.: 42 85 79 45

O religii bez namaszczenia

Religijna zimna wojna

Trudno to inaczej nazwać. Blisko ćwierć wieku temu w Jerozolimie papież Paweł VI i patriarcha konstantynopolitański Atenagoras poprzysięgli sobie i Bogu zakończyć trwający od dziewięciu stuleci rozłam między Kościołem zachodnim i wschodnim, ściślej między rzymskim katolicyzmem a prawosławiem. Ale stosunki religijne między Wschodem i Zachodem pozostały równie złe jak były zawsze w ciągu ubiegłego tysiąclecia, a ostatnio uległy nawet znacznemu pogorszeniu. Kościoły mają długą pamięć. Zimna wojna polityczna zakończyła się zaledwie po pięćdziesięciu latach (czy jak kto tam woli określać jej ramy czasowe) i może właśnie dlatego konflikt religijny wybuchł teraz z taką siłą. Tak samo jak europejskie nacjonalizmy, do tej pory przytłamszone komunistyczną niewolą czy w inny sposób podporządkowane nadrzędnym celom w światowym konflikcie ideologicznym. Teraz wybuchła wolność i w miejsce jednego konfliktu Wschód-Zachód mamy ich dziesiątki — przemieszane z sobą konflikty polityczne, narodowościowe i religijne (bo na przykład w wojnie domowej w Jugosławii też gra rolę konflikt religijny między katolickimi Chorwatami i Słoweńcami a prawosławnymi Serbami). Przy tym archaiczna postkomunistyczna wolność odsłoniła w całej nagości fakt, że instytucje religijne są tak samo zazdrosne o swoją tożsamość i swoje interesy i potrafią o nie walczyć równie zawzięcie, jak narody i państwa i partie. Kościoły i wyznania są także instytucjami politycznymi. Kościoły i wyznania, podobnie jak narody, państwa i partie, też lubią sobie samym oddawać bałwochwalczą cześć. Tylko że im to jeszcze mniej przystoi niż instytucjom świeckim, gdyż bałwochwalstwo podkopuje ich rację bytu, którą jest służenie prawdziwemu Bogu. Dlatego tak ważne jest, by stale mieć przed oczyma różnicę między aspektem instytucjonalnym religii a jej wewnętrzną treścią.

Z chwilą upadku komunizmu wschodnioeuropejskie prawosławie uzyskało pełną wolność religijną, ale utraciło instytucjonalne oparcie, którym było dla niego tradycyjne państwo, najpierw carskie, a potem, przynajmniej od czasu wojny, państwo komunistyczne. To ono gwarantowało jego stan posiadania. Teraz patriarchat moskiewski musi się uporać z powstaniem konkurencyjnych ośrodków władzy kościelnej na Ukrainie i w innych republikach, zwłaszcza z żywiołowym odrodzeniem Kościoła greckokatolickiego czyli unitów. Nagłe odejście tysięcy i milionów wiernych, którzy zabierają ze sobą swoje świątynie, dotychczas uchodzące za prawosławne, stanowi dla Cerkwi olbrzymi upływ krwi. Własnej krwi, bo prawosławni oczywiście uważają zerwanie jedności z patriarchatem, zarówno to pierwotne w końcu XVI wieku jak i obecne, za odstępstwo — zupełnie tak samo jak odstępstwo całych nacji od jedności z Kościołem katolickim w dobie Reformacji w tymże XVI wieku. Zgniecenie unii z rozkazu Stalina w r. 1946, jakkolwiek przeprowadzone w sposób pożałowania godny, było jednak w oczach prawosławnych przywróceniem jedności, ongiś tak samo brutalnymi metodami zerwanej. Jest to punkt widzenia dla nas, katolików, a nade wszystko dla unitów, trudny do przyjęcia, ale warto sobie uprzytomnić, że dla prawosławnych nasz punkt widzenia, określany przez nich pejoratywnym mianem „uniatyzmu", jest równie trudny do przyjęcia.

W posoborowym okresie ekumenicznych dialogów między Kościołami chrześcijańskimi toczył się dotychczas również dialog między Kościołem katolickim a Cerkwią prawosławną. Wiadomo, że papież Jan Paweł II przywiązuje do tego dialogu ogromną wagę, bo stanowi on niejako kamień węgielny „polityki wschodniej" i jego wizji chrześcijańskiej Europy. Miarą szoku, jakim dla strony prawosławnej jest odrodzenie „uniatyzmu", jest fakt, że ten dialog jest obecnie zagrożony. Ostatnia doroczna sesja ekspertów obu stron, która odbyła się w czerwcu tego roku w miejscowości Ariccia we Włoszech, z trudem została doprowadzona do jako tako harmonijnego końca. Uzgodniono jednak termin i miejsce następnej sesji w przyszłym roku w Damaszku, choć wcale nie jest pewne, że do tej sesji dojdzie[1]. To nie od

1. Mówiąc o prawosławiu mamy zwykle na myśli Cerkiew rosyjską i Cerkwie krajów południowo-wschodniej Europy, ale historycznie głównym obszarem prawosławia jest oczywiście Bliski Wschód. Tytuł ekumenicznego patriarchy przysługiwał patriarsze Konstantynopola, Demetriosowi I, który ostatnio zmarł w Stambule.

Znakomity i nacechowany głęboką troską reportaż o sesji ekumenicznej w Ariccia pióra ks. Władysława Hryniewicza OMI ukazał się w *Tygodniku Powszechnym* z 28 lipca 1991. Reportaż nosi alarmujący tytuł „Ocalić dialog".

ekspertów zależy; o polityce kościelnej decydują władze obu Kościołów. A tymczasem nastroje wszystkich bodaj autokefalicznych Kościołów prawosławnych wobec Kościoła katolickiego są wprost wrogie. W następstwie forsownego przejęcia przez unitów dotychczasowej katedry prawosławnej w diecezji Bloj w Rumunii patriarcha Teokryt, głowa rumuńskiej Cerkwi prawosławnej, zaapelował do wszystkich siostrzanych Kościołów o całkowite zerwanie wszelkich rozmów z Kościołem katolickim na czas trwania pontyfikatu Jana Pawła II. Apel ten uzyskał szerokie poparcie, w tym zwłaszcza ze strony patriarchy moskiewskiego Aleksieja, który nie może unitom wybaczyć równie forsownego przejęcia licznych cerkwi w zachodniej Ukrainie, głównie we Lwowie[2]. Papieżowi zarzuca się, że w swojej polityce praktycznie nie kwestionuje zasadności istnienia prawosławia jako osobnego wyznania i w odwet prawosławni proponują uznanie rzymskiego katolicyzmu za herezję.

To nie jest oczywiście język religijny. Jest to język polityczny instytucji publicznej, która czuje się przyparta do muru i walczy o swoją rację bytu. Ma to niewiele wspólnego z chrześcijaństwem, z ewangelią i z miłością bliźniego, nie mówiąc już o miłości nieprzyjaciół. Ale jako język polityczny nie jest on nieuzasadniony. Prawosławni mają swoje powody do obaw. Wskutek upadku komunizmu prawosławie znalazło się w tej części Europy, która przegrała. Zachód, cały Zachód wraz z Ameryką, występują w stosunku do wschodniej Europy w roli, jeśli nie zwycięzcy w długim ideologicznym konflikcie, to w roli protektora czy nauczyciela, źródła wzorów do przyjęcia w miejsce wzorów skompromitowanego komunizmu. Są to wzory ustrojowe, polityczne, ekonomiczne, technologiczne i kulturowe. Kościół katolicki ze swą stolicą w Rzymie jest częścią tegoż Zachodu i wobec tego też proponuje Wschodowi wypracowane przez siebie wzory, nazwijmy je kościelnymi, wzory katolickie. Oknem wystawowym tych wzorów dla Wschodu jest nade wszystko Polska. Z górą milionowy zlot młodzieży z całego świata w połowie sierpnia ściągnął do Częstochowy między innymi 100 000 młodych ludzi z granic byłego Związku Sowieckiego, dowód że polski wzór katolicki jest dla tych młodych ludzi atrakcyjny. Bujnie rozwija się katolicyzm na Białorusi — w tej chwili jest tam czynnych 230 kościołów — a także na Ukrainie, całkiem niezależnie od ukraińskich unitów, nawet wbrew oporom z ich strony. Jest to katolicyzm rzymski, a także w dużej mierze polski, niepozbawiony przy tym polskich

2. Zob. mój artykuł „Katolicy, prawosławni, unici" w *Kulturze* Nr 10/517 (październik 1990) oraz artykuł Mirosława Czecha „Nie tylko Lwów i Przemyśl" w Nr 9/528 (wrzesień 1991).

akcentów narodowych[3]. Istnieje pokaźna mniejszość rzymskokatolicka w Kazachstanie, a także na Syberii i oba te obszary otrzymały ostatnio swoich biskupów. Nade wszystko zaś dotychczasowy administrator apostolski w Mińsku, biskup Tadeusz Kondrusiewicz (Polak, choć obywatel sowiecki), został niedawno mianowany arcybiskupem Moskwy, z tym że dawne jego miejsce w Mińsku objął nowy nominat, także Polak i także z tytułem arcybiskupa, Kazimierz Świątek. Terenem działalności tego ostatniego jest erygowana na nowo archidiecezja mińsko-mohylewska, zaś arcybiskupa Kondrusiewicza cała Rosja europejska do Uralu. Wprawdzie pod szumnym tytułem arcybiskupa diecezji moskiewskiej kryje się rzeczywistość kościelna dosyć skromna, trzydzieści kilka kościołów na ogromnym obszarze, ale do niedawna było ich nie więcej niż dwa, i dla prawosławnych ta skromna rzeczywistość wraz z tytułem eklezjalnym na wyrost jest całkiem wystarczająco przerażająca. Widzi się w niej bowiem zapowiedź programu „ewangelizacji" Rosji, a właściwie katolicyzacji, bo z pominięciem Cerkwi prawosławnej. Jest to oczywiście całkiem nierealne, ale faktem jest, że w dwóch wywiadach z arcybiskupem Kondrusiewiczem, jakie czytałem (w *Słowie Powszechnym* i w paryskim *Figaro* z 28.08.91) nie wspomina on ani słowem o jakiejś współpracy duszpasterskiej z duchownymi prawosławnymi). Celem arcybiskupa jest najwyraźniej odbudowanie wyłącznie katolickiej (i to nawet nie unickiej) struktury kościelnej w Rosji. Artykuł Zdzisława Szuby w *Słowie Powszechnym* nosi pyszałkowaty tytuł „Łaciński arcybiskup w 'trzecim Rzymie'".

Jest to sytuacja przerażająca nie tylko dla prawosławia, ale i dla katolicyzmu i dla całego chrześcijaństwa, tak jak je reprezentują dwa największe historyczne wyznania. Bo w świetle tej sytuacji — tym zastrzeżeniem próbuję ją wyizolować jako jeden aspekt współczesnego chrześcijaństwa, rzeczywistości bez porównania większej, bo ostatecznie Bożej — ważniejsze niż Ewangelia, oddawanie czci Bogu i cała Sprawa Boża w świecie jest to, by te wartości religijne były realizowane przez tę właśnie instytucję religijną a nie inną. O taką postawę prawosławie oskarża teraz (słusznie, jak mi się wydaje) rzymski katolicyzm. Co wcale nie znaczy, że prawosławie nie bywało winne takiej samej postawy, w przeszłości czy nawet teraz. Winna tego grzechu była i jest każda instytucja kościelna, każde wyznanie, które prowadziło lub w imieniu którego prowadzono jakąkolwiek wojnę religijną. Ale zdawałoby się, że od czasu wojen religijnych

3. Jeśli chodzi o stosunki religijne polsko-ukraińskie zob. wspomniany w poprzednim przypisie artykuł Mirosława Czecha „Nie tylko Lwów i Przemyśl".

chrześcijańskie instytucje wyznaniowe zmądrzały, że nauczyły się z własnych źródeł znaczenia i wagi wolności sumienia i tolerancji, których najwyższym wzorem, aż za cenę krzyża, był ich Pan, Jezus Chrystus. Takie rozumienie Ewangelii istotnie znalazło wyraz w wielu cennych dokumentach kościelnych naszej doby, nade wszystko w dokumentach II Soboru Watykańskiego. Szczytne zasady wolności religijnej, poszanowania ludzkich przekonań i lojalności, pokoju religijnego i ekumenicznej współpracy różnych wyznań znajdują wyraz także w przemówieniach najwyższych władz kościelnych, nade wszystko samego papieża. Skąd więc ta rozbieżność między zasadami a praktyką duszpasterską opisaną na tych kilku stronach? Czy są to nieświadome potknięcia czy skrzywienia, dokonywane jednak z najlepszą w świecie wolą? Czy jest to może kwestia różnych interpretacji zasad jak i praktycznych postaw i czynów? Czy wreszcie jest to świadome gwałcenie głoszonych zasad w imię interesów instytucji kościelnej? O to właśnie wielu prawosławnych, w tym wysocy przedstawiciele prawosławnych Cerkwi, oskarżają katolickie władze kościelne, nie wyłączając samego papieża Jana Pawła II. I to jest najbardziej przerażające. Bo jeśli tego rodzaju oskarżenia mogą padać ze strony jednego chrześcijańskiego Kościoła pod adresem drugiego, to — niezależnie od tego, czy są one uzasadnione czy nieuzasadnione — cała praca ewangelizacyjna obu tych Kościołów w skali światowej jest skazana na to, że pójdzie na marne. Owszem, oba Kościoły mogą w ramach swoich diecezji i parafii wykonywać jako taką pracę duszpasterską i jako tako efektywnie kształtować postawy chrześcijańskie swoich wiernych. Jeśli jednak chodzi o niewierzących i agnostyków, którzy mają być przedmiotem ewangelizacji, oba Kościoły nie mają im nic do powiedzenia. Świecki świat nie ma żadnego powodu sądzić, by od tych Kościołów mógł się czegokolwiek nauczyć, by chrześcijaństwo, które oba Kościoły w ten sposób reprezentują, miało jakąkolwiek receptę na zbawienie świata, w jakimkolwiek sensie.

Oczywiście chrześcijanin nie uwierzy w tak kasandryczną wizję. Nie uwierzy, bo wierzy w Jezusa Chrystusa i opiekę Ducha Bożego nad jego Kościołem i światem. I są przecież drogi wyjścia z religijnej zimnej wojny, w którą diabeł oba Kościoły zaplątał. Bardzo jasną drogę ukazuje „dokument roboczy" wydany przez *Komitet Koordynacyjny Międzynarodowej Komisji Mieszanej ds. dialogu teologicznego między Kościołem rzymskokatolickim i Kościołem prawosławnym* na zakończenie swych bolesnych obrad w Ariccia[4]. Nosi on tytuł „Uniatyzm, metoda

4. Dokument ten, we własnym tłumaczeniu, zamieścił ks. Wacław Hryniewicz jako ilustrację do swego reportażu o sesji w Ariccia w *Tygodniku Powszechnym* z 28 lipca 1991.

unijna przeszłości a obecne poszukiwanie pełnej wspólnoty". Z tytułu wynika, że komisja uznała unię brzeską z r. 1596 i o sto lat późniejszą unię transylwańską za próby nieudane, których nie należy ponawiać, choć uznaje powstałe w wyniku tych prób Kościoły unickie za fakt dokonany, z którym prawosławie musi się pogodzić. Niemniej (tu cytuję tekst dokumentu):

13. Kościół katolicki winien uczynić wszystko, co w jego mocy — i to na najwyższym szczeblu — aby pomóc wschodnim Kościołom katolickim oraz ich wspólnotom (czyli unitom, AP), żeby i one również mogły dać swój wkład w to, czego wymaga pełna współpraca obu Kościołów siostrzanych...

I dalej:

14. Kościół prawosławny powinien ze swej strony przyjąć zapewnienia udzielone przez Kościół katolicki, że zajmując się losem tych wspólnot nie pragnie bynajmniej ekspansji kosztem prawosławnego Wschodu. Należy uznać, że zrywając z wszelkim prozelityzmem, odmawiając traktowania prawosławnych jako przedmiotu misji... Kościół katolicki pozostaje wierny swemu zadaniu pasterskiemu wobec tych, którzy do niego należą.

Ostatni cytat:

20. Etyka ewangeliczna domaga się szacunku dla liturgii innych Kościołów. Nie wystarczy uznać, iż posługiwanie się przemocą celem zajęcia jakiegoś miejsca kultu jest przeciwne tej etyce; wymaga ona nawet, aby w pewnych okolicznościach ułatwić innym celebrację, oddając swój własny kościół do ich (czasowej, AP) dyspozycji...

Zalecenia katolickich i prawosławnych ekspertów są jasne i proste. Myślę, że nieuprzedzony czytelnik uzna je też za mądre i ewangeliczne. Pytanie polega na tym, czy władze obu Kościołów są tego samego zdania, czy wykonawcy ich polityki w terenie znają te zalecenia oraz czy i w jakiej mierze są gotowi do nich się stosować.

Antoni POSPIESZALSKI

Sprawy i troski

Rosja a slawistyka amerykańska

Od artykułu p. Ewy M. Thompson (w nrze 9 *Kultury* z 1991 r.) nic ująć. Dawno mnie trapił ten temat, o którym inni milczeli, jakby się kogoś bali (przy czym wydaje mi się, że nie zawsze i niekoniecznie Rosji). Można by najwyżej coś dodać. Zawsze mówiłem znajomym, że na imperium rosyjskie pracuje także Czajkowski z Tołstojem i odwrotnie, imperium podtrzymuje tamtych wielkość. Z artykułu szanownej autorki zdaje się wynikać raczej to drugie. Ale nie o to mi teraz chodzi. Chciałbym raczej zająć się kwestią, jak ta szczególna, imperialna pozycja narodu rosyjskiego odzwierciedla się w programach uniwersytetów amerykańskich (na jednym z nich o znakomitej, acz nieco przesadnej, opinii obijam się od szesnastu lat). Od dawna mam wrażenie, że tzw. wydziały slawistyki na uczelniach amerykańskich posługują się nieuczciwą nazwą, gdyż powinny się nazywać zgodnie ze stanem faktycznym wydziałami rusycystyki.

Aby to impresjonistyczne przeświadczenie sprawdzić, proponuję czytelnikom przestudiowanie wraz ze mną programu uniwersytetu im. Harvarda pt. „Courses of instruction 1991-92" (w rzeczywistości ten „Program nauczania na r. 1991-92" zawiera również niektóre tematy zaplanowane do 1994 r.). Żeby nie być gołosłownym, muszę niestety czytelnikom zaserwować pełny wykaz wykładów i seminariów zaanonsowanych w tym programie w dziale „Języki i literatury słowiańskie" na str. 691-711. Wyłączam tylko tematy odsyłaczowe (tj. wykładane w ramach innych wydziałów, np. literatury porównawczej lub językoznawstwa ogólnego). Pozostawiam poza analizą też trzy ostatnie pozycje dotyczące ogólnej organizacji studiów.

Materiał porządkuję według kryterium narodowego. Tematy dotyczące narodów lub grup narodów podaję w porządku alfabetycznym.

Problematyka czeska

1. „Język czeski dla początkujących I"
2. „Język czeski dla początkujących II"
3. „Język czeski dla średnio zaawansowanych. Czytanie i pisanie"
4. „Język czeski dla zaawansowanych. Czytanie i pisanie"

Problematyka czeska i serbo-chorwacka

1. „Współcześni pisarze-dysydenci" (Havel, Kundera, Skvorecký, Kiš, Pavić i inni)

Problematyka nie określona

1. „Lektury i badania kierowane" (brak bliższych wyjaśnień)
2. Nauczanie indywidualne dla IV roku (j.w)

Problematyka ogólnosłowiańska

1. „Słowianie" (języki, mitologia i folklor)
2. „Lektury średniowiecznych tekstów słowiańskich"
3. „Proseminarium" (wprowadzenie do slawistycznych studiów doktoranckich)

Problematyka polska

1. „Elementarna nauka języka polskiego I"
2. „Elementarna nauka języka polskiego II"
3. „Język polski dla średnio zaawansowanych"
4. „Język polski dla zaawansowanych"
5. „Przegląd literatury polskiej od początków do 1795 r."
6. „Przegląd literatury polskiej od 1795 do 1890 r."
7. „Przegląd literatury polskiej od 1890 r. do 1939 r."
8. „Przegląd literatury polskiej od 1939 r. do dziś"
9. „Nowoczesna poezja polska. Seminarium (1992-3)"
10. „Nowoczesna poezja polska. Seminarium (1993-4)"
11. „Poezja polska XIX w. Seminarium"
12. „Nowoczesna polska literatura fabularna"

Problematyka rosyjska

1. „Elementarna nauka języka rosyjskiego"
2. „Elementarna nauka języka rosyjskiego. Kurs intensywny"
3. „Przegląd gramatyki i słownictwa dla średnio zaawansowanych I" (wymagany co najmniej 1 rok nauki języka rosyjskiego)
4. „Przegląd gramatyki i słownictwa II" (lektura Puszkina, Lermontowa, Tołstoja i in.; wymagana roczna praktyka mówienia po rosyjsku)
5. „Język rosyjski dla średnio zaawansowanych"
6. „Język rosyjski dla średnio zaawansowanych. Kurs intensywny"

7. „Język rosyjski dla średnio zaawansowanych. II semestr"
8. „Trzeci rok języka rosyjskiego. Władanie językiem w mowie"
9. „Trzeci rok języka rosyjskiego (I semestr). Czytanie, przegląd gramatyki i konwersacja"
10. „Trzeci rok języka rosyjskiego. Wprowadzenie do sowieckiej prasy i literatury historycznej"
11. „Trzeci rok języka rosyjskiego (II semestr). Czytanie, pisanie, konwersacja"
12. „Praktyczne zajęcia teatralne" (praca nad rosyjskimi sztukami teatralnymi)
13. „Handlowy język rosyjski"
14. „Czwarty rok języka rosyjskiego. Lektury sowietoznawcze"
15. „Prasa i telewizja sowiecka" (wymagane 3 lub 4 lata nauki języka rosyjskiego)
16. „Czwarty rok języka rosyjskiego. Lektury z literatury rosyjskiej"
17. „Przegląd słownictwa i gramatyki dla zaawansowanych" (dla przyszłych nauczycieli języka rosyjskiego)
18. „Pisanie dla zaawansowanych" (oparte na literaturze rosyjskiej)
19. „Stylistyka" (oparta na literaturze rosyjskiej)
20. „Władanie językiem w mowie dla zaawansowanych" (w kontekście życia Rosji Sowieckiej)
21. „Lektury z poezji rosyjskiej"
22. „Sprawy aktualne. Narody sowieckie" (wymagana co najmniej 3-letnia nauka języka rosyjskiego)
23. „Nauczanie indywidualne dla II roku" (koncentracja na rusycystyce i sowietologii)
24. „Nauczanie indywidualne dla II roku" (koncentracja na rusycystyce i sowietologii)
25. „Nauczanie indywidualne dla III roku" (koncentracja na literaturze rosyjskiej)
26. „Kultura sowiecka w latach 20-tych i 30-tych XX w. Konwersatorium" (m.in. lektura „Wieży" Tatlina)
27. „Współczesna proza rosyjska"
28. „Literatura rosyjska w przekładzie. Od Tołstoja i Czechowa do Sołżenicyna"
30. „Obraz dzieciństwa w literaturze rosyjskiej. Konwersatorium" (za mało! a gdzie pacholęctwo, młodość, wiek średni i starość?)
31. „Dramat rosyjski"
32. „Poezja symbolistów rosyjskich"
33. „Studia nad XX-wiecznym długim poematem rosyjskim. Konwersatorium" (a gdzie poemat średni i krótki?)
34. „Puszkin"
35. „Poezja rosyjska XIX w."
36. „Poezja rosyjska XX w."

37. „Dostojewski"
38. „Tołstoj"
39. „Nabokow"
40. „Studia nad realizmem rosyjskim"
41. „Studia nad prozą rosyjską XX w."
42. „Teoria narracji. Proseminarium" (na materiale narracji rosyjskiej i europejskiej)
43. „Autobiografia rosyjska. Konwersatorium"
44. „Literatura jako instytucja. Konwersatorium" (na materiale literatury rosyjskiej"
45. „Czechow"
46. „Kultura *głasnosti*. Konwersatorium" (dotyczy kultury rosyjskiej i sowieckiej; wymagane rozumienie języka rosyjskiego w mowie)
47. „Dzieje literatury moskiewskiej, 1500-1700 r. Konwersatorium"
48. „Dzieje języków państwa moskiewskiego. Konwersatorium" (mówiony język moskiewski, kancelaryjny język moskiewski i różne redakcje języka cerkiewnosłowiańskiego)
49. „Dzieje rosyjskiego języka literackiego, XI-XVIII w."
50. „Fonologia i morfologia historyczna języka rosyjskiego"
51. „Dzieje rosyjskiego języka literackiego"
52. „Semiotyka dawnej kultury rosyjskiej"
53. „Gramatyka rosyjska dla lektorów"
54. „Językoznawstwo dla potrzeb literaturoznawstwa słowiańskiego" (głównie na materiale rosyjskim)
55. „Fonetyka, fonologia i intonacja rosyjska"
56. „Morfologia i słownictwo rosyjskie. Seminarium"
57. Składnia i semantyka rosyjska
58. „Rosyjska gramatyka rozmowy"
59. „Rosyjska leksykologia i składnia historyczna"
60. „Powieść rosyjska. Seminarium"
61. „Nowoczesna literatura rosyjska. Seminarium"
62. „Literatura rosyjska. Seminarium"

Problematyka serbsko-chorwacka

1. „Elementarna nauka języka serbsko-chorwackiego"
2. „Język serbsko-chorwacki dla średnio zaawansowanych"
3. „Przegląd literatury serbskiej i chorwackiej XX w."
4. „Budowa języka serbsko-chorwackiego"
5. „Dzieje języka serbsko-chorwackiego"

Problematyka ukraińska

1. „Elementarna nauka języka ukraińskiego I"
1. „Elementarna nauka języka ukraińskiego II"
3. „Język ukraiński dla średnio zaawansowanych I"
4. „Język ukraiński dla średnio zaawansowanych II"

5. „Przegląd literatury ukraińskiej XIX i XX w."
6. „Poezja ukraińska XX w."
7. „Poezja ukraińska XIX w."
8. „Budowa języka ukraińskiego"
9. „Proza ukraińska XIX w. Seminarium"
10. „Problemy historii literatury ukraińskiej"

Problematyka wschodniosłowiańska

1. „Wprowadzenie do języków wschodniosłowiańskich"

Jak widać z tego wyszczególnienia, sprawy rosyjskie (62 pozycje) interesują harvardzkich naukowców o 416% bardziej niż sprawy polskie (12 pozycji), o 610% bardziej niż sprawy ukraińskie (10 pozycji), o 1140% bardziej niż sprawy serbskie i chorwackie łącznie (5 pozycji), o 1700% bardziej niż sprawy czeskie (4 pozycje) i o 1966% bardziej niż sprawy ogólnosłowiańskie (3 pozycje). Polacy, Ukraińcy (oba te narody ufundowały sobie na uniwersytecie im. Harvarda katedry swoich przedmiotów, więc uniwersytet nie robi im łaski), Serbowie z Chorwatami (połączeni na amerykańskim uniwersytecie, choć właśnie walczą do krwi o rozłączenie) i Czesi mogą być szczęśliwi, że choć w tak nikłym stopniu dostąpili zaszczytu bycia przedmiotem jakichś amerykańskich zainteresowań naukowych. Bułgarzy z Macedończykami, Białorusini, Słowacy, Słoweńcy, nie mówiąc już o Łużyczanach, nie okazali się godnymi nawet takiej uwagi. Podczas gdy Polacy i Ukraińcy musieli wysupłać krociowe sumy, aby skłonić uniwersytet im. Harvarda do stworzenia stałych (nieusuwalnych) katedr polonistycznych i ukrainistycznych, Rosjanie nie musieli poświęcać ani jednego centa na wybujały rozwój rusycystyki na tym i innych uniwersytetach amerykańskich.

Co będzie teraz, gdy zbankrutowana Rosja przestała być zagrożeniem, a jej środkowo-wschodnioeuropejskie lenna odzyskały niepodległość? Czy uratują jej pozycję w nauce amerykańskiej Czajkowski i Tołstoj? Odpowiedź przyniosą następne programy uniwersytetu im. Harvarda.

Arlington, Massachusetts

Bohdan STRUMIŃSKI

Sąsiedzi

Ukraina, Żydzi i Rosja

Upalna ostatnia niedziela września. Przed pięćdziesięciu laty w taki sam dzień hitlerowscy oprawcy gnali Żydów kijowskich na zagładę w wąwozie Babij Jar. Dziś po raz pierwszy od tamtych dni, kiedy to w ciągu 36 godzin Niemcy wystrzelali całą ludność żydowską, która tu mieszkała od zamierzchłych czasów, władze ukraińskie i delegacje Żydów z wielu republik, Izraela i ze Stanów Zjednoczonych, obchodzą godnie i uczciwie tę makabryczną rocznicę. Dawniej albo milczano, albo fałszowano historię. Rząd ukraiński postanowił przywrócić nie tylko prawdę, ale też gruntownie zrewidować sowiecką politykę wobec ludności żydowskiej. Rozwijają się towarzystwa oświatowe, związki religijne, minister kultury i oświaty Izraela otwiera z kolegą ukraińskim kijowskie gimnazjum żydowskie. Odbywa się druga już z kolei konferencja naukowa, poświęcona stosunkom ukraińsko-żydowskim i historii Żydów na Ukrainie. Dyskusja jest otwarta, i choć tu i tam niektórzy usiłują szukać powodów łagodzących rodzimy antysemityzm, przywracanie i odkrywanie pełnej prawdy dominuje nad unikami.

Przywódcy Żydów rosyjskich uznają dokonany zwrot na Ukrainie. Skarżą się na odmienny klimat w Moskwie i Petersburgu, gdzie nikt im nie pomaga w walce z powracającą falą antysemityzmu. Mówi o tym otwarcie przywódca Żydów moskiewskich Sokół na wiecu w Babim Jarze. A kiedy delegat Gorbaczowa, Jakowlew, odczytuje orędzie prezydenta, piętnujące przejawy antysemityzmu administracyjnego i ludowego, wśród zebranych słychać pomruk: „Powinien to był zrobić dawniej. Dlaczego milczał dotychczas i tolerował wszystkie wybryki antyżydowskie w Rosji?" Przewodniczący parlamentu Ukrainy Leonid Krawczuk prosi Żydów o przebaczenie winnym i przyrzeka obywatelom ukraińskim narodowości żydowskiej wszystkie prawa rozwoju języka, sztuki i religii. Żadne przejawy antysemityzmu nie będą nigdy tolerowane. Deklaracja znajduje uznanie gości z

Izraela, którzy publicznie składają oświadczenia na rzecz niepodległego państwa ukraińskiego. Wszyscy zebrani w wąwozie śmierci odczuwają, że tu i tam na masowych grobach przede wszystkim Żydów, ale też Rosjan, Polaków, Ukraińców i Cyganów, dokonuje się coś w rodzaju aktu pojednania. Na zakończenie grzmi w wąwozie baryton Jewtuszenki, który recytuje swój wiersz o Babim Jarze sprzed trzydziestu laty. Tylko jednego człowieka brakuje na uroczystościach: pisarza i publicysty Iwana Dziuby, który w okresie najpodlejszego kłamstwa organizował na tym uroczysku przesiąkniętym krwią niewinnych zebrania dla uczczenia pamięci pomordowanych. Stare dolegliwości nie pozwoliły mu stanąć na czele obchodów.

Budowanie własnego państwa to nie tylko tworzenie nowych struktur administracyjnych, to w równym stopniu ubezpieczenie niezawisłości w stosunkach z bliższymi i dalszymi sąsiadami. Pomiędzy aktem deklaracji o suwerenności z 16 lipca 1990 i ogłoszeniem niepodległości 24 sierpnia 1991 Kijów dokonał najpierw dzieła zabezpieczenia swych interesów drogą tak zwanych horyzontalnych struktur. Jest to sieć dwustronnych układów międzypaństwowych. Pierwszą umową tego typu był układ z Rosją, w którym obydwa państwa zobowiązały się do równoprawnych stosunków przy poszanowaniu istniejących granic. Potem nastąpiły porozumienia z innymi republikami. Jedynym wyjątkiem są stosunki z Mołdawią. Mimo kilkakrotnych zapowiedzi nie udało się uporządkować wzajemnych relacji z Kiszyniowem, ale jest to pochodną stosunków z Rumunią. Ponieważ Bukareszt wysuwa względem Ukrainy pretensje terytorialne, dotyczące skrawka Bukowiny i w dalszym ciągu prowadzi politykę dzięki dyskryminacji wobec mniejszości ukraińskiej, zapowiadana normalizacja stosunków dotychczas nie nastąpiła i chyba wnet nie nastąpi.

Rosja nadal ma priorytet i Ukraina zgodnie z umową wysłała już swego przedstawiciela przy rządzie rosyjskim. Jest nim ekonomista Kryżawnickyj. Jelcyn jednak ociąga się z wyznaczeniem posła rosyjskiego. W Kijowie można dość łatwo odczuć, że dawne zaufanie do przywódcy rosyjskiego uległo ochłodzeniu. Stało się to na skutek niebacznych wypowiedzi prezydenta Rosji i niektórych jego współpracowników na temat granic. Politycy ukraińscy śledzą z niepokojem proces powstawania nowego mesjanizmu rosyjskiego, nakładającego się na stare fundamenty panslawizmu i zrusyfikowanej formy marksizmu. Teraz zaczyna się szerzyć bardzo natrętna idea o historycznych zasługach Rosji, uratowaniu demokracji i niewdzięczności innych narodów. Sposób rządów po zwycięstwie Jelcyna wielu obserwatorów niezbyt przekonał do owej demokracji.

Do tego dochodzą dziwne ruchy polityczne wśród byłych apa-

ratczyków komunistycznych narodowości rosyjskiej na Krymie, w Zagłębiu Donieckim i na wybrzeżu czarnomorskim. Nagle pojawiły się tendencje separatystyczne, mimo że Rosjanie na Ukrainie w porównaniu na przykład z krajami bałtyckimi korzystają nie tylko z równouprawnienia, ale i z daleko idącego uprzywilejowania. Szkolnictwo i czasopiśmiennictwo rosyjskie rozwija się bez przeszkód, a w centralnych władzach w Kijowie Rosjanie piastują czołowe stanowiska. Premierem Ukrainy jest Rosjanin Fokin, zastępcą prezesa parlamentu, również jego ziomek — Gryniew, a ostatnio ministrem obrony — generał Morozow. W parlamencie debaty odbywają się dwujęzycznie i nikt tego nie kwestionuje. Takiego otwarcia na mniejszość rosyjską nie ma nigdzie indziej w dotychczasowym imperium. Kilka milionów Ukraińców na terytorium Rosji nie posiada żadnej szkoły i ani jednej gazety, nie mówiąc już o jakimkolwiek przedstawicielstwie politycznym.

Ważny jest spór o tworzenie armii ukraińskiej i kwestia losów broni nuklearnych, znajdujących się na terytorium Ukrainy. Marszałek Szaposznikow, minister spraw wojskowych dawnego Związku Sowieckiego, a zwłaszcza jego szef sztabu generał Łobow stoją na stanowisku, że dawne republiki nie mogą tworzyć własnych sił zbrojnych, a jedynie Gwardie Narodowe dla ochrony rządu w sile najwyżej 5.000 ludzi. Armia musi pozostać jednolita i podlegająca jednemu dowództwu. Ukraina jest innego zdania i tworzy własne siły zbrojne, wahając się co do ich liczebności. Szacunki oscylują pomiędzy 250.000 a 450.000 wraz z marynarką wojenną na Morzu Czarnym. Czyli Moskwa musiałaby zabrać z Ukrainy prawie milion żołnierzy. A jeśli chodzi o utworzenie wspólnych sił strategicznych, to Kijów żąda aby podlegały one Wspólnemu Dowództwu na wzór NATO.

Wreszcie delikatna kwestia broni atomowej. Obecnie, po upadku imperium, na gruzach Związku Sowieckiego pozostał klub atomowy trzech państw: Rosji, Kazachstanu i Ukrainy. Rosja pragnie skoncentrowania tej broni u siebie. Ukraina nie chce broni nuklearnej i zobowiązała się do rezygnacji zarówno z produkcji, jak i ze stacjonowania rakiet strategicznych i taktycznych. Ale Kijów nie zgadza się na oddanie tej broni pod wyłączną kontrolę rosyjską i żąda współdecyzji w zarządzaniu i dysponowaniu czyli tak zwanych dwóch kluczy lub pełnego zniszczenia potencjału atomowego na Ukrainie pod międzynarodowym nadzorem.

Kijów, 15 października

Bohdan OSADCZUK

Redakcja *Kultury* zaznacza, że nie podziela niektórych poglądów p. B. Osadczuka.

W sowieckiej prasie

Euforia, jaką wzbudziła porażka nieistniejącego puczu, minęła niezwykle szybko. Wszystko zamarło w oczekiwaniu na cud. Borys Jelcyn pojechał odpocząć nad Morzem Czarnym, Michaił Gorbaczow wygłaszał mowy, podpisywał nawet jakieś ukazy, których nikt nawet nie myśli wykonywać. Liczni działacze państwowi, polityczni i społeczni pracowali jak mrówki, opowiadając sowieckim i zagranicznym dziennikarzom, jak zła, ba, coraz gorsza jest sytuacja w kraju. Hasłem dnia stała się doskonała formuła Siemiona Siemionowicza Podsiekalnikowa ze sztuki Erdmana „Samobójca": „Łatwiej się żyje, kiedy człowiek powie, jak mu ciężko żyć".

Nie jestem zapewne całkiem sprawiedliwy, bo toczyły się też, z przerwami i oporami, rozmowy o podpisaniu ekonomicznej umowy między republikami. 1 października dwanaście sowieckich republik (wszystkie poza trzema nadbałtyckimi) parafowało w Ałma-Acie oświadczenie, że pragną stworzyć nowy związek ekonomiczny, podobny trochę do Wspólnoty Europejskiej. 12 października Rada Państwowa, do której należą prezydent ZSSR Gorbaczow i głowy republik, zaaprobowała sporządzony w Ałma-Acie tekst. Ściślej mówiąc, zaaprobowali go przedstawiciele dziesięciu republik — obok Nadbałtyki wejścia do nowego Związku odmówiły Gruzja i Mołdawia. Umowa miała zostać podpisana 15 października. Szczęśliwe zwieńczenie długiej procedury przyspieszyła decyzja odpoczywającego i złożonego chorobą Jelcyna, żeby podpisać. Jednak, jak już nie raz bywało, decyzję wprawdzie podjęto, ale zarazem odłożono. Francuzi mawiają w takich przypadkach: „Owszem, ale..." Właśnie to powiedziałby Jelcyn, gdyby mówił po francusku. Ponieważ mówi po rosyjsku, wytłumaczył, że Rosja podpisze, jeśli — między 12 a 15 października — do tekstu zostaną wprowadzone wyjaśnienia dotyczące siedemnastu kwestii. Wśród tych siedemnastu niejasności figuruje tak ważna, jak pytanie o podział długu: kto i ile ma płacić zadłużenia zagranicznego ZSSR? Także inni prezydenci republik mają zastrzeżenia do tekstu, nie wspominając już o tym, że po podpisaniu umowa ma zostać zatwierdzona przez Rady Najwyższe „dziesiątki".

25 września *Financial Times* opublikował wywiad Grigorija Jawlińskiego, 35-letniego cudownego dziecka sowieckiej reformy ekonomicznej. Rok temu *Wunderkind* zwrócił na siebie powszechną uwagę programem „500 dni", sporządzonym wespół z akademikiem Szatalinem. Gorbaczow i ówczesny premier Nikołaj Ryżkow program odrzucili. Pół roku później Jawliński przedstawił inny program, opracowany wraz z ekonomistami amerykańskimi i zatytułowany „Okno możliwości": program ten obiecywał reformę opartą na kredytach zagranicznych. Prezydent Gorbaczow znów się sprzeciwił. Po

puczu odsuniętemu od władzy Jawlińskiemu zaproponowano stanowisko wiceprezesa Komitetu Zarządzania Gospodarką Narodową, instancji złożonej z czterech osób, która zastępuje Radę Ministrów.

Grigorij Jawliński jest autorem tekstu, parafowanego w Ałma-Acie i przyjętego w Moskwie. Jest on podobno ostatnim (obok Gorbaczowa) obrońcą idei Związku. 25 września powiedział, że jego plan zawiera pięć głównych elementów: system bankowy, system finansowy, podatki, cła, ceny. W dniu, w którym udzielał wywiadu, osiągnięto zgodę co do dwóch pierwszych punktów. Program Jawlińskiego przewiduje, że republiki zgodzą się na ograniczenie swego budżetu, na wspólne spłacanie długów państwowych, na bicie własnej monety tylko wtedy, jeśli będzie związana z rublem i nie związana z żadnym innym systemem finansowym, na zachowanie wspólnego kodeksu pracy i socjalnego, na zniesienie wprowadzonych barier celnych i na szybki marsz w kierunku cen wolnorynkowych. Sądząc po oświadczeniu Borysa Jelcyna, mnóstwo problemów z przytoczonej wyżej listy nie zostało rozwiązanych. Jeśli więc umowa zostanie podpisana, co jest bardzo prawdopodobne, to zastrzeżenia prezydenta Rosji należy rozpatrywać jako „polityczne".

Nawet jeśli przyjąć, że wszystko skończy się dobrze, że republiki a za nimi Rady Najwyższe podpiszą i ratyfikują umowę o nowym Związku, rozwiąże to tylko problemy techniczne. Bo zasadniczo model ekonomiki Związku i składających się nań (jeśli wszystko będzie dobrze) członków pozostanie bez zmian. Nie zmienią się stosunki między gigantyczną Rosją i znacznie słabszymi republikami: Rosja „sprzedaje" swoje surowce tanio, a kupuje drogo republikańskie produkty. Wprowadzenie rynku będzie katastrofą dla wszystkich. Pomoc z zewnątrz niewątpliwie jest potrzebna. Na tym właśnie, wydaje mi się, polega główny szkopuł.

Istnieją dwa mity pomocy. Zachód wierzy, że kredyty otworzą mu gigantyczny rynek zbytu. Wschód (mam na myśli cały obóz socjalistyczny) wierzy, że jego gigantyczny rynek nie może nie nęcić Zachodu. 1989 rok był dla Zachodu godziną prawdy. Niezależnie od faktu, że dziesięć lat wcześniej przeżywali już cielęcy zachwyt wobec spodziewanego miliarda chińskich konsumentów i że spotkało ich gorzkie rozczarowanie, wpadli w kolejny zachwyt wobec mirażu socjalistycznego, w pierwszym rzędzie zaś sowieckiego rynku. W 1989 r. do ojczyzny Lenina i Stalina i okolic tłumnie spłynęli bankierzy, przemysłowcy i kupcy. Wrócili wstrząśnięci zacofaniem technicznym, brakiem infrastruktury, niską wydajnością pracy.

Przed wizytami mówiono o nowym planie Marshalla. W 1985 r. Rand Corporation obliczyła, że aby wyjść z zacofania Związek Sowiecki potrzebuje miliarda miliardów dolarów. Dziś widać jasno, że to nie wystarczy. Plan Marshalla kosztował Amerykanów 300 miliardów dolarów. Ale Amerykanie nie rzucali pieniędzy w próżnię. Trzeba było przedstawić szczegółowy plan — obiekt za obiektem — wykorzystania kredytów, a następnie comiesięczne sprawozdanie, jak przebiega realizacja inwestycji. Jest to dziś w sowieckich

republikach absolutnie niemożliwe. Ale bez tego nie dadzą pieniędzy. Znacznie wygodniej jest inwestować pieniądze w kraje bogate, aniżeli biedne.

Złudzenia kapitalistów rozwiały się w roku 1989. Rojenia sowieckich przywódców trwają. Są przekonani, że skuszą byłych wrogów rynkiem, bogactwami, albo zaszantażują chaosem, który nastąpi w braku pomocy. Jest charakterystyczne, że ludzie głęboko przekonani o absolutnej potrzebie pomocy nie robią niczego, aby ułatwić pobyt pomocników na sowieckiej ziemi (o ile go nie utrudniają). Wystarczy wspomnieć problem kodeksu handlowego. Obecny — socjalistyczny — nie nadaje się. W Moskwie obiecują, że pomyślą o nowym. To może potrwać dziesięciolecia. Japończycy, których trudno podejrzewać o kompleks niższości wobec cudzoziemców, kiedy po wojnie i porażce postanowili odbudować gospodarkę, przejęli w całości niemiecki kodeks handlowy. Jak dzisiaj widać, nie popełnili błędu.

Mówię o sowieckich przywódcach. Muszę przyznać, że nie wiadomo dziś, kim oni są. Niezmienny doradca Gorbaczowa, Aleksander Jakowlew, na pytanie amerykańskich dziennikarzy, kto sprawuje władzę odpowiedział, że nie wie. Po czym dorzucił: „wstyd powiedzieć, ale nikt". Jest to dodatkowy powód, aby nie udzielać kredytów. Jeśli nie istnieje sztywna struktura polityczna, jeśli nie wiadomo, kto rządzi, to komu dawać? Doświadczenie pomocy dla Trzeciego Świata przekonało bankierów, że nędzarzom pozbawionym rządów nie należy pożyczać.

Związek Sowiecki — to oczywiste — nigdy nie zaznał niczego podobnego. Rosja była w podobnej sytuacji w XVII w., po śmierci Borysa Godunowa, kiedy zaczęły się czasy zamętu. Surrealizm sytuacji nie da się z niczym porównać. Kraj znajduje się — zdaniem wszystkich — w katastrofalnym położeniu, ale obywa się bez Rady Ministrów. Po puczu rozbiegło się wielu ministrów z rządu Rosji. I też nic z tego nie wyniknęło. Nowa *Prawda*, już bez haseł na stronie tytułowej i bez patrona w osobie KC KPZS, który się rozwiązał, zamieściła 2 września sylwetkę jednego z głównych spiskowców — Walerego Bołdina, najbliższego zaufanego Gorbaczowa. Od lata 1981 r. był pomocnikiem Gorbaczowa, w 1985 r. został pomocnikiem generalnego sekretarza i zarazem szefem wydziału ogólnego KC, który zarządza aparatem partyjnym, to znaczy partią, a to znaczy krajem. Potem Bołdin kierował aparatem prezydenta. Dziś gazety, czasopisma, radio i telewizja opisują go jako prototyp zdrajcy, Judasza. Wyrok zapadł bez sądu. Pod tym względem nic się w Związku Sowieckim nie zmieniło. Sąd, o ile się odbędzie, pokaże, na ile oskarżenie jest słuszne. Szczegóły biografii najbliższego towarzysza prezydenta są ciekawe dlatego, że pokazują typowego aparatczyka, gotowego na wszystko w imię kariery. Walerij Bołdin jest zwierciadłem, w które spogląda dziś każdy przywódca i z łatwością rozpoznaje w nim siebie.

Próżnia na miejscu władzy powstała dlatego, że przywódcy sowieccy, którzy w poprzednich warunkach doskonale wiedzieli, jak postępować, teraz są zgubieni. Ich następcy też są wychowani w sowieckiej zatrutej atmosferze i próbują robić to, co robiono dawniej, ale spętani nowymi regułami gry pracują jeszcze gorzej, niż ich poprzednicy.

O trudnościach działania przy nowych regułach opowiadają niesławni puczyści, których przesłuchania znienacka pojawiły się na łamach tygodnika *Der Spiegel* (nr 41, 1991). Przyznaję, że z uczuciem nostalgii czytałem opis moskiewskiego więzienia przy ulicy nazywanej za Piotra I romantycznym imieniem „Ciszy Morskiej". Nostalgia ogarnęła mnie dlatego, że miałem okazję siedzieć w tym więzieniu, a też dlatego, że — sądząc po dzisiejszych opisach — nic się w nim nie zmieniło od „moich czasów". Heraklit mylił się, twierdząc, że „wszystko płynie". Nie wiedział o więzieniu przy ulicy Ciszy Morskiej. Zeznania oskarżonych robią wrażenie dlatego, że potwierdzają przekonanie, iż nie było żadnego puczu; były rozmowy, marzenia, nadzieja, że wyjdą naprzeciw pragnieniom Gorbaczowa, który po długiej rozmowie z przyszłymi spiskowcami, przybyłymi do niego 18 sierpnia (w przeddzień) na Krym, odpowiedział: Róbcie, co chcecie! Zeznania zdumiewają przede wszystkim tym, że ukazały się w niemieckiej gazecie. Dokładnie tak, jak w swoim czasie nakręcane po kryjomu przez KGB filmy o Sacharowie w Gorkim. Kto sprzedał videokasety więziennych przesłuchań Niemcom? Na razie winnego nie znaleziono. Być może niezbyt gorliwie szukano, bo skoro wszystko jest na sprzedaż, to dlaczego nie miano by sprzedawać zeznań spiskowców?

Wszystkie opisane przeze mnie wydarzenia bledną wobec Wydarzenia. Jego znaczenie podkreśla też fakt, że w komunikacie Rady Państwowej na pierwszym miejscu figurowała nie wiadomość o zgodzie republik na podpisanie ekonomicznej umowy związkowej, chociaż wydaje się ona ważniejsza od decyzji o „reorganizacji Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego". Zachodnie *mass-media* jak jeden mąż ogłosiły, że zdecydowano zlikwidować KGB, Moskwa oficjalnie powiadomiła, że chodzi o „reorganizację".

Istniejące do tej pory KGB zostaje rozwiązane, a na jego bazie — z tymi samymi współpracownikami — powstaną: centralna niezależna służba wywiadowcza (kilka dni temu szefem wywiadu mianowano najbliższego doradcę prezydenta ZSSR, Jewgienija Primakowa), międzyrepublikański kontrwywiad (inaczej mówiąc wewnętrzny organ policyjny, śledzący obywateli) i państwowy komitet ochrony granic państwa.

Na razie jest jeszcze wiele elementów niejasnych. Komentatorzy zwracają uwagę, że przestaje istnieć jedna policja polityczna, która skupiałaby w jednym ręku szpiegostwo i śledzenie obywateli i dysponowała własnymi siłami zbrojnymi. Zniknięcie partii komunistycznej przekształciło „tarczę i miecz" władzy sowieckiej w instrument nie partii, lecz państwa. Tak to wygląda na pierwszy rzut oka. Można jednak spytać, czy KGB nie było w ostatnich czasach or-

ganizacją zbyt rozbudowaną? Czy reorganizacja nie uczyni go sprawniejszym? Czy w reformie nie chodzi o to, aby ukrócić ogromną władzę, jaką dysponowali przewodniczący KGB? W 1953 r. po nieudanym puczu Berii KGB także został zreorganizowany, a jego funkcje (przede wszystkim funkcje jego szefa) ograniczone. Obecna reforma ma miejsce po tym, jak Kriuczkow wystąpił zdaniem Gorbaczowa w roli organizatora puczu. Nie mówi się o tym, co stanie się z całkiem niedawną ustawą o KGB, która przyznała „służbom specjalnym" ogromne pełnomocnictwa. Wreszcie zagadkowo brzmi formuła „międzyrepublikański kontrwywiad". Co to znaczy „międzyrepublikański"? Czy republikańskie komitety bezpieczeństwa, które będą ściśle współpracować z Moskwą, bo moskiewskie centrum nadal będzie koordynowało działalność organów terenowych, staną się suwerenne?

Wątpliwości są uzasadnione, bo znana jest historia WCzK-OGPU-NKWD-KGB: im bardziej „organy" się zmieniały, tym bardziej pozostawały sobą. Znane są też wypowiedzi nowych, już całkiem liberalnych przywódców. Ich argumenty brzmią: we wszystkich krajach istnieją wywiad i kontrwywiad — najważniejsze, żeby były demokratyczne. A to nowi gwarantują. Wreszcie wątpliwości budzi też fakt, że radio „Swoboda", które ma obecnie korespondentów w Moskwie, powiadomiło o projekcie ukazu, który zamierza podpisać Jelcyn. Ukaz nosi tytuł „O głównych kierunkach działania KGB RSFSR i jego organów terenowych". Projekt zawiera m.in. opis praw urzędu, który ma zajmować się „obroną ustroju konstytucyjnego" przed bezprawnymi atakami. Analogiczny urząd miało KGB ZSSR, nowy przewodniczący Wadim Bakatin zlikwidował go. KGB RSFSR widocznie ma zamiar go zachować. Punkt 14-ty, który określa „niezgodne z prawem ataki" — jak żywo przypomina dobrze znane teksty: kodeksy karne ZSSR, artykuł 58 z okresu stalinowskiego, artykuły 70 i 64 z okresu po śmierci Stalina. Uwagę zwraca punkt 6-ty, który tłumaczy, że do funkcji rosyjskich „organów" należeć będzie „nadzór nad wprowadzaniem w życie reform o charakterze naukowo-technicznym, nad działaniami polityki zagranicznej i ekonomii zagranicznej". Znów jesteśmy jak w domu: KGB nigdy nie zajmowało się niczym innym (to jest całym życiem kraju).

Badania socjologiczne, często przeprowadzane w Związku Sowieckim, potwierdzają obraz, jaki wyłania się z prasy. W lipcu 1991 r., w przeddzień puczu, przeprowadzono ogólnorosyjską ankietę. Odpowiedziało na nią 2.798 osób. Na pytanie, czy „zgadzają się z tym, że po 74 latach sprawowania władzy partia komunistyczna ostatecznie się zdyskredytowała", 69 % odpowiedziało „tak". Za to na pytanie, czy „gdybyście w 1985 roku wiedzieli, do czego doprowadzą rozpoczęte wówczas w kraju przemiany, poparlibyście je?", twierdząco odpowiedziało 23 %, a przecząco — 52 %.

Lista „problemów społecznych", które niepokoją indagowanych, jest bardzo długa. Na pierwszym miejscu widnieją wzrost cen, brak towarów, wzrost liczby przestępstw, słabość władzy państwowej (20 %),

stan przyrody, groźba bezrobocia itd. 5 % niepokoi się „odejściem od ideałów socjalizmu". Co robić? Socjologowie próbowali się dowiedzieć, co ludzie o tym myślą, formułując pytanie następująco: czy zgadzacie się, że Rosję może uratować człowiek, który zdoła pociągnąć za sobą ludzi i zaprowadzić porządek w kraju?". 70 % indagowanych odpowiedziało „tak". Następne pytanie było precyzyjniejsze: „Z jakimi ocenami działalności B. Jelcyna zgadzacie się?" Ze wszystkimi działaniami i poglądami prezydenta Rosji zgodziło się 19 %, ale ogólnie pozytywnie (czasami z zastrzeżeniami) ocenia go 70 %. Komentując wyniki tej ankiety, znany socjolog Jurij Lewada odnotował jako fakt godny uwagi brak wyraźnych wpływów na społeczeństwo konserwatywnego rosyjskiego nacjonalizmu (*Moskowskije nowosti* nr 38, 22.9.91).

Uczeni męczą się, zbierają informacje, badają, wyciągają ostrożne wnioski. Potem przychodzi dziennikarz i podsumowuje sytuację w kilku słowach. *Spiegel* opublikował cytat z prowincjonalnej niemieckiej gazety, która następująco opisała sytuację w Związku Sowieckim: kolejki są coraz dłuższe, prezerwatywy kosztują 120 rubli, moskwiczanie boją się zimy. To też jest prawda.

13.10.91

Adam KRUCZEK

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Zaduszki

Stefan Kisielewski

Miał już swoje lata. Ostatnimi czasy spotkały go kolejne ciosy: syn zginął w wypadku, żona — prawdziwa jego podpora — zmarła, odchodzili przyjaciele, znajomi. Kiedy go po raz ostatni nieco dłużej widziałem, gdy siedzieliśmy w kawiarni warszawskiej udając niefrasobliwość, powiedział nagle: „W moim wieku wszystko tak jakoś powoli wygasa, coraz mniej bliskich..."

A mimo wszystko śmierć Stefana Kisielewskiego wytworzyła pustkę, coś w rodzaju czarnej dziury w naszej świadomości. Już od dawna, odkąd się po Październiku przeniósł z powrotem do swej ukochanej Warszawy, nie kontaktowałem się ze Stefanem na co dzień, nasze spotkania były sporadyczne, ale po prostu aż do teraz istniał jako coś nienaruszalnego, był — i to wystarczało.

Poznałem go w redakcji *Tygodnika Powszechnego* w 1947, a może w 1948 r. I jakoś wkrótce my nieliczni, którzy — spośród młodych — uchroniliśmy się przed następstwami czerwonego prania mózgów, zaczęliśmy się wokół niego skupiać. Bo początkowo skupialiśmy się wokół Antoniego Gołubiewa, który prowadził coś w rodzaju seminarium dla początkujących kandydatów na wieszczów. Kisielewski niczego takiego nie uprawiał: po prostu spotykał się z nami i dyskutował (czy może nawet bardziej: perorował) i to było niesłychanie ważne. Nie interesowały go bowiem frymuśności stylu, tajniki figur literackich, interesowało natomiast życie w jego jakże wielorakich formach. I właśnie ta wielorakość była bezcenna w epoce, gdy coraz szczelniej zaczynała nas okrywać mroczna i duszna kotara uniformizmu. Jednym z pomostów zbliżenia ze Stefanem był Klub „Logofagów" (a nieskromnie wyznam, że to ja wymyśliłem tę nazwę), ekskluzywny klub dyskusyjny, któryśmy zorganizowali w Krakowie w 1947 r.; członków miał niewielu — kilkunastu zaledwie — ale gości wielu i najsłynniejsi godzili się na wystąpienia na

tym mikroforum wolnej, choć chwilami jeszcze niezupełnie dojrzałej myśli. Kisiel oczywiście występował kilkakrotnie jako mówca, a bardzo często jako gość-dyskutant.

Ta grupka młodych, która się wówczas zaczęła wokół Mistrza skupiać, była barwna i różnorodna, tak jak świat myśli, które nam prezentował. Wicemistrzować usiłował Leopold Tyrmand, bo był akurat w połowie wieku między Stefanem a nami no i miał kolorowe doświadczenie swych wojennych przypadłości. Lubiliśmy go, ale że traktował nas z góry, więc odpłacaliśmy mu rozmaitymi drobnymi despektami. Wśród „niezłomnych" byli i autentyczni, jak Zbyszek Herbert, Zdzisław Najder, Zygmunt Kubiak, a także „złomni", jak Jan Paweł Gawlik i Wacław Sadkowski — ten ostatni w owym czasie różowiutki bobasek głoszący, że gotów na Syberii ponieść konsekwencje swej wierności ideałom Wolnej i Niepodległej. Rajcując w kawiarniach, a najczęściej u Noworola w Sukiennicach, założyliśmy Partię Wariatów-Liberałów, której hasłem podstawowym było: „Trzeba wszystkich wziąć za pysk i wprowadzić liberalizm".

To była przedziwna sytuacja: właściwie i Logofagi, i nasza partia powinny były zostać zlikwidowane odgórnie-ubecyjnie, a my mogliśmy stanowić kąseczek dla jakichś ówczesnych Zarako-Zarakowskich, tymczasem nic takiego nie nastąpiło, ostrożni bowiem krakowiaczkowie, potrafiliśmy się przed takową ingerencją samowładnie ocalić. To znaczy: Logofagi rozwiązały się same, partia Wariatów-Liberałów rozpadła, ponieważ wszyscy się z niej nawzajem powykluczaliśmy za prawicowe, lewicowe i rozmaite inne „odchylenia". Więź jednak pozostała, spotykaliśmy się nadal, a ja zacząłem Stefana nachodzić, zwłaszcza odkąd zamieszkałem „o dwa kroki" od Domu Literatów na Krupniczej, gdzie zajmował mieszkanko na parterze w oficynie.

Stefan wykazywał ogromną cierpliwość, znosił moje niezapowiedziane wizyty, zawsze miał coś interesującego do przekazania. Był zresztą ogromnie towarzyski, był — można by rzec — kolekcjonerem ludzi. Nierzadko więc można go było zastać w stołówce owego Domu Literatów, gdy z ferworem dyskutował ze zwolennikami jako też przeciwnikami. I razu pewnego przydarzył się pewien drobny, ale jak mi się wydaje znamienny dla Krakowa przypadek: Stefan wdał się w zakrapianą dyskusję z dwoma dobrze (?) zapowiadającymi się literatami i coś tam nieparlamentarnego powiedział o Generalissimusie. Otóż młodzieńcy, choć się zaliczali do krakowskich „pryszczatych", wcale nie pobiegli z tym na UB tylko do Polewki, który podówczas prezesował miejscowemu oddziałowi.

Ten przedwojenny komunista, który wyszedł z kręgu krakowskich lewicowców, z generacji Peipera, Jasieńskiego, Fika, był osobowością niejednoznaczną. Zewnętrznie co najmniej słabo

atrakcyjny, robił groźne miny i starał się budzić lęk, którego jednak nie budził. Mam wrażenie, że rozpoznawszy jeszcze w 1939 r. we Lwowie, czym jest sowiecki komunizm, sam przepełniony był lękiem i nabożnością wobec wschodniej potęgi. Równocześnie jednak był też krakowskim humanistą, wobec tego i on nie złożył donosu na Stefana do UB, tylko „wymierzył sprawiedliwość" we własnym zakresie, zakazując winowajcy przez rok wstępu do rzeczonej stołówki. Wyrok zresztą uległ skróceniu, bo po kilku miesiącach przyszła Gwiazdka i Sylwester, kiedy to tradycyjnie już w owej stołówce urządzano bal. Nie zapomnę widoku Kisiela, który wałęsał się po sieni i korytarzu przylegającym do stołówki i każdego łapał, by mu oświadczyć, że go Polewka amnestionował, ale on swój honor ma i na bal nie przyjdzie. Z nowym rokiem zmienił jednak zdanie i znów nawiedzał stołówkę, a morał istotny brzmi: u nas w Krakowie zawsze była aktualna pewna kurtuazja, pewien *savoir-vivre* nawet w polityce i sporach ideowych. To i dziś da się, choć coraz bardziej reliktowo, zaobserwować.

Tymczasem mrok gęstniał i już tylko kilku ludzi, właśnie z Kisielem w roli głównej, sprawiło że nie ogarnął nas całkowicie i szczelnie. Kisiel strojący małpie miny (stąd czułe przezwisko „ruda Małpa", którymśmy go określali, a kogo nazywaliśmy „białą Małpą" niech już Czytelnik łaskawy sam odgadnie), Kisiel prześmiewca, Kisiel uczący nas polemizować nie bez uciekania się do chwytów niezupełnie dozwolonych, Kisiel ocalający zaufanie do swobodnego myślenia, był tym, który mnie i wielu innych uratował przed uległością wobec mroku. A jeśli o ten mrok chodzi, to Lopek Tyrmand zdał z niego sprawę najpełniej w swym „Dzienniku".

Jest jednak zdumiewająca siła życia w tej ludzkiej trzcinie: tak jak za okupacji niemieckiej, kiedy ani na chwilę nie opuszczała nas nadzieja ostatecznego zwycięstwa, podobnie i za okupacji bierutowsko-sowieckiej, kiedy nadziei było coraz mniej, człowiek samowiednie ratował się uciekając w śmiech, ironię, sprzeciw. Tak samo jak udawał, że się bawi, że żyje normalnie. Kisiel uczył nas normalności. I uczył pesymistycznego optymizmu, zwłaszcza że sam dawał przykład swoistej niezłomności. To było potrzebne w sytuacjach, gdy — choć czasowo — zawodziły największe autorytety: Andrzejewski stający ostentacyjnie po tamtej stronie, Słonimski powracający z emigracji by, po efemerydzie prorządowej euforii wrócić tam, gdzie było jego miejsce. Ale na gorąco widzieliśmy tylko to pierwsze: zdradę klerków.

I tu powraca mi we wspomnieniu pewna scenka, która, jak sądzę, ujawniła mi prawdziwego Kisiela. Rozegrała się w wyjątkowo pustej salce kafkowskiej redakcji *Tygodnika Powszechnego*

(zdaje się, że zespół udał się właśnie na cotygodniową naradę). Otóż spotkałem tam Pawła Jasienicę, który — niedawno wypuszczony z więzienia — podjął zobowiązanie rozpoczęcia współpracy z PAX-em i przybył (wyobrażam sobie, z jakim ciężkim sercem), by zawiadomić o tym swych niedawnych kolegów i towarzyszy redakcyjnej broni. Ten Litwino-Tatar był człowiekiem o wyglądzie raczej ponurym, niezbyt wymowny, ale głęboko prawego charakteru. Znalazł się właśnie w sytuacji nie do pozazdroszczenia, niejako za cenę wolności zobligowany do współpracy z grupą, która nie mogła w nim budzić nadmiernej sympatii. Sądzę, że z tej przyczyny natychmiast wypracował sobie pewną samoobronną psychicznie teorię. Dałoby się ją streścić następująco: komunizm stanowi nową siłę porywającą za sobą masy, a w jego zapleczu znajduje się odrażający w swym azjatycko-bizantyńskim kształcie moloch sowiecki. Tej sile nie będą się w stanie oprzeć żadne stare demokracje naszego świata. Skoro więc zwycięstwo należy do komunizmu, a my wiemy, że komunizm jest złem, trzeba przyczynić się do tego, aby zwycięstwo nastąpiło jak najszybciej i zacząć „imperium zła" rozsadzać od środka. To jedyna droga do jego obalenia.

Nie wiem, czy Jasienica długo pielęgnował ową utopijną wizję; sądząc po dalszych kolejach jego losu, dość szybko zawrócił z narzuconej mu drogi, ale w danym momencie, w opustoszałej, kafkowskiej redakcji arcykatolicko-krakauerskiego tygodnika prezentował ją wobec Kisiela, którego — nigdy przedtem i nigdy już potem — nie widziałem tak wytrąconego z równowagi. Czerwony odkrzykiwał cedzone przez Jasienicę argumenty, zbijał je na samym pograniczu osobistych napaści i wyzwisk. Był jakiś dramatyczny, nieprawdopodobnie dramatyczny ładunek w tym sporze dwu tak różnych indywidualności, które w gruncie rzeczy miały identyczne poglądy, a zwarcie nastąpiło w wyniku poplątania ludzkich losów i poplątania historii tego kraju.

Dostrzegając bezowocność sporu, dwaj dotychczasowi członkowie tej samej redakcji pożegnali się cierpko. Kisiel wyszedł, a ja podreptałem za nim. Wówczas, gdy minęła pierwsza furia w zielonym ukojeniu Plant, Stefan (a nie byliśmy jeszcze na ty) powiedział mi: „To bardzo źle, że był Pan świadkiem tej kłótni, bo z pana jeszcze za duży gówniarz, aby cokolwiek z tego zrozumieć".

Nie obraziłem się, choć nie miał racji (a może właśnie dlatego), bo danym mi było właśnie pod maską błazna zobaczyć człowieka prawego, gdyż wyznającego zasady, których łamać w jego przekonaniu nie było wolno nikomu. Ta Kisielowa zasada składała się zarówno z racjonalnych przesłanek rozlicznych lektur i przemyśleń, jak też z narodowych rzec można impondera-

biliów. Więc w tym momencie, na Plantach, nie tylko nie obraziłem się, ale w jakiś sposób pokochałem Kisiela, choć czasem przyszło mi się z nim spierać, a czasem nawet do oczu skakać.

Tymczasem jednak permanentność kontaktów z Kisielem ustała, przeniósł się bowiem z całą familią do Warszawy. Był to okres popaździernikowy i trwała wciąż jeszcze gomułkowska euforia. Uległ jej i Kisiel, a poza tym zagrała żyłka polityka, którym w gruncie rzeczy chciał się stać w sprzyjających okolicznościach. A takie wydawały się nastawać: Stefan związał się z kołem „Znak", uzyskał mandat poselski i rozpoczął ożywioną działalność w rozmaitych komisjach, a także podjął publicystykę „pozytywną", naprawiając „wady systemu". Nie zawsze jego poglądy były rozsądne — po prostu Kisiel aplikował swe poglądy liberalne do sytuacji w rozmaitych dziedzinach życia ekonomicznego, a nie miał dostatecznej bazy doświadczenia, by nie trafiało mu się często czyste fantazjowanie. Bo w gruncie rzeczy dwie miał miłości prawdziwe na tym łez padole: politykę i ekonomię, a w obu miewał świetne pomysły, ale bazą był swoisty hobbyzm, w którym bogata wyobraźnia przeskakiwała ponad nudą realiów. A jednocześnie ujawniła się wówczas pewna cecha, dla mnie zaskakująca, boć przecież wydawało mi się, że go dobrze znam: brak poczucia humoru co do własnej osoby, a zwłaszcza co do swoich poglądów.

Otóż zdarzyło się tak, że opublikował na łamach *Tygodnika Powszechnego* artykuł dotyczący problemów rolnictwa. Był to typowy przykład i *wishful thinking* i *wie sich's der kleine Moritz vorstellt*. Nie chcę się prezentować jako wybitny znawca spraw agrarnych, ale nauczyłem się rozróżniać żyto od pszenicy w moim dziecinno-chłopięcym epizodzie „paniczowskim", więc fantastyka poglądów Stefana zbiesiła mnie i napisałem doń list, gdzie zeń pokpiwałem i wykazywałem błędy w jego widzeniu sytuacji. A ponieważ Mistrz nauczył mnie ostrej polemiki, więc formułowałem me sądy ostro, tyle że nie obraźliwie. Mistrz jednak obraził się: otrzymałem odeń list, pisany charakterystycznymi, wzruszającymi, infantylnymi, wielkimi, okrągłymi literami, a zaczynał się on następująco: „Szanowny Panie (byliśmy już od sporego czasu „na ty" — przypis mój), niektórzy nazywają naszą epokę epoką awansu chamów na panów, ale proces odwrotny, który Pan reprezentuje, jest głęboko przygnębiającym zjawiskiem". Potem było jeszcze nieco pokrzykiwań, nie było natomiast kontrargumentów.

Nie obraziłem się, mam zresztą zasadę, aby się nie obrażać, bo nauczono mnie w domu, że tak postępują jedynie kucharki, list schowałem do rodzinnego archiwum i dopiero kilka miesięcy później spotkałem przy jakiejś okazji Stefana, który łypnął na mnie swym raczym oczkiem, ściągnął zabawnie brwi i rzekł: „O

ile pamiętam toś mnie obraził i wcale dotychczas nie przeprosił!" — Taki był Stefan, no i jakże się było nań gniewać?

A co do jego okresu euforyczno-państwowotwórczego, to przeminął on szybko i Kisiel, wkrótce się zorientowawszy, jak bardzo pozorne było „Znakowe" współuczestnictwo, wycofał się, odmówił po jednej czy dwóch kadencjach dalszego „posłowania" i powrócił tam, gdzie było jego miejsce: do okopów i bastionów opozycyjnego publicysty. A kiedy przyszła „Solidarność", stan wojenny, okrągły stół, robił chwilami wrażenie zagubionego. Nie bardzo wierzył w sukces „Solidarności", a ogóle jednym z jego koników było negowanie roli i znaczenia „robotników", „proletariatu" — pozostał racjonalistą, który miał zaufanie właściwie tylko do najwyżej uformowanej warstwy inteligencji — był inteligencki aż do szpiku kości.

To pewnego rodzaju pogubienie się w politycznym przyśpieszeniu chylącego się do upadku PRLu doprowadziło Stefana do niepotrzebnego chyba rozstania z *Tygodnikiem Powszechnym*, który mu przez cztery dziesiątki lat oferował ogromny — jak na pismo katolickie — margines swobody, na tę jego felietonową trybunę. Ostatecznie uwierzył w „Solidarność" dopiero wtedy, gdy ona zaczęła schodzić na polityczne rozdroża, uwierzył w Wałęsę, którego gorąco poparł w wyborach prezydenckich, wierzył zresztą chętnie w tych, którzy go fascynowali (m.in. Micewskiego i Korwina Mikke, gdańskich liberałów i świeżo formującą się czołówkę rodzimych biznesmenów). Szybko się rozczarowywał i w ostatnich miesiącach robił wrażenie zdezorientowanego w tym kalejdoskopowym polskim krajobrazie.

A teraz stawiam sobie pytanie podstawowe: co po Stefanie zostanie dla przyszłych pokoleń? I obawiam się, że bilans będzie niezbyt optymistyczny. Znakomita publicystyka zwietrzeje, jak każda publicystyka zorientowana na *hic et nunc*. Felietonistyka pozostanie też jako przykład zwrotności, finezyjności pióra i myśli, ale będzie coraz mniej czytelna, gdy oddalą się w czasie wydarzenia i sytuacje. Ta publicystyka i felietonistyka pozostanie w ten sam sposób, jak istnieją „Kroniki" Prusa, „Moje walki nad Bzdurą" Słonimskiego, jak mnóstwo boyowego bojowania: dokumentami arcyciekawymi dla badaczy i strawą niezbyt pożywną dla szerokiego ogółu, a przecież w chwili swego poczęcia to co Stefan pisał było przeznaczone właśnie dla inteligenckiego ale szerokiego odbiorcy.

Jego twórczość literacka budzi też niejakie obawy co do swej trwałości, jest bowiem także porażona publicystycznym aktualizmem. Pisał bardzo fajnie, to znaczy tak, jak ja najbardziej lubię: językiem czystym, klarownym, giętkim a wyzbytym snobizmu udziwnień i fioritur sztuczności. Niestety niedostatecznie opierał się naporowi współczesności i on — wielbiciel po-

wieści kryminalnej — gdzie o fabułę chodzi w pierwszym rzędzie, zaczął z biegiem czasu wykazywać coraz silniejszą atrofię pomysłów fabularnych. Wymyślał koncepty, ale te koncepty były nieco za słabe, by utrzymać nośność poprzez całą powieść. Tak było z chyba ostatnią (w każdym razie wydaną) powieścią „Wszystko inaczej", o której w drugim obiegu napisałem kiedyś recenzję sygnując malowniczym pseudonimem Absalom Kołek. I to samo powiedziałem Stefanowi w czasie naszego ostatniego dłuższego spotkania. Książka kipi rozmaitymi pomysłami, koncepcjami, obfituje w świetne sylwetki „wzięte z życia", natomiast fabuła jest czymś przydanym i czytelnik co najmniej od połowy przestaje się całkiem interesować losami jakiegoś inżyniera, a jego samobójcza (?) śmierć nie robi wrażenia, w toku bowiem narracji spapierzył się całkowicie, a kogóż może interesować śmierć papierowego bohatera?

Mnie się zdaje, że najdłużej, może na stałe zagości w naszej literaturze „Sprzysiężenie" (o które rozegrała się swego czasu ta dziś nieco żenująca tragifarsa z udziałem redakcji, kurii i podsądnego Stefana). Szansę tę ma z uwagi na autobiografizm, a więc na autentyczność fabularną i na doskonały portret środowiska inteligencji warszawskiej i kół politycznych w przededniu 2 wojny światowej oraz suchy, pozbawiony owej patriotycznej nieznośności, tak częstej w naszej literaturze, raport z polskiego września. Osobiście lubię „Zbrodnię w Dzielnicy Północnej", która jest w miarę autentycznym kryminałem i na domiar ma swój polityczno-aluzyjny podtekst. Dużą szansę na przetrwanie ma znakomity „Alfabet". Ale nie traćwa nadziei: Stefan przyznał mi się kiedyś, że pisze dziennik. Jeżeli nie zbujał, to jest szansa, że pozostał po nim najautentyczniejszy autentyk czasu, w którym przyszło mu żyć, a więc dokument taki, jakim się stał „Dziennik" Leopolda Tyrmanda, a zarazem klucz do jego głębszej warstwy świadomości, do której nawet bliskim trudno było dotrzeć poprzez system zmiennych masek, którymi się bawił i chronił przed ludzkim wścibstwem.

Jakim był kompozytorem — nie wiem. Z wypowiedzi innych twórców wnoszę, że był człowiekiem uzdolnionym, ale że brakło mu tej „anielskiej miary", która dla osiągnięcia wyżyn jest niezbędnie potrzebna.

Więc czy to możliwe, by po Stefanie zostało tak mało: dokumenty raczej, a nie świadectwa umysłu i ducha? Sądzę, że jest teraz obowiązkiem wielu, aby Kisiela utrwalić w zbiorowej świadomości Polaków, aby go dla nich zachować, jak jakiegoś Mochnackiego, Brzozowskiego czy tylu innych świetnych ludzi, którzy się twórczo nie dopełnili, w obliczu zapotrzebowań czytelnika „zestarzeli", ale którzy mają za sobą rolę tak potężną i ważną, że należy ją uchronić przed zapomnieniem.

Dlatego napisałem szczerze i bez ogródek o tym, jak widzę w perspektywie pisarstwo Stefana, więc nie tak, jak się zazwyczaj czyni w hagiograficznych wspomnieniach pośmiertnych. Bo to moje widzenie przekonuje mnie tym bardziej do potrzeby utrwalenia Kisiela jako myśliciela swego czasu w świadomości następnych pokoleń. Dla mnie bowiem pozostanie on Mistrzem, który był w mroku światłem, a w blasku swego wybornego umysłu wyznawcą racji wolnego umysłu. Pozostanie Mistrzem mimo sporów i drobnych zwad, mimo że dawno już przestał mnie uczyć, ale świadomość pobranych nauk przecież pozostała. I nieprzypadkowo odziedziczyłem po nim felietonowy kącik w *Tygodniku Powszechnym*, tę grządkę, którą uprawiam dumny, że przedtem uprawiał ją Stefan. I będzie mi go cholernie brakowało.

Tadeusz CHRZANOWSKI

Wspomnienie o mojej żonie Olimpii

KURIERKA P.O.W.

Ludzie, urodzeni na ziemiach Litwy historycznej przed pierwszą wojną światową, gdy z tego świata odchodzą, znaczą tym swoim odejściem nie tylko koniec epoki, lecz również bezapelacyjny koniec pewnych warstw społecznych, które swoim stylem życia i swoimi pojęciami zaważyły na dziejach kultury polskiej. Ks. Walerian Meysztowicz w swoich wspomnieniach „Poszło z dymem" opisał styl życia górnej warstwy ziemiaństwa na początku bieżącego stulecia. Czernyszewicz w „Nadberezyńcach" dał obraz życia szlachty zaściankowej. Olimpia Swianiewiczowa z domu Zambrzycka zmarła w 1974 roku, była wierną nosicielką pewnych pojęć i ideałów, które się rodziły wśród średniego i drobnego ziemiaństwa, które przed pierwszą wojną światową biedniało coraz bardziej pod naciskiem niepomyślnej polityki taryfowej rządów rosyjskich oraz ciężarów finansowych wynikających z działów rodzinnych.

W początku lat dwudziestych było to dziewczę z dworku na Białorusi, bowiem Wiazyń opisany przez Aftanazego[1] był ra-

1. Roman Aftanazy: *Materiały do dziejów rezydencji*. PAN, Instytut Sztuki. Warszawa, 1986.

czej dworkiem niż dworem, pomimo dość imponującego wrażenia, gdy się na jego teren wjeżdżało; gdy przychodziły żniwa, panny musiały iść z sierpami w pole i ojciec gniewał się, gdy któraś z trzech sióstr siedziała w tym okresie wetknąwszy nos w książkę. Gdy krowa się cieliła, było to wydarzenie, które poruszało całą rodzinę. Pewna znajomość języka francuskiego należała do dobrego tonu, lecz nie było środków na to, by utrzymywać przy dzieciach guwernantki, które by ich uczyły języków; wysyłanie córek na pensję do Warszawy stanowiło również problem finansowy. Synowie szli do szkół rosyjskich. Dzieci biegały po polach razem z dziećmi wioskowymi, towarzyszyły pastuchom na pastwiska oraz słuchały ich opowiadań. Jednym z głównych mentorów małej Lipki był stary Hryhor, główny pastuch wiazyński, który pamiętał nie tylko pańszczyznę i powstanie 1863 r., lecz również likwidację Unii.

Hryhor opowiadał małej Lipce o tej krzywdzie, której doznała wioska, gdy władze carskie *pierekulili* chłopów białoruskich na prawosławie; powyganiali miejscowych parochów, do których ludność była przyzwyczajona, a przysłali popów rosyjskich, którzy wszystko zaczęli przerabiać na modłę moskiewską i których ludność miała w pogardzie. Popi zaczęli zwalczać dawne obyczaje, uświęcone tradycje wielu pokoleń, jak np. zwyczaj wychodzenia na mogiłki w dni poświęcone „dziadom" tzn. przodkom. Dawniej paroch unicki sam wychodził z chłopami na mogiłki, aby nawiązać kontakt z duszami tych, co odeszli. Dlatego też potem, gdy wypadło Lipce w latach szkolnych czytać „Dziady" Mickiewicza, wchodziła ona w świat dobrze jej znanych pojęć. Nie musiała np. zadawać sobie pytania, dlaczego w II części „Dziadów" ksiądz występuje razem ze swoimi dziećmi, co dziwiło bardzo rzymskokatolickich czytelników Mickiewicza.

Ta warstwa średniego i drobnego ziemiaństwa nie tylko była bliżej wioski niż wielkopańskie dwory, opisywane przez Meysztowicza i Marię Czapską, lecz również krzyżowała się z mieszczaństwem. Średnia warstwa Mińska — adwokaci, lekarze, rejenci, aptekarze, urzędnicy kolejowi — byli Polakami i odznaczali się głębokim patriotyzmem, chociaż niektórzy z nich byli niemieckiego pochodzenia. Lipka podkreślała zawsze ze szczególnym naciskiem patriotyzm mińskich rzemieślników, co tak jaskrawo wystąpiło w latach 1918–1920. Tak zresztą jak i w Wilnie.

Prababka Lipki ze strony ojca — Józefa Jasieńska — pochodziła z wielkopańskiego dworu; jej babka Olimpia Czekotowska, na cześć której otrzymała Lipka swoje imię, z drobnej szlachty. Jej babka ze strony matki, Emilia Post, była mińską mieszczanką niemieckiego pochodzenia, która dopiero na łożu śmierci przeszła z kalwinizmu na katolicyzm, aby być pochowaną na cmentarzu katolickim obok swego męża. W papierach żony znalazłem uroczy szkic napisany w 1965 r. dla uczczenia setnej rocznicy ślubu jej babki Postówny z Alojzym Witkowskim. Ciotka Lipki ze strony matki była żoną znanego adwokata mińskiego Niesłuchowskiego, u którego aplikację odbywał młody i przystojny prawnik, zawołany tancerz Władysław Raczkiewicz, którego matka posiadała domek na przedmieściach Mińska. Raczkiewicz ożenił się z córką swego patrona. Młodzi państwo Raczkiewiczowie przyjeżdżali często do Wiazynia i szczególną przyjemność znajdowali w bawieniu się z najmłodszą latoroślą rodziny Zambrzyckich. Potem, po śmierci ciotki Lipki, stosunki te uległy znacznemu rozluźnieniu, gdy mecenas Niesłuchowski ożenił się wbrew stanowisku swojej córki i założył nową rodzinę. Wkrótce potem zmarła matka Lipki. Pani Raczkiewiczowa zerwała z ojcem; tymczasem zaś Wiazyń utrzymywał nadal kontakt z nową rodziną jej ojca, której przedstawiciele już w okresie niepodległości przyjeżdżali do Wiazynia na wakacje. Zerwały się więc również stosunki Raczkiewiczów z Wiazyniem. Dopiero kiedyś w Londynie prezydent Raczkiewicz przypomniał mi, że właściwie łączą nas więzy powinowactwa.

Gdy przyszły lata 1918–1920, prawie cała rodzina wzięła czynny udział w wojnie. Brat Lipki Eugeniusz dostał Virtuti Militari za wysadzenie mostu na tyłach nieprzyjacielskich, siostra Maria została odznaczona Krzyżem Niepodległości, starszy brat Stanisław — największy autorytet w rodzinie — ciężko ranny podczas pierwszej wojny znalazł się w szeregach dopiero w 1920 r. wkrótce zginął jako dowódca kompanii w wileńskim pułku strzelców (85 p.p.) w walkach pod Krwawym Borem. Lipka służyła w szeregach POW i kilkakrotnie jako kurierka przekraczała linię frontu za co otrzymała Medal Niepodległości. Była nawet aresztowana, lecz zbiegła dzięki bezinteresownej pomocy jakiejś starej Żydówki. Należała do oddziału Dziuni Tejszerskiej, która była jej komendantką zarówno w harcerstwie jak i w POW. Dziunia Tejszerska była jedną z najdzielniejszych postaci kobiecych w dziejach Polskiej Organizacji Wojskowej w okresie walk o niepodległość. Została rozstrzelana przez Czerezwyczajkę w 1920 r., podczas powtórnej okupacji Mińska przez bolszewików.

Gdy latem 1919 r. Mińsk został zdobyty przez wojska polskie i miasto odwiedził Naczelnik Państwa, zetknął się z oddziałem Dziuni Tejszerskiej na jakiejś herbatce, zorganizowanej przez związki kobiece. Józef Piłsudski powiedział harcerzom szereg komplementów za ich pracę z ciągłym narażaniem życia. Te komplementy jednak zakończył rozkazem „A teraz marsz do szkół z powrotem" Lipka wkrótce potem znalazła się w gimnazjum dla uchodźców w Chełmnie na Pomorzu, gdzie ukończyła średnią szkołę.

Chociaż Lipka miała swoją własną cegiełkę, którą dorzuciła do pracy w POW, fascynacją całego jej życia było zbieranie opowiadań o roku 1863. Była to rozdmuchana iskierka, którą w dniach jej dzieciństwa rozpaliły pogawędki ze starym pastuchem Hryhorem. Już w latach nadchodzącej starości na emigracji zamieści ona w *Gońcu Karpackim* szereg szkiców dotyczących powstania w Mińszczyźnie. Nigdy nie mogła darować S. Kieniewiczowi, że w swojej monografii Powstania Styczniowego[2] pominął wkład Mińszczyzny do walk 1863 roku. Uważała więc, że w miarę swoich możliwości musi starać się tę lukę jakoś uzupełnić.

KÓŁKO

To dziewczę z dworku zjawiło się na Uniwersytecie Wileńskim w 1921/22 roku akademickim i zapisało się na Wydział Przyrodniczy. Głowę trzymała przeważnie nieco pochyloną w przód i duże ciemne oczy patrzyły na świat nieco spodełba, z pewną nieufnością do rozmówcy. Lecz jednocześnie była w nich jasność, która wyrażała niezachwianą wiarę w nienaruszalny porządek moralny świata. Te same oczy, duże oraz pełne ufności i wiary, widziałem pięćdziesiąt lat potem w Kanadzie, gdy były wpatrzone w księdza, który dawał jej ostatnie namaszczenie.

Była niewątpliwie nieprzeciętnie przystojna i atrakcyjna, lecz od razu było widać, że nie była to panna z miasta, ani też panna wychowana przez guwernantki; wiało od niej świeżością pagórków leśnych, pól oraz rwących potoków na dziale wodnym pomiędzy Niemnem a Dnieprem, bo tam właśnie była jej ścisła ojczyzna. W owych latach nigdy nie spotkałem jej w męskim towarzystwie. Przeważnie widziało się ją w gronie przyjaciółek z tego samego gimnazjum dla uchodźców w Chełmnie pomorskim. Była małomówna i wyglądała na bardzo nieśmiałą. Koledzy, którzy próbowali jakoś nawiązać z nią kontakt, narażali się na spontaniczne impertynencje, których powodu ona sama prawdopodobnie nie umiała sobie wytłumaczyć. Była w niej pewna swoista żywiołowość w reakcjach.

W latach 1922/23 widziałem ją nieraz wychodzącą w wyświechtanym kożuszku po mszy św. akademickiej z kościółka św. Anny, który stanowił cud gotyckiej architektury. Zapytałem kiedyś stojącą przed kościołem obok mnie ówczesną Marychnę Kukowiczównę, kto to jest, ta koleżanka, stanowiąca tak wybitnie ukraiński typ? Marychna odpowiedziała: „Ach, to Lipka Zambrzycka, wielki dzieciak". Pomyliliśmy się obydwoje: Lipki ciemne, prawie czarne włosy, czarne duże brwi były prawdopodobnie wynikiem jakiejś domieszki krwi węgierskiej a nie ukraińskiej, bo rodzina jej przed wiekami przyszła do Wielkiego Księstwa Litewskiego z Podkarpacia. Marychna pomyliła się również, bo Lipka wcale nie była dzieciakiem, miała tylko specyficzną postawę wobec życia, która nakazywała jej widzieć świat jako ciągłą walką dobra ze złem. Sprawiało to czasem wrażenie naiwności i pozbawiało poczucia humoru. Lipka nie lubiła, aby o zasadniczych prawdach mówiono żartobliwie; wydawało się jej wówczas, że rozmówca kpi z niej osobiście. Jedną z nielicznych trudności naszego życia małżeńskiego było to, że w wieku starszym mówiąc o rzeczach poważnych, rzekomo miałem ironiczny uśmieszek na twarzy. Dopiero potem, gdy zobaczyłem siebie w telewizji przekonałem się, że Lipka miała pewną rację. Lipka miała swój styl, który wyniosła z wczesnego dzieciństwa i zachowała do lat starości, wciąż żyła wspomnieniami rozmów ze starym Hryhorem i wciąż wertowała w pamięci dzieje swoich babek. W Indonezji, Anglii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie wracała myślą do spraw wiazyńskich z dni swego dzieciństwa, pomimo góry książek, które przeczytała i ogromnej ilości notatek, które pozostawiła w spadku.

Nasza pierwsza dłuższa rozmowa miała miejsce na herbatce Koła Przyrodników Uniwersytetu Wileńskiego w roku 1922 czy też może 1923. Byłem studentem prawa i dziś nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego mnie tam zaproszono. Byłem jednym z działaczy tego, co wówczas nazywano lewicą akademicką; stwarzało to pewne więzy z życiem innych wydziałów i dlatego widocznie otrzymałem zaproszenie. Organizatorka zapytała Lipkę, przy kim chciałaby siedzieć. Lipka odpowiedziała „przy Swianiewiczu". Organizatorka wzruszyła ramionami mówiąc: „Też ludzie mają gusta", lecz ostatecznie posadziła Lipkę przy mnie.

Lipka z punktu mi powiedziała: „Tak się urządziłam, żeby siedzieć przy koledze, bo mam do niego prośbę. Mianowicie chciałabym aby mnie kolega wprowadził na zebranie Kółka". Spojrzałem nieco zaskoczony na moją sąsiadkę. Duże ciemne oczy naprawdę wyrażały prośbę. Coś we mnie drgnęło. Powiedziałem jej, że zabiorę ją ze sobą na najbliższe zebranie tego grona ludzi, którzy byli znani na Uniwersytecie jako „Kółko". Istotnie kilka tygodni potem zjawiłem się w jej towarzystwie na zebraniu, które miało miejsce w mieszkaniu ks. Czesława Falkowskiego, młodego profesora historii kościoła (miał wówczas 33 lata) wywołując tym pewne zdziwienie gospodarza.

Czym było to „Kółko"? Był to nieduży, lecz bardzo zwarty zespół osób, które się spotykały regularnie, aby dyskutować problemy religijne. Nie była to organizacja w ścisłym tego słowa znaczeniu; nie miała bowiem ani statutu, ani wyraźnie sformułowanych zasad ideologicznych, ani prezesa, ani sekretarza, ani nie zbierała składek, chociaż na każdym zebraniu była

2. Stefan Kieniewicz, Powstanie styczniowe. PWN, Warszawa, 1972.

obfitość kanapek i ciastek. „Kółko" jako takie nie prowadziło żadnej propagandy ani też nie werbowało nowych członków. Wspólną cechą wszystkich członków była potrzeba zainteresowania problemami życia religijnego. W większości jednak wypadków zainteresowanie to było połączone z postawą pewnej rezerwy wobec tego, co można było w owym czasie nazwać oficjalnym wileńskim katolicyzmem, chociaż różni członkowie tego „Kółka" tę rezerwę różnie odczuwali i uzasadniali.

Oficjalny katolicyzm wileński był wówczas niezdrowo rozpolitykowany. Na Uniwersytecie młodzieżowe organizacje katolickie szły w ogonie Narodowej Demokracji, brały udział w nagonce antysemickiej, ich członkowie głosowali za wykluczeniem Żydów z reprezentacji młodzieży akademickiej. Pobożne paniusie opowiadały różne głupie fałsze o Naczelniku Państwa, którego zwalczała Narodowa Demokracja.

Największym jednak grzechem katolicyzmu wileńskiego w owym czasie była sprawa litewska. Pomiędzy Polską i Litwą był spór o Wilno. Historycznie i geograficznie Wilno było związane z Litwą, lecz ogromna większość ludności chrześcijańskiej tego miasta czuła się polska i głęboko patriotyczna oraz była bardzo przywiązana do Kościoła katolickiego. Litwini byli również katolikami; nowopowstałe państwo litewskie czasami nawet nazywano republiką księżowską, bo kler odgrywał tam bardzo wielką rolę polityczną. Ostra Brama była celem pielgrzymek zarówno polskich jak i litewskich. Kościół mógłby tu odegrać ogromną rolę, głosząc zasady miłości, pojednania i wzajemnej tolerancji. Można było stworzyć ogromną siłę moralną, która by promieniowała na Białoruś, Ukrainę i państwa bałtyckie. Coś podobnego chodziło zapewne po głowie Józefowi Piłsudskiemu, gdy układał swoje plany federacyjne. Możliwe, że cała historia Wschodniej Europy poszłaby innymi szlakami, gdyby się te plany udały. Tymczasem kler katolicki z obydwu stron, zarówno polskiej jak i litewskiej, był głównym czynnikiem jątrzącym i podburzającym do wzajemnej nienawiści. Nie da się zaprzeczyć, że wśród polskiego kleru w Wilnie było wiele jednostek głęboko wierzących, które prowadziły świątobliwe życie. Wymienia je ks. Meysztowicz w swoich wspomnieniach[3]. Lecz ci sami skądinąd księża intrygowali przeciwko równie świątobliwemu, dziś wyniesionemu na ołtarze, biskupowi Matulewiczowi, gdyż był on Litwinem i nie chciał nikogo asymilować; w końcu go wygryziono. Podobno arcybiskup Ratti, późniejszy papież Pius XI, był bardzo przygnębiony tymi stosunkami, gdy jako nuncjusz papieski w Warszawie odwiedził również Wilno. Meysztowicz pisze, że Ratti odwrócił

3. Walerian Meysztowicz, „Poszło z dymem". Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1973.

się ze wstrętem od ks. Puciaty, gdy ten poprosił u Niego o audiencję jako delegat intrygującej kapituły.

Lipka była głęboko religijna, lecz odczuwała pewną rozterkę w zetknięciu się z postawą standardowego katolicyzmu na Uniwersytecie Wileńskim. Nie mogła znieść tego wszystkiego, co w tych kołach mówiono o Józefie Piłsudskim, którego uwielbiała jako harcerka i peowiaczka. Szukała więc jakiegoś oparcia i miała nadzieję, że znajdzie je w „Kółku".

„Kółko", prócz tego, że było dalekie od jakichś standardów, było również zgromadzeniem szeregu niebanalnych ludzi. Nie wszyscy uważali siebie za katolików, była nawet jedna luteranka, głęboko przywiązana do tradycji reformacji. Właściwie mówiąc była to grupa ekumeniczna o trzydzieści lat wyprzedzająca rozwój ruchu ekumenicznego. Jednym z pierwszych organizatorów tych dyskusji kółkowych był Bohdan Podoski, późniejszy wicemarszałek Sejmu, dobrze znany po wojnie londyńskim Polakom. Trzy osobistości odegrały centralną rolę w dziejach tego zespołu; Benek Woyczyński, przybrany syn dr. Woyczyńskiego, przybocznego lekarza marszałka Piłsudskiego, ks. Czesław Falkowski, wówczas profesor historii kościoła na Uniwersytecie Wileńskim, późniejszy rektor tego Uniwersytetu, a po wojnie biskup łomżyński, oraz Dzinka Umiastowska.

Najbardziej daleką od przeciętności była niewątpliwie indywidualność Benka Woyczyńskiego. Był on wnukiem znanego poety białorosyjskiego Franciszka Bohuszewicza, który pisał pod pseudonimem Maciej Buraczok. Wczesne dzieciństwo Benka upłynęło wśród bojowców PPS-u; potem brał udział w ruchu strzeleckim w Galicji. Przed samym wybuchem pierwszej wojny światowej wysłany do zaboru rosyjskiego dla prowadzenia roboty niepodległościowej, został „nakryty" przez władze rosyjskie i zesłany do któregoś z miast północnej Rosji, gdzie zapadł na gruźlicę. Po wybuchu rewolucji w 1917 roku znalazł się w Moskwie, gdzie zetknął się bliżej z intelektualnym ruchem buddyjskim i przez pewien czas uważał siebie za buddystę. Stąd dopiero doszedł do katolicyzmu. Społecznie uważał siebie za socjalistę. Było pewne podobieństwo pomiędzy tym, co on mówił, a pismami Stanisława Brzozowskiego. Tematem jego pracy doktorskiej, którą robił pod kierownictwem Wincentego Lutosławskiego, było pojęcie duszy u Platona. „Kółko" organizował razem ze swoją narzeczoną, późniejszą żoną, Sławką Walicką, również studentką filozofii, która pisała pracę doktorską o Berkeley'u. Umarł w 1927 roku. Po jego śmierci wdowa wstąpiła po zdobyciu doktoratu do klasztoru i w latach późniejszych była matką przełożoną Lasek pod Warszawą, znanego centrum polskiego intelektualnego katolicyzmu.

Lipka całą duszą oddała się sprawom „Kółka". W niespełna

rok po naszej pierwszej dłuższej rozmowie na herbatce Koła Przyrodników powiedzieliśmy sobie, że połączymy nasze losy na zawsze... Był to dzień 5 lipca 1924 r. Gdy Lipka leżała umierająca w szpitalu kanadyjskim, miała jednak nadzieję, że dożyje 5 lipca 1974 r., abyśmy mogli obchodzić 50-lecie naszego narzeczeństwa. Niestety, nie było nam to dane... Lipka umarła niespełna trzy tygodnie przed tą datą. Jesienią 1926 r. ks. Falkowski pobłogosławił nasz związek małżeński w tym samym kościółku św. Anny, z którego widziałem ją wychodzącą w wyświechtanym kożuszku. W latach późniejszych, gdy zespół kółkowy przechodził przez różne kryzysy, które spowodowały pewne rozluźnienie więzów, łączących to grono, Lipka, już matka czworga dzieci, odgrywała w dużym stopniu rolę spójni, łączącej dawnych ludzi kółkowych. W naszym mieszkaniu na Antokolu urządzała przy różnych okazjach zebrania, utrzymywała korespondencję z tymi, którzy opuścili Wilno. 17 grudnia w dzień imienin Lipki gromadzili się u nas zwykle wszyscy dawni ludzie kółkowi obecni w Wilnie.

Największym wydarzeniem rozluźniającym spoistość dawnego „Kółka" było opuszczenie Wilna przez Dzinkę Umiastowską. Była ona centralną figurą kółka w tym sensie, że dbała o terminy i miejsce zebrań, dobór tematu i dopuszczanie gości. Studiowała na Uniwersytecie Wileńskim filologię klasyczną, lecz miała solidne podstawy w różnych dziedzinach wiedzy humanistycznej. Była nielitościwą purystką, jeżeli chodzi o język polski. Korygowała prace ks. Falkowskiego o św. Franciszku i o Marcinie Lutrze. Gdy dałem jej do językowej korekty przed drukiem swoją pracę o poglądach ekonomicznych Jerzego Sorela, nie zostawiła ani jednego pierwotnego zdania. Wszędzie poznajdowała rusycyzmy...

Zewnętrznie była okazem zdrowia: wysoka, silnie zbudowana, rumiana na twarzy. W kilka lat po śmierci Benka zdarzył się następujący wypadek. Dzinka, gdzieś w Oszmiańskim powiecie, wiozła chore dziecko swojej siostry. Po drodze zaczęła się ulewa z gradem, Dzinka zdjęła swój sweterek, owinęła nim dziecko. Dziecku ostatecznie nic się nie stało, lecz Dzinka po tym przemarznięciu zapadła na zapalenie płuc, z którego wywiązała się gruźlica. Wkrótce wyjechała na dłuższą kurację do Zakopanego. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się rzeczy dosyć dziwnej, że Dzinka pomimo otwartej gruźlicy została przyjęta do klasztoru w Laskach i wkrótce złożyła śluby zakonne. Odwiedzałem ją tam niejednokrotnie. Była niewątpliwie na jakimś specjalnym statusie: obszerny pokój, dużo powietrza, często werandowała, dawała lekcje, dużo czytała i pomnażała swoją bardzo solidną wiedzę teologiczną. Czasami przyjeżdżała do Wilna. Gdy w okresie Wielkanocy 1939 roku pojechałem na narty w Tatry, Dzinka była w Zakopanem, lecz tym razem nie w sanatorium a w szpitalu. Był to już końcowy okres gruźlicy. W Zakopanem był również ks. Falkowski. Przed 20 kwietnia musiałem opuścić Zakopane, bo zbliżała się data rozpoczęcia moich wykładów w Wilnie w wiosennym trymestrze. Ks. Falkowski swoje wykłady odwołał, a ja sobie na to nie mogłem pozwolić.

W kilka dni po moim powrocie do Wilna nadeszła wiadomość o śmierci Dzinki i o dacie pogrzebu w Laskach. Pogrzeb Dzinki wywarł na Lipce i na mnie niezatarte wrażenie: celebrował nabożeństwo biskup piński ks. Bukraba w asyście ks. Falkowskiego. Ta choroba i ta śmierć były owiane jakąś mistyczną tajemnicą. Opowiadano, że podczas owej burzy, gdy Dzinka wiozła chore dziecko, postanowiła ona zrobić ofiarę ze swego życia, aby uratować dziecko. Choroba i śmierć miały być oznaką, że ofiara została przyjęta. Jak to Dzinka naprawdę przeżywała, przypieczętowane jest tajemnicą spowiedzi. Jedynym człowiekiem, który mógł wiedzieć, jak naprawdę Dzinka to przeżywała, był ks. Falkowski i z jego zachowania mogłem wnioskować, że nie był to w jego oczach zwykły wypadek choroby i śmierci. Niedługo potem Lipka zorganizowała w naszym mieszkaniu na Antokolu większe zebranie, poświęcone pamięci Dzinki. Byli obecni nie tylko wilnianie, lecz również różni goście z Lasek. Cztery miesiące potem, gdy spod Garwolina, przeraźliwie zrąbanego przez lotnictwo niemieckie, dosyłałem do Nowowilejki wyniesiony z bitwy pod Piotrkowem sztandar 85 pułku strzelców wileńskich i jednocześnie dawałem podoficerowi, który ten sztandar miał wieźć, list do Lipki, myślą modlitewną zwracałem się do Dzinki.

Za czasów okupacji sowieckiej, a potem niemieckiej, kiedy byłem w więzieniu sowieckim, Lipka kontynuowała styl życia kółkowego przez przynależność do zespołu ludzi, którzy grupowali się dookoła księdza Henryka Hlebowicza. Hlebowicz był to młody ksiądz o chłopięcym wyglądzie i niewyczerpanym zasobie entuzjazmu. Poznałem go za czasów, kiedy był zastępcą profesora na Uniwersytecie Wileńskim. Na Uniwersytecie utrzymywał kontakty z młodzieżą skrajnie lewicową. Ta jego aktywność była powodem, że arcybiskup Jałbrzykowski wycofał go z pracy na Uniwersytecie, a wyznaczył na parafię w Trokach. Ks. Hlebowicz cieszył się z tej rzekomej kary, bowiem uważał, że właściwym zadaniem księdza jest praca wśród ludu, a nie wyżywanie się w dyskusjach intelektualnych na terenie akademickim. Chrzcił on nasze najmłodsze dziecko i pomagał Lipce w przygotowaniu do pierwszej komunii św. naszej najstarszej córki. Jeździliśmy w tym celu specjalnie do Trok. Gdy przyszła okupacja, ks. Hlebowicz zaczął po kościołach wileńskich wygłaszać kazania skierowane przeciwko komunizmowi, wzywając młodzież do manifesto-

wania swego przywiązania do religii katolickiej oraz do idei Boga Wszechmocnego. Szukał wyraźnie palmy męczeńskiej. Kazanie jego w odpisach obiegało Wilno. I stała się rzecz dziwna: władze sowieckie aresztowały i wywoziły tysiące ludzi, zupełnie niezamieszanych w jakąkolwiek bądź aktywność publiczną, a nie ruszyły jednak ks. Hlebowicza. Gdy przyszła okupacja niemiecka, ks. Hlebowicz, znający dobrze język rosyjski, wyjechał jako misjonarz katolicki do Wschodniej Białorusi, gdzie został rozstrzelany przez Niemców. Dziś w kraju wiele się pisze i mówi o ks. Hlebowiczu, jest w pewnym stopniu kult ks. Hlebowicza. Lipka opowiadała mi, że znała wypadki, kiedy żołnierze Armii Krajowej w momentach krytycznych modlili się o pomoc Henia Hlebowicza... W pamiętniku Lipki pisanym już w szpitalu jest następująca notatka pod dniem 3 stycznia 1974 roku:

„...śniło mi się, że stałam w kolejce poza robotnikami, którzy stali przed konfesjonałem, w którym spowiadał ks. Hlebowicz. Widziałam wyraźnie jego twarz i jego sylwetkę. I tak się cieszyłam, że przed tym pierwszym zastrzykiem, którego się trochę boję, będę mogła wyspowiadać się u ks. Hlebowicza. Obudziłam się uspokojona; cały czas powtarzam sobie: 'Henryku, Ty mnie uratujesz'. Ten sen uspokoił mnie całkowicie".

W papierach, pozostawionych przez Lipkę widziałem tekst jednego z jego kazań podczas okupacji sowieckiej. Tchnęła z nich bezwzględna bezkompromisowość. Lipka miała zamiar ogłosić to w druku.

W tym samym dzienniku pod datą 19 grudnia 1971 jest następujący zapis:

„Miałam cudny sen. Śnił mi się biskup Falkowski, który mnie radośnie witał, że już 'przyszłaś do nas', tzn. ludzi kółkowych. Myślę, że to zapowiedź rychłego rzeczywistego spotkania na tamtym świecie".

Wówczas Lipka miała już zaczątki choroby, która ją potem miała sprowadzić do grobu, chociaż myśmy zlekceważyli te pierwsze bezbolesne objawy. Kółko stało się dla niej klamrą, spinającą w ciągu niemal pół wieku jej pierwsze młodzieńcze umiłowanie, małżeństwo, życie i śmierć.

KSIĄDZ WŁADYSŁAW TOŁŁOCZKO

Pisząc o „Kółku" i o tym klimacie psychicznym, który się dookoła niego wytworzył, trudno pominąć skromną postać ks. Władysława Tołłoczki. Nie był on ani razu na zebraniu „Kółka", bo w ogóle nie chodził na żadne zebrania, lecz był spowiednikiem i przyjacielem Benka Woyczyńskiego. Gdy bezpośrednio po śmierci Benka widziałem go, powiedział mnie: „Są geniusze w różnych dziedzinach. Benek był geniuszem w dziedzinie moralnej...". Na skutek sugestii Benka niektórzy inni członkowie „Kółka", między innymi Lipka, stali się penitencjariuszami ks. Tołłoczki. Ksiądz ten może być przedmiotem oddzielnej monografii, ilustrującej, jak skromność i pokora połączone z mocnymi przekonaniami mogą promieniować na ludzi. Bardzo wykształcony kapłan, który studiował teologię w Insbrucku razem z ks. Falkowskim, nie przyjmował jednak żadnego stanowiska kościelnego, a właściwie żył z jałmużny. Jąkał się i miał pewnego rodzaju kompleks niższości z powodu tej bardzo zresztą drobnej wady. Kiedy za poradą Benka Woyczyńskiego po raz pierwszy odwiedziłem ks. Tołłoczkę, uprzedził mnie, że jest jąkałą i że niektórzy ludzie dość przykro odczuwają tę jego wadę.

W latach trzydziestych spowiadał on pomiędzy 6 a 8 rano w kościele Bernardynów. O tej wczesnej godzinie przed jego konfesjonałem zawsze była kolejka, w której obok stylowych wileńskich babulek można nieraz było zobaczyć wybitnych przedstawicieli niezależnie myślącej części inteligencji wileńskiej. Potem odprawiał cichą mszę św. i szedł do domu na śniadanie. Przeważną część dnia spędzał na załatwianiu swojej rozległej korespondencji. Środki na papier i znaczki pocztowe miał prawdopodobnie ze stypendiów mszalnych. Czasami pisywał artykuły do *Przeglądu Wileńskiego*, przeważnie w sprawach wyznaniowych. Podpisywał zwykle pseudonimem.

Przegląd Wileński był dwutygodnikiem niedużych rozmiarów, lecz bardzo dobrze redagowanym. Reprezentował tzw. ideę krajową. Krajowcami nazywano w Wilnie ludzie, którzy stali na stanowisku jedności ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, dla których Wilno było historyczną stolicą. W okresie pierwszej wojny światowej kwestia utrzymania jedności ziem W. Ks. Litewskiego nie wydawała się sporną. Zarówno polscy jak litewscy i białoruscy działacze polityczni nie kwestionowali tej zasady, jakkolwiek różne mogli mieć ideały, jak ta zjednoczona Litwa będzie wyglądać. Dopiero pod koniec pierwszej wojny światowej wysunięte zostały hasła narodowego, opartego na etnograficznych zasadach państwa litewskiego ze stolicą w Wilnie, chociaż Wilno miało ludność poczuwającą się przeważnie do polskości. 25 marca 1918 roku Rada, wyłoniona przez Wszechbiałoruski Kongres w Mińsku ogłosiła niepodległość jako ideał polityczny dla wszystkich organizacji i ugrupowań białoruskich. Po zajęciu Wilna przez wojska polskie w 1919 roku różne polskie ugrupowania tzw. „narodowe", które dotychczas popierały projekt federacyjnego ustroju odrodzonej Rzeczypospolitej, wysunęły hasło wcielenia do państwa polskiego części ziem dawnego

W. Ks. Litewskiego, a przede wszystkim ziemi wileńskiej. Nacjonalizmy więc litewski, polski i białoruski rozbijały niekwestionowany dotychczas ideał odbudowania Wielkiej Litwy.

W rezultacie pierwszej wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej 1919–1920, ziemie dawnego W. Ks. Litewskiego zostały podzielone pomiędzy Republikę Litewską, Polskę oraz Rosję bolszewicką. *Przegląd Wileński* głosił ideał restytucji jedności z uwzględnieniem oczywiście aspiracji tych ruchów narodowościowych, które tam się rozwinęły.

Ludwik Abramowicz był bratem Witolda Abramowicza, pierwszego szefa rządu Litwy Środkowej po zajęciu w październiku 1920 Wilna przez gen. Żeligowskiego, a jednocześnie był naczelną postacią wileńskiej masonerii. Obydwaj bracia stali na stanowisku jedności ziem W. Ks. Litewskiego. Witold jednak uważał związek z Polską w takiej lub innej formie politycznoprawnej za nieodłączony warunek tego zjednoczenia. Poza tym Witold Abramowicz uzależnił swoją politykę od sugestii wychodzących z najbliższego otoczenia Józefa Piłsudskiego. Ludwik nie był przeciwny federacji z Polską, lecz nie uważał tego za niezbędny warunek. O ile mogłem zrozumieć, zarówno Ludwik Abramowicz jak i mecenas Tadeusz Wróblewski, twórca sławnej Biblioteki Wróblewskich, który razem z nim założył *Przegląd Wileński*, byli skłonni uważać Republikę Litewską za najbardziej powołanego nosiciela tradycji W. Ks. Litewskiego, chociaż oczywiście nie pochwalali różnych wybryków skrajnego nacjonalizmu litewskiego.

Myśmy z Lipką byli politycznie bliżej Witolda Abramowicza, lecz w zakresie stosunków osobistych byliśmy bliżej Ludwika i jego rodziny. Zresztą Lipka w owym czasie mało interesowała się czysto polityczną stroną ideologii krajowej. Pociągała ją przede wszystkim strona kulturalna: kultywowanie artystycznych i obyczajowych walorów tego terenu, a w szczególności zanikających już wówczas obyczajów wsi białoruskiej. Wydaje mi się, że takie było też stanowisko ks. Tołłoczki, który stronił od udziału w dyskusjach i sporach czysto politycznych.

Zapytałem kiedyś ks. Tołłoczkę, do jakiej narodowości on siebie zalicza. Odpowiedział, że za swój język ojczysty uważa język polski, spowiada zaś we wszystkich trzech podstawowych językach naszego kraju, polskim, litewskim i białoruskim. Jeżeli zaś chodzi o jego samopoczucie, to zalicza siebie jednocześnie do wszystkich trzech wymienionych narodowości. Przytoczył przy tym jakieś cytaty ze św. Pawła. Ks. Tołłoczko należał do nieco starszego pokolenia, był o jakie 15–20 lat starszy ode mnie. W moim pokoleniu takie stanowisko na dłuższą metę nie było już do utrzymania: trzeba było wybierać. Adam Mickiewicz mógł powiedzieć, że jest Litwinem, i to w jego pokoleniu brzmiało zupełnie naturalnie. Gdy Józef Piłsudski pół żartobliwie mówił o narodzie polskim tak, jakby on do niego nie należał, wywoływało to konsternację wśród jego wielbicieli. Było szereg rodzin, gdzie jeden brat określał siebie jako Polaka, a drugi miał się za Litwina. Sławną była rodzina Iwanowskich, gdzie jeden brat Jerzy zajmował stanowisko ministerialne w Polsce, drugi na Litwie, a trzeci, Wacław, był jednym z przywódców białoruskiego ruchu narodowego. Czwarty brat, któregośmy z Lipką nieraz spotykali u Marianostwa Zdziechowskich, na ogół trzymał się z dala od polityki.

Ten proces dyferencjacji narodowościowej rodził szereg problemów i antagonizmów. Powstawała kwestia równouprawnienia wszystkich miejscowych języków w administracji, szkolnictwie, sądownictwie i kościele. Gdy w październiku 1920 roku wojska gen. Żeligowskiego wchodziły do Wilna, wydał on odezwy w czterech miejscowych językach: polskim, litewskim, białoruskim i żydowskim, bowiem 11% ludności ziemi wileńskiej mówiło tym ostatnim językiem. Był to niewątpliwie wpływ Witolda Abramowicza, którego na początku Litwy Środkowej gen. Żeligowski mianował przewodniczącym Tymczasowej Komisji Rządzącej. Do komisji wszedł również Bronisław Taraszkiewicz jako przedstawiciel Białorusinów, który o ile się orientuję był również związany z masonerią wileńską. Był on kierownikiem resortu oświaty i w ciągu półtorarocznego istnienia Litwy Środkowej potrafił założyć na terenie Wileńszczyzny około 150 szkół białoruskich. Gdy w roku 1922 Litwa Środkowa została wcielona formalnie do państwa polskiego, władze polskie potrafiły tę liczbę szkół białoruskich w ciągu roku zredukować do 30-tu, a w latach późniejszych zdaje się do zera.

Było pewne podobieństwo pomiędzy stanowiskiem zajmowanym w tym zakresie przez ks. Tołłoczkę i przez wybitniejszych przedstawicieli masonerii wileńskiej. Były to jednak czasy ostrego napięcia pomiędzy Kościołem katolickim a lożami masońskimi, przede wszystkim ze względu na walkę, którą w początku bieżącego stulecia prowadził „Wielki Wschód" we Francji z organizacjami religijnymi. W owym okresie Kościół zabraniał wiernym należeć do organizacji masońskich. Nacjonalistyczna prawica wykorzystywała to stanowisko Kościoła dla walki ze wszelkimi prądami liberalizmu politycznego. Wileńskie loże należały do szkockiego obrządku, który odznaczał się bardziej spirytualistycznym poglądem na świat. Jeżeli chodzi o problemy narodowościowe, tak aktualne na terenie wileńskim, stanowisko tych naszych przyjaciół, o których wiedzieliśmy, że należeli do masonerii, było o wiele bardziej zgodne z zasadami etyki chrześcijańskiej, niż stanowisko większości przedstawicieli kleru zarówno polskiego, jak i litewskiego. Rozumiał to dosko-

nale ks. Tołłoczko i dlatego też odcinał się od wszelkiej nagonki propagandowej na masonerię, którą uprawiali przedstawiciele oficjalnego katolicyzmu wileńskiego. Wiem nawet, że bywały wypadki, że osoby o których powszechnie było wiadomo, że należały do masonerii, stawały o świcie przed konfesjonałem ks. Tołłoczki. Jak on te sprawy rozwiązywał, przypieczętowane jest oczywiście tajemnicą spowiedzi. Czasami w rozmowach z Lipką żartobliwie nazywałem ks. Tołłoczkę kapelanem loży masońskiej, chociaż Lipka na ogół niezbyt lubiła tego rodzaju dowcipy.

Dopóki w Wilnie biskupem był ojciec Matulewicz, który pozostawał jednocześnie generałem zakonu braci Marianów, ks. Tołłoczko cieszył się jego zaufaniem i przyjaźnią. Gdy jednak przy okazji zawierania konkordatu ówczesny minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Stanisław Grabski uzyskał w Watykanie usunięcie biskupa Matulewicza i na jego miejsce przyszedł arcybiskup Jałbrzykowski, stosunki ks. Tołłoczki z miejscową hierarchią uległy pogorszeniu. Sam mi opowiadał o ciężkiej przeprawie, jaką miał z arcybiskupem z powodu jednego ze swoich artykułów w *Przeglądzie Wileńskim*. Było to w drugiej połowie lat trzydziestych, w okresie gdy na ziemiach wschodnich zaczęły się zdarzać sporadyczne wypadki niszczenia cerkwi prawosławnych oraz innych obiektów kultu prawosławnego, na co władze administracyjne prokuratorskie patrzyły przez palce, chociaż to było wyraźnym bezprawiem. Ks. Tołłoczko uważał, że obowiązkiem katolickich władz kościelnych było stanowcze potępianie tego rodzaju wybryków. Gdy do Wilna nadeszła wiadomość, że w powiecie brasławskim zniszczono na cmentarzu jakąś prawosławną kapliczkę, ks. Tołłoczko wystąpił z artykułem, w którym czynił miejscowego proboszcza rzymskokatolickiego w jakimś stopniu odpowiedzialnym za to bezeceństwo. Wywołało to ostrą reakcję arcybiskupa Jałbrzykowskiego, który w rozmowie osobistej z ks. Tołłoczką nazwał owego proboszcza dobrym kapłanem. Gdy ks. Tołłoczko próbował argumentować, arcybiskup przerwał mu w stanowczej formie oświadczając, że ks. Tołłoczkę w wydaniu sądów o tym, kto jest dobrym, a kto złym kapłanem musi obowiązywać opinia jego hierarchicznej władzy.

W końcu lat trzydziestych wydano w Polsce ustawę, która zezwalała wojewodom w pogranicznych województwach wysiedlać z pasa, obejmującego 40 km od granicy państwowej osobników, podejrzanych o agitację antypaństwową lub o udział w szmuglu. Wilno znajdowało się mniej niż 40 km od granicy litewskiej. Wysiedlono wówczas dr. Franciszka Ancewicza, emigranta politycznego z Litwy, jednego z najlepszych pracowników Instytutu Europy Wschodniej; ks. Sipowicza, Marianina który wówczas pracował w Drui w powiecie brasławskim, a niedługo

potem otrzymał sakrę biskupią, oraz ks. Tołłoczkę. Wysiedlenie tego skromnego i cichego księdza, którego głównym zajęciem była opieka duchowa nad jego penitencjariuszami, wywołało powszechne zdumienie w mieście. Razem z prof. Witoldem Staniewiczem, byłym dwukrotnym rektorem Uniwersytetu Wileńskiego oraz byłym ministrem Rolnictwa i Reform Rolnych, udałem się do arcybiskupa Jałbrzykowskiego, aby spowodować jego interwencję u władz administracyjnych. Arcybiskup przyjął nas bardzo chłodno, nie poprosił nawet byśmy usiedli; rozmawialiśmy więc stojąc w środku sali recepcyjnej świeżo wybudowanego pałacu arcybiskupiego. Powiedział, że nie czuje, aby w tej sprawie mógł coś zrobić, co zmieniłoby decyzję wojewody Bociańskiego. Z tego, co powiedział, nie wynikało wcale, by uważał że ta decyzja była niesłuszna. Audiencja była skończona. Wychodząc z pałacu arcybiskupiego powiedziałem Staniewiczowi, że mam wrażenie, iż wszystko zostało już uprzednio ustalone i uzgodnione pomiędzy wojewodą i arcybiskupem. Uprzednio już nieraz słyszałem w Wilnie opinie, że wojewoda Bociański, który *nota bene* był praktykującym katolikiem, i arcybiskup Jałbrzykowski wyjątkowo do siebie pasowali.

Potem przez różne swoje stosunki wśród urzędników województwa dowiedziałem się, że zasadniczym zarzutem stawianym ks. Tołłoczce było podobno to, że on korespondował z metropolitą Szeptyckim, głową kościoła greckokatolickiego w Polsce oraz moralnym przywódcą ruchu ukraińskiego. Nie było w tym żadnej tajemnicy. Metropolita Szeptycki i ks. Tołłoczko zaprzyjaźnili się przed pierwszą wojną światową, gdy metropolita, który rezydował we Lwowie, przyjeżdżał *incognito* na ziemie b. W. Ks. Litewskiego, aby badać pozostałości Unii, skasowanej w sposób bardzo brutalny przez władze carskie. W pokoju ks. Tołłoczki stał duży portret metropolity w szatach liturgicznych z własnoręczną dedykacją. Ks. Tołłoczko interesował się bardzo nie tylko historią Unii, lecz również możliwościami jej wskrzeszenia. Odpowiadało to w dużym stopniu zainteresowaniom Lipki, która skrzętnie notowała wszystkie pozostałości tradycji unijnej w obyczajach wsi białoruskiej oraz uważała, że skasowanie Unii było jedną z największych krzywd, które Moskale wyrządzili ludowi białoruskiemu. Trudno było zrozumieć, dlaczego te zainteresowania ks. Tołłoczki i ta jego przyjaźń z metropolitą Szeptyckim, która trwała kilkadziesiąt lat, czyniły z niego osobę niepożądaną z punktu widzenia bezpieczeństwa publicznego w pobliżu granicy litewskiej. Sprawa ks. Tołłoczki była jednym z przejawów tego pomieszania pojęć, które ogarnęło znaczną część polskiego społeczeństwa, nie wyłączając szeregu wysokich dygnitarzy państwowych i kościelnych w przededniu zbliżającej się katastrofy. Nad ziemiami wschodnimi odrodzonej

Rzeczypospolitej wisiało tylko jedno prawdziwe niebezpieczeństwo. Był to wzrastający potencjał przemysłowy i wojskowy Rosji, która uważała tę ziemię za swoje historyczne dziedzictwo. Studia nad gospodarką sowiecką prowadzone w latach trzydziestych w Wilnie w Instytucie Europy Wschodniej pozwalały nam widzieć wyraźnie wzrost tego potencjału, a więc również wzrost niebezpieczeństwa sowieckiego. Nawet niebezpieczeństwo niemieckie, o tyle o ile analizowane z naszego regionalnego punktu widzenia, miało znaczenie raczej pośrednie, gdyż konflikt zbrojny z Niemcami oznaczałby przede wszystkim wejście na te ziemie wojsk sowieckich pod takim lub innym pretekstem. Było to niebezpieczeństwo nie tylko dla Polaków lecz dla wszystkich narodowości zamieszkujących ziemie dawnego W. Ks. Litewskiego. Wymagało więc wysiłków w celu znalezienia jakiejś wspólnej postawy. Tymczasem w owym okresie zbliżającej się burzy szereg naszych dygnitarzy państwowych i kościelnych popieranych przez znaczną część społeczeństwa polskiego koncentrowało swoją energię na walce z wiatrakami.

Nie wątpię, że obydwaj wspomniani powyżej dostojnicy — woj. Bociański oraz arcybiskup Jałbrzykowski — w swoim rozumieniu służyli Polsce. Wojewoda Bociański był dawnym oficerem pruskim, który jak słyszałem odegrał pewną rolę w dziele przyłączenia zachodnich dzielnic do Państwa Polskiego. Jako dowódca 86 p. w Mołodecznie miał opinię społecznika, który brał udział w różnych organizacjach, mających na celu gospodarcze podniesienie kraju. Ks. arcybiskup Jałbrzykowski był człowiekiem mocnego charakteru. Ciężka, graniczącą z kalectwem choroba nie osłabiała jego woli i energii. Nie należał do tego typu ludzi, którzy się załamują w zetknięciu z przeciwnościami. Umiał bronić autorytetu swego urzędu, wybudował pałac arcybiskupi, który znacznie się przyczynił do upiększenia placu katedralnego. Arcybiskup Jałbrzykowski — mówił mój przyjaciel Iwo Jaworski, który na Uniwersytecie Wileńskim wykładał Historię Prawa — przypomina książąt Kościoła z epoki Odrodzenia, którzy mieli poczucie władzy i używali tej władzy dla tworzenia ewentualnych pomników sztuki. Ludzie, którzy w Wilnie byli podczas wojny, mówią, że postawa Jałbrzykowskiego wobec okupantów, zarówno sowieckich jak i niemieckich, była zawsze pełna godności i odwagi. Podczas okupacji niemieckiej popierał on zawsze różne poczynania Armii Krajowej.

Nie wątpię , że ks. Jałbrzykowski w swoim rozumieniu służył nie tylko narodowi polskiemu, ale i Kościołowi. Mam jednak grube wątpliwości, jak w oczach przyszłego historyka Kościoła we Wschodniej Europie będzie wyglądał ostateczny bilans jego polityki. Historycznym i również moralnym zadaniem Kościoła na ziemiach b. W. Ks. Litewskiego było stać się czynnikiem cementującym poważnione grupy narodowościowe. Arcybiskup Jałbrzykowski zrobił sporo dla uwydatnienia tego, co dzieliło. Sprawa ks. Tołłoczki była jednym z fragmentów tej postawy kurii metropolitalnej wileńskiej w przededniu drugiej wojny światowej. Dla nas z Lipką wygnanie ks. Tołłoczki było uderzeniem w rytm naszego życia domowego. Odczuliśmy to jako w pewnym stopniu krzywdę osobistą. Uświadomialiśmy sobie również, że to wygnanie było wyrazem namiętności nacjonalistycznych, które ogarnęły całą środkową i wschodnią Europę i logicznie rzecz biorąc musiały prowadzić do zagłady indywidualności kulturalnej szeregu narodowości, tę część świata zamieszkujących. Myśmy z Lipką natomiast kochali rozmaitość i barwność struktury narodowościowo-religijnej Wilna. Było dla nas poważnym problemem wychowawczym jak uchronić nasze dzieci od ulegania wpływom postawy nacjonalistycznej, która szczególnie wyrażała się w niechęci do innych narodowości.

Jednak incydent z ks. Tołłoczką pozostawił ciemną plamę na naszych wspomnieniach o latach wileńskich, które w naszym życiu osobistym uważaliśmy za szczególnie szczęśliwe: byliśmy młodzi, dumni z tego, że pomimo młodości udało nam się wziąć udział w pracach i walkach niepodległościowych; dawaliśmy sobie wzajemnie dużo radości; mieliśmy czwórkę uroczych dzieci; przyszłość nam się uśmiechała i wierzyliśmy w to, że uda nam się przyczynić do przekształcenia Polski na modłę naszych ideałów. Incydent z ks. Tołłoczką był wskaźnikiem, że ludzie, którzy Polską rządzili, nie tylko nie mieli rozumu politycznego, lecz po prostu tracili poczucie zdrowego sensu. Po otrzymaniu nakazu administracyjnego opuszczenia pasa przygranicznego ks. Tołłoczko wyjechał do Białegostoku, gdzie, o ile wiem, kontynuował swój tryb życia pół pustelnika, spędzającego wiele godzin w konfesjonale. Podobno powrócił do Wilna w okresie okupacji niemieckiej, lecz niedługo potem umarł.

Stanisław SWIANIEWICZ

Pogrzeb Marii Dąbrowskiej

I. ŚMIERĆ MARYJKI I CO WYJRZAŁO PO JEJ ŚMIERCI

Gdy otwieramy okno na Polskę, imię Marii Dąbrowskiej świeci na polskim niebie jak gwiazda pierwszej wielkości. Jej twórczość wysuwa się na czoło literatury polskiej naszych czasów. Panią Marię znają wszyscy nie tylko dzięki Jej książkom — znana jest jej postawa moralna, jej prawość. Szacunek i ufność otaczają tę drobną i skromną postać. Gdy mówimy — Pani Maria, wiemy, co za słowem tym się kryje, wiemy, co w nas do głosu przychodzi.

●

Do napisania uwag o życiu i postaci Marii Dąbrowskiej wezwała mnie Jej śmierć i stan rzeczy, który zarysował się po Jej śmierci. Upoważnia mnie do tego nasza przeszło czterdziestoletnia przyjaźń, to, że Maryjka stała się jedną z bliskich mi osób. Tkanina życia splotła nas w przedziwny, jej tylko znany deseń.

Od 1957 roku, po opuszczeniu więzienia, widywałem się z Maryjką co dwa tygodnie, przeważnie w Komorowie. Ostatnio w szpitalu bywałem u Niej dwa razy w tygodniu. Byłem przy Jej śmierci. Maryjka miała śmierć bardzo ciężką. W ostatnich chwilach przez kilkanaście godzin bardzo cierpiała. Był to nieustający krzyk. Umierała nieprzytomna.

Po śmierci Maryjki i przybraniu Jej zwłok przez p.p. Gabrielę Szumską-Lipkową i Annę Kowalską udaliśmy się do mieszkania p. Gabrieli w pobliżu lecznicy. Było to około 11-ej wieczorem.

Weszliśmy do dość obszernego jadalnego pokoju. Pani Gabriela oświadczyła, że przyniesie testament. Pani Anna zareagowała na to niezwykle intensywnie, wołając że testamentu nie ma i być nie może. Pani Gabriela wyszła do sąsiedniego pokoju i wróciła z testamentem w ręku, wręczonym jej osobiście przez Maryjkę.

Jeżeli na wiadomość o testamencie p. Anna zareagowała niezwykle intensywnie, odczytanie testamentu stało się gromem z jasnego nieba. Pani Anna szalała. Przyznam się, że i ja byłem zaskoczony. Współczułem p. Annie.

Testament jest dokumentem historycznym i zawiera pozycje wzruszające. Ustępy końcowe mówią o spadkobiercach i opiece

nad spuścizną literacką Marii Dąbrowskiej. Tu właśnie przed p. Anną rozwarła się otchłań... Opiekę nad spuścizną literacką Maryjka powierza komisji sześcioosobowej z prof. Wyką na czele. Pani Anna do składu komisji nie weszła. Taka była ostatnia wola Marii Dąbrowskiej. Testament wspomina także o legatach — 40.000 dla Anny Kowalskiej i 10.000 dla Melanii Andrzejkiewicz, ostatniej gospodyni w Komorowie.

Pani Anna była uważana przez wszystkich i także przeze mnie jako najbliższa przyjaźń Maryjki. Przez szereg lat panowały tu stosunki rodzinne. Pani Anna brała udział w życiu Maryjki i była z nią razem. Za cały czas mojej z Maryjką przyjaźni nie słyszałem z Jej ust złego słowa o Annie. Słyszałem o Jej do Anny bliskości, ocenę umysłowych walorów Anny. Miałem wszelkie podstawy wierzyć, że Maryjka jest z Anną bardzo związana.

Gdy usłyszałem słowa testamentu, zdumiałem się. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego p. Anna została tak potraktowana. Nic nie rozumiałem. Grunt usunął się spod nóg. Co więcej, byłem po stronie pokrzywdzonej Anny.

Na drugi dzień wybrałem się do p. Anny. Usiłowałem Maryjkę usprawiedliwić mówiąc, że w pewnych razach popełniała nietakty, była niezręczna i nawet mało przytomna.

W testamencie Marii Dąbrowskiej czytamy: „Proszę aby mnie pochowano wedle obrządku religii rzymskokatolickiej, skromnie, na koszt Z.A.I.K.S.-u, gdyż mam tam fundusz pogrzebowy. Nie w żadnej Alei Zasłużonych lecz na Powązkach, w grobie na ten cel nabytym, o ile możności w pobliżu moich śp. Matki, Ludomiry z Gałczyńskich, siostry Jadwigi i Brata, Bogumiła Szumskich (kwatera 2380)".

Ostatnia wola Marii Dąbrowskiej podana jest jasno i wyraźnie. Nie ma niedomówień upoważniających taką lub inną interpretację.

A jednak pogrzeb Marii Dąbrowskiej odbył się na koszt państwa. Marię Dąbrowską pochowano na Powązkach w Alei Zasłużonych. Stało się tak jakby samo przez się. Spadkobiercy powołani do wypełnienia woli Zmarłej nie uważali za stosowne sprzeciwić się temu biegowi rzeczy. Uważali, że zachowali się jak trzeba.

Posiada to swą wymowę. Wskazuje na układ panujący w najbliższym kole rodzinnym Marii Dąbrowskiej, z którego Maryjka nie zdawała sobie sprawy. Na pewno nie przewidywała, że słowa testamentu nie będą spełnione, że tak może się stać jak się stało.

Dla mnie było to także niespodzianką o gorzkim posmaku

nędzy ludzkiego życia. Był w tym także akcent politycznej rzeczywistości panującej w Kraju. Władze państwowe wkraczają wszędzie i stanowią o wszystkim, nie licząc się z nikim i z niczym. W pewnej mierze usprawiedliwia to zachowanie się spadkobierców. Mam na myśli Gabrielę Szumską-Lipkową i Jerzego Szumskiego.

A więc uroczystości pogrzebowe odbyły się zgodnie z wolą władz. Niespodzianką — akcentem nadającym osobliwą wymowę — było kazanie ks. Zieji wygłoszone podczas uroczystości kościelnych nad trumną Marii Dąbrowskiej w katedrze św. Jana. Pamiętam i nie zapomnę słów padających z ambony i parokrotnie powtarzającego się refrenu — „Pani Mario módl się za nami".

Jeżeli chodzi o komisję nad spuścizną literacką Marii Dąbrowskiej, wiele przemawia za tym, że właśnie to grono ludzi najbardziej odpowiadało celowi.

Prof. Wyka przewodniczył w obchodzie jubileuszowym Marii Dąbrowskiej zorganizowanym przez sfery uniwersyteckie. Widziałem profesora i wysłuchałem jego przemówienia w ostatnim dniu tej uroczystości. Poznałem wtedy także Ewę Korzeniewską — *spiritus movens* tego historycznego wydarzenia. Zdałem sobie sprawę, jak wielki jest wkład tych osób w utrwalenie dzieła Marii Dąbrowskiej w świecie polskim i poza Polską, zwłaszcza Ewy Korzeniewskiej, o której niejednokrotnie od Maryjki słyszałem.

Byli ludzie, którzy mieli wyjątkowe dane, by spuścizną literacką Maryjki się zająć. Świadczy o tym chociażby wydawnictwo jubileuszowe i praca dokonana przez Ewę Korzeniewską. Wiekopomną jej zasługą jest opracowanie i wydanie Pism Rozproszonych.

W skład komisji wchodził także Terlecki. Państwo Terleccy mieszkali w Komorowie. Byli sąsiadami. Widywałem ich nie raz w domu Maryjki. Maryjka bywała u nich. Z czasem stali się ludźmi bliskimi. Terlecki wprowadzał Maryjkę w świat młodej literatury. Maryjka bardzo to sobie ceniła. Nieraz była o tym mowa. Padały nazwiska — Odojewski, Grochowiak i inni. Potrzeba zbliżenia się do świata młodej literatury była potrzebą twórczości literackiej Marii Dąbrowskiej.

Po paru miesiącach pracy w komisji prof. Wyka wystąpił na kolejnym przewodzie sądowym dotyczącym testamentu Maryjki z wnioskiem o przekazanie opieki nad spuścizną literacką Marii Dąbrowskiej powołanej ku temu instytucji państwowej. Profesorowi chodziło także o określenie prawnych kompetencji komisji.

Wystąpienie prof. Wyki było nieoczekiwane. Rodzina nie została uprzedzona. Po dyskusji na sali sądowej uchwalono rzecz całą przekazać posiedzeniu sądowemu, które zostanie wyznaczone w swoim czasie.

Wystąpienie profesora zdziwiło mnie i oburzyło. Chodziło o losy Dziennika Marii Dąbrowskiej, liczącego kilkanaście tysięcy stron — pozycji w Jej spuściźnie literackiej wielkiej wagi, niepozbawionej akcentów politycznych niepożądanych dla władz dzisiejszych. Odniosłem wrażenie, że wystąpienie prof. Wyki było władzom tym na rękę.

Anna Kowalska... Od pierwszych chwil po śmierci Maryjki p. Anna znalazła się na scenie wydarzeń. Odwiedzałem ją jako osobę wyjątkowo bliską Zmarłej. W mojej z Maryjką korespondencji znajdowałem nie raz bardzo wymowne tego potwierdzenie. Przytaczam ustęp listu pisanego do mnie w dniu 9.VI.1957 roku: „Co do Anny, to jest wprost 'niedocenialna' — nie umiem Ci powiedzieć do jakiego stopnia jest mi oddana".

Tak się jednak stało, że to, co uważałem za najbardziej realne i prawdziwe, zaczęło w oczach moich tracić swe zarysy.

Po śmierci Maryjki w moich z Anną rozmowach nie usłyszałem z jej strony akcentów bliskości i przywiązania do Zmarłej, wspominania drogiej osoby, która odeszła. Słyszałem krytyczne uwagi o zachowaniu się Zmarłej i pomniejszanie Jej autorytetu. W pewnej mierze mogło się to dziać pod wpływem krzywdzącego Annę testamentu. Wyłaniał się cień obcości, nieprzyjazne do Zmarłej ustosunkowywanie się. Moja muzykalność uczuciowa tak zaczęła to przeżywać. Poza tym mieszkanie Maryjki w Alei Niepodległości... mieszkanie tak mi znane. Spędziłem w nim niejedną chwilę, godzinę, dzień. Znałem wszystkie kąty. Znałem „mowę" mieszkania. Wszystko mówiło o Maryjce. W czasie, o którym piszę, mieszkanie „zamilkło", stało się obce. Nie natrafiłem na ślad Maryjki. Sprzęty unikały mego wzroku. Milczały zaklęte. Odebrano im mowę. Panowała Anna. Nie dawała dojść do głosu temu, co nią nie było.

W pierwszych chwilach nie mogłem się w tym połapać. Z czasem zaczęło to występować coraz wyraźniej. Doszło do tego, że nie chciałem z p. Anną o Maryjce rozmawiać. Przestałem odwiedzać Aleję Niepodległości. Zrozumiałem, że wszystko uległo zmianie. Miałem do czynienia z czymś innym. To, co ukazywało się obecnie, było mi obce, nie mogłem się z tym pogodzić. Zjawił się przede mną znak zapytania. W miarę czasu stawał się coraz bardziej niepokojący.

Pamiętam, jak parę dni po pogrzebie zaproponowałem p. Annie złożenie przez nas wizyty księdzu Zieji i podziękowanie za kazanie w katedrze. Pani Anna wyraziła zgodę. Byliśmy u

księdza. Bezpośrednio po tym udałem się do p. Gabrieli. Gdy wszedłem do pokoju, o którym była już mowa w związku z odczytaniem testamentu Maryjki, zastałem poza p. Gabrielą parę bliskich Maryjce osób.

To, z czym się spotkałem, nie miało nic wspólnego z wzniosłymi chwilami u księdza Zieji. Było to uderzenie obuchem po głowie. Towarzystwo prowadziło burzliwą rozmowę o p. Annie, z którą przed chwilą się rozstałem. Mówiono o niezwykle intensywnym ataku p. Anny, usiłującej za wszelką cenę dostać się do komisji opieki nad spuścizną literacką Marii Dąbrowskiej. Drugi temat był bardziej oszałamiający. Na stole leżało pokwitowanie P.K.O. na imię Maryjki na sumę 300.000 zł. Suma ta została wydana za okres pobytu Maryjki w szpitalu, tzn. w ciągu dziesięciu miesięcy. Podjęła ją p. Anna za zgodą Maryjki. Pani Gabriela podała mi kwity i miałem je w ręku. Kwity te nie wskazywały na jakieś ekstra wydatki. Szły na życie... W szpitalu poza drobnymi wydatkami Maryjka nie płaciła nic. Wydawanie 30.000 miesięcznie musiało zastanowić... Jak się to działo, nikt nie wiedział. Wiedziała o tym p. Anna, ale stosunki panujące wówczas pomiędzy nią a p. Gabrielą były takie, że nie mogło być mowy o prowadzeniu na ten temat rozmów. Ze swej strony zwróciłem uwagę na konieczność unikania za wszelką cenę skandalu i nie przyczyniania się do powstawania plotek wokół imienia Marii Dąbrowskiej.

Znowu na drodze spraw pośmiertnych Maryjki pojawił się znak zapytania bardzo niepokojący.

Co do sprawy pierwszej, pomimo że komisja się poddała i wprowadziła p. Annę w skład komisji drogą kooptacji, udało się rzecz całą anulować na mocy orzeczenia prawnego, sporządzonego przez adwokata spadkobierców powołującego się na treść testamentu zalegalizowanego przez sąd.

Przestałem się z p. Anną widywać. Nie byłem nawet na zebraniu rodzinnym, na które p. Anna zaprosiła mnie listownie. Poza paroma bliskimi mi ludźmi nie widywałem się z tymi, którzy mogliby mnie informować o biegu spraw. Od czasu do czasu odwiedzałem p. Gabrielę. Przez nią nadchodziły wiadomości. Nie miałem jednak wyczerpującego obrazu tego, co się działo. Unikałem kontaktów z ludźmi. Miałem ku temu swoje powody.

Nie brałem udziału we wszystkich uroczystościach poświęconych pamięci Marii Dąbrowskiej. Byłem tylko w Pałacu Prymasowskim, w Katedrze i na Powązkach, byłem także w kościele w Komorowie na nabożeństwie żałobnym. Nie chciałem, aby moje nazwisko łączono z Marią Dąbrowską. Nie chciałem Maryjce szkodzić, kompromitować Jej swoją obecnością — obecnością człowieka tak bardzo zaangażowanego politycznie i

skompromitowanego w oczach dzisiejszych władz. Za życia Maryjki miałem z nią niejedną na ten temat rozmowę, czasem bardzo ożywioną. Maryjka nie zgadzała się ze mną, ale ja byłem nieustępliwy. Tłumaczy to, dlaczego miałem mało wiadomości o biegu rzeczy i zająłem pozycję z dala przypatrującego się obserwatora. Obraz pozostawał zamglony, niedomówiony. Nadchodziły coraz to nowe znaki zapytania.

Po paru miesiącach pewnej niedzieli w południe zjawili się u mnie pp. Lipkowie. Była to wizyta zapowiedziana, ale to, z czym przyszli, zapowiedziane nie było. Dowiedziałem się, że w przeddzień w sobotę zatelefonowała do nich p. Anna i tą drogą zawiadomiła o odnalezieniu nowego testamentu. Pani Anna prosiła pp. Lipków o przybycie do niej w niedzielę o szóstej wieczorem na Aleję Niepodległości. Tam testament zostanie odczytany. Umówiłem się z p. Gabrielą, że przyjadę do nich wieczorem po ich wizycie u p. Anny. Przyszedłem i wysłuchałem sprawozdania z wizyty.

Dowiedziałem się, że drugi testament jest krótszy od pierwszego. Na ogół treść jest podobna. Są jednak zmiany. Taką zmianą jest pominięcie jako spadkobiercy siostry Maryjki, Heleny, zamieszkałej w Kaliszu. Wiedzieliśmy o tym, że Maryjka przez szereg lat stale pomagała siostrze i pominięcie jej w spadku wydało nam się rzeczą niemożliwą.

Ale najbardziej nieoczekiwane było wyznaczenie p. Anny Kowalskiej i p. Hernasa opiekunami spuścizny literackiej Marii Dąbrowskiej. W nawiasie zaznaczono — Dziennik. A więc p. Anna i tylko ona staje się instancją miarodajną i stanowi o wszystkim. Taka jest wola Nieboszczki. Hernas się nie liczy. Niewiele będzie miał do powiedzenia. Poznałem go u p. Anny w mieszkaniu na Alei Niepodległości w parę dni po śmierci Maryjki. Młody ten człowiek zrobił na mnie przyjemne wrażenie, jednak w tym układzie personalnym rola jego staje się dla mnie jasna.

Osoby wyznaczone przez Marię Dąbrowską mające czuwać nad Jej spuścizną, wymienione w testamencie wręczonym przez Maryjkę p. Gabrieli, zniknęły ze sceny.

Na porządku dziennym stanęła sprawa dwóch testamentów Marii Dąbrowskiej i przysłoniła sobą wszystko. Wymaga to jak najbardziej gruntownego i wyczerpującego omówienia. Będę do niej powracał w dalszych rozważaniach, obecnie wspomnę o pewnych momentach pojawienia się tego tekstu.

Na widzeniu się p. Anny z pp. Lipkami i obecnym przy tym adwokatem spadkobierców, mecenasem Mieczychowskim, p. Anna, po odczytaniu przez nią tekstu i wręczeniu go obecnym,

oświadczyła, że testament znalazła w jednej z szuflad biurka Maryjki i wymieniła w której. Do szuflady tej, zgodnie z jej oświadczeniem, p. Anna zajrzała w związku z wizytą Brzostkowej, niegdyś gospodyni Maryjki w Komorowie. Chodziło o jakieś kwity ZUS-u potrzebne Brzostkowej do załatwienia jakichś formalności. W czasie szukania kwitów w ręce p. Anny wpadła koperta z testamentem. Komunikując oświadczenie p. Anny, p. Gabriela dodała od siebie, że nie może zrozumieć, jak się to stało, ponieważ sama parokrotnie przeglądała zawartość wskazanej przez p. Annę szuflady i koperty z testamentem nie znalazła. Do szuflady tej zaglądali także członkowie komisji i oni także testamentu nie znaleźli.

Chcę wspomnieć jeszcze o jednym. Bywając w Komorowie zaprzyjaźniłem się z Melą — gospodynią Maryjki. Była to postać dość cudaczna, w średnim wieku, z Wileńszczyzny. Odniosłem wrażenie, że przywiązała się do Maryjki, była jej serdeczną opiekunką. Po śmierci Maryjki Mela odwiedzała mnie parę razy. Wiedziała, że jestem Maryjki przyjacielem. Tak się stało, że podczas jednej z wizyt zjawiła się u mnie w parę dni po ukazaniu się drugiego testamentu. Pamiętam, siedzieliśmy przy stole i piliśmy herbatę. Mela mówiła. I ona także dowiedziała się o wersji mówiącej o wizycie Brzostkowej u p. Anny na Alei Niepodległości. Otóż Mela z właściwym sobie temperamentem oświadczyła, że wizyty takiej nie było. Z Brzostkową łączą ją bliskie stosunki towarzyskie i wszystko o niej wie. Poza tym z wrodzoną sobie porywczością stwierdzała, że sprawa kwitów, o których wspomina p. Anna, została załatwiona jeszcze za życia Maryjki. Nie pytałem Meli, skąd posiada informacje o wersji ustalonej przez p. Annę. W ogóle unikałem dopytywania się. Mela mówiła z własnej inicjatywy i natchnienia. Kończąc swój monolog, oświadczyła: „proszę państwa, to wszystko Kobra". Miała na myśli telewizję. Przy tej rozmowie była obecna moja siostra.

Mela miała swój pogląd na to, co się działo w Komorowie, swoje spostrzeżenia i oceny. Wychodząc kiedyś ode mnie, na samym już progu odwróciła się energicznie i powiedziała: „Pani Anna to wróg". Miała na myśli Maryjkę.

Po zaznajomieniu się z tekstem testamentu dostarczonego przez Annę Kowalską budził się sprzeciw, świadomość wyrządzonej Maryjce krzywdy. Ani ja, ani pp. Lipkowie nie mieli wątpliwości, że testament dostarczony przez Annę Kowalską musi budzić zastrzeżenia. Zaproponowałem p. Gabrieli porozumienie się w tej sprawie ze znanym w Warszawie adwokatem Władysławem Winawerem, moim przyjacielem, z którym współpracowałem za czasów okupacji. Winawer podjął się zająć sprawą.

Gotów był o Maryjkę walczyć bez względu na osobiste konsekwencje. Stanowisko Winawera w sprawie testamentu było także krytyczne. Porozumiałem się następnie z Mieczychowskim, adwokatem spadkobierców. Był on swego czasu adwokatem Maryjki w sprawach administracyjno-mieszkaniowych. Powiedziałem mu, że mamy zamiar zaangażować Winawera i poinformowałem go o naszym stanowisku w sprawie testamentu. Mieczychowski wyraził zdziwienie, że można mieć wątpliwości co do testamentu zgłoszonego przez Annę Kowalską. Poruszyłem sprawę ekspertyzy grafologicznej. Wskazał mi eksperta godnego zaufania. Niebawem dowiedziałem się, że był on człowiekiem zaufania władz i U.B. Mieczychowski był wyraźnie rozdrażniony i zdenerwowany. Następnie odbyła się konferencja u Winawera, na której obecna była p. Gabriela i ja. Rozmowa była wzruszająca i serdeczna. Łączyło nas uczucie do Maryjki. Winawer stawał do walki o Maryjkę, nie licząc się z tym, że mogłoby to osobiście mu szkodzić. Pani Gabriela przy pożegnaniu się ze mną dziękowała mi za udział Winawera i oświadczyła, że sprawa staje na właściwym torze.

W krótkim czasie Winawer zawiadomił mnie, że rodzeństwo Szumskich, tzn. p. Gabriela i brat jej, Jerzy, proszą nas o przybycie w wyznaczonym dniu i godzinie do kawiarni Hotelu Europejskiego dla omówienia sprawy Maryjki. Na konferencję poszedł Winawer, ja na niej nie byłem, miałem ku temu swoje powody. Okazało się, że rodzeństwo Szumskich, a w pierwszym rzędzie Jerzy, uważają, że należy zachowywać się spokojnie, nie rozpoczynać żadnej akcji, nie czynić kroków niezgodnych z biegiem rzeczy, jaki się sam przez się układa. A więc manewr z udziałem Winawera został przekreślony. Testament przedstawiony przez Annę Kowalską uprawomocnił się w trybie niezakłóconego niczym urzędowania. Sprawa została załatwiona. Spadkobiercy zachowali się tak, jak się zachowali.

Gdy mowa o drugim testamencie, nie można pominąć osoby Anny Kowalskiej nie tylko dlatego, że jej właśnie ręce wyniosły na światło dzienne ten dokument. Należy także brać pod uwagę zachowanie się p. Anny po śmierci Maryjki. Wspomniałem już o tym. Ograniczyłem się do znaków zapytania i napomknień o moich osobistych przeżyciach i spostrzeżeniach.

W miarę czasu i biegu spraw obraz zaczął się zarysowywać coraz wyraźniej. Pojawiły się pogłoski, że w ostatnich latach Dziennika są ustępy mówiące o krytycznym stosunku Maryjki do p. Anny, a jednocześnie dochodziły wiadomości o wypowiedziach p. Anny dotyczących Maryjki — brutalnych, pełnych lekceważenia, a nawet nienawiści. Pozycję specjalną stanowi Tula, córka p. Anny, obecnie studentka romanistyki na uniwersytecie

warszawskim, o której Maryjka pisze w swoim Dzienniku czasem bardzo niepochlebnie, i której stosunek do Maryjki był nieraz oburzający.

P. Anna nie mogła patrzeć dobrym okiem na to, co Dziennik zawiera i co dotyczy ubóstwianej przez nią Tuli.

Nie tylko p. Anna miała powody obawiać się Dziennika, podobny stan rzeczy dotyczy władz Polski Ludowej. Chodzi o momenty polityczne. Niechęć, a nawet obawa wobec treści, którą Dziennik zawierał, zbliżały siłą rzeczy te dwie niewspółmiernie różne pozycje. Charakteryzuje to we właściwy sobie sposób sytuację. W miarę czasu i wydarzeń, jakie się przesuwały przed moimi oczami, to, o czym wspominam, przybierało postać coraz bardziej realną. Będzie o tym jeszcze mowa, obecnie wspomnę, że na trzeci czy czwarty dzień po śmierci Maryjki, kiedy bawiłem u p. Anny, dowiedziałem się od niej, że w przeddzień był u niej na kolacji Neumark, szef gabinetu ministra Kultury i Sztuki. Z jej właśnie ust nazwisko to usłyszałem po raz pierwszy.

Wobec władz w sprawach dotyczących Marii Dąbrowskiej p. Anna bez sprzeciwu podporządkowywała się biegowi rzeczy. Cechowało to również postawę głównych spadkobierców — Gabrieli i Jerzego Szumskich. Stosunek do nich Maryjki był serdeczny, bliski, rodzinny. Dowodem tego jest wręczenie testamentu p. Gabrieli — właśnie jej. W niejednej ze mną rozmowie mówiła o Jurku, jego zdolnościach, prawości i charakterze.

W pierwszych dniach po śmierci Maryjki Szumscy zachowywali się tak, jak o tym wspomniałem. To samo charakteryzuje dalszy bieg wydarzeń. Przykładem tego było ustosunkowanie się ich do testamentu Maryjki złożonego przez p. Annę. Była chwila, że p. Gabriela zmieniła swe postępowanie. Mam na myśli układ zawarty z mecenasem Winawerem. Widzimy jednak, że p. Gabriela pod wpływem Jerzego Szumskiego prędko się wycofała.

Z p. Gabrielą widuję się co pewien czas. Pan Jerzy znikł z mego pola widzenia. Zawsze spotykałem się z nim przypadkowo. Ze źródeł miarodajnych dowiedziałem się ostatnio, że Jerzy Szumski wstąpił do partii.

Drugi testament musiał wywołać reakcję, sensację, spowodować poryw protestu. Piętrzyły się niepokojące znaki zapytania. Otoczenie najbliższe, jak widzimy, nie reagowało. To samo należy powiedzieć o świecie literackim. Maryjka, jak wiemy, miała tam wielu przyjaciół. Jest rzeczą charakterystyczną, że sprawę tę pokryło milczenie, przeszła bez echa. Nikt się nią nie zainteresował, nawet plotkom odjęto mowę.

Tak dawał o sobie znać instynkt samozachowawczy obywateli Polski Ludowej. Jest to niezwykle wymowne, świadczy, że poza tym dokumentem coś się kryje, nie można się tego dotykać. Jest to sprawa niebezpieczna politycznie, panuje tu cień U.B. Wobec niego wszyscy milkną, ludzie udają, że nic nie widzą i o niczym nie wiedzą.

Układ rzeczy pomiędzy Marią Dąbrowską a miarodajnymi czynnikami Polski Ludowej przybierał w miarę czasu oblicze coraz bardziej wyraźne. Stosunki pomiędzy tymi sferami a Marią Dąbrowską układały się różnie i różne są fakty posiadające swą taką lub inną wymowę.

Pamiętam, jak w pierwszym jeszcze okresie swego urzędowania sfery te nie szczędziły wysiłku, by Marię Dąbrowską wciągnąć do swego rydwanu. Przez dłuższy czas Borejsza był nieomal codziennym gościem w mieszkaniu na Polnej. Chodziło o współpracę Marii Dąbrowskiej z czynnikami panującymi i Jej udział w tym, co propaguje Polska Ludowa. Nie doprowadziło to do pożądanego rezultatu. Zwrócono się do Nałkowskiej. O ile wiem, porozumienie doszło do skutku.

Musi to być brane pod uwagę, gdy mowa o dalszym biegu wydarzeń. Nie zmieniają tego stanu rzeczy fakty, które w swoim czasie miały miejsce i wywoływały w kołach społeczeństwa różne oceny. Dość wspomnieć o epitafium Marii Dąbrowskiej na śmierć Stalina.

Pomimo wszystko Maria Dąbrowska zachowała swą postawę niezależną. Czynione przez Nią pomyłki, niezręczności, nieporozumienia, uleganie wpływom różnych osób nie wpłynęły w istocie rzeczy na zmianę Jej zasadniczej postawy.

Właśnie w latach ostatnich nabrało to swego wyrazu. Pomyłki i niezręczności ustały. Jakże wymowny jest udział Marii Dąbrowskiej w sprawie 34. Jej wpływ na bieg tej sprawy. Może najbardziej wymowne jest niedojście do skutku wizyty u Marii Dąbrowskiej zapowiedzianej przez Gomułkę. Zadecydowała tu postawa Maryjki. Wydarzeniem wielkiej wagi jest przemówienie Marii Dąbrowskiej na zebraniu Warszawskiego Okręgu Związku Literatów Polskich dnia (.?.). Wreszcie Jej testament. Jest rzeczą wyraźną, że osoba papieża Jana XXIII odegrała w życiu Marii Dąbrowskiej wielką rolę. Słowa Jana XXIII trafiły w takt prężenia się Jej myśli ku prawdzie, jaką żyje człowiek. Prawda ta szukała swego wyrazu w twórczości literackiej Maryjki.

W znaczeniu ideowo-politycznym sfery rządowe przegrały. Maria Dąbrowska — pozycja niebylejaka — znalazła się poza zasięgiem oficjalnych czynników Polski urzędowej.

Pozycją wyjątkowej wagi jest Dziennik. Maria Dąbrowska pisała go przez całe życie. Jest to kilkanaście tysięcy stron maszynopisu. Swego czasu Maryjka dawała mi go do czytania.

Jest to kronika naszych dni pisana ręką Marii Dąbrowskiej, wypełniona Jej szczerozłotym słowem.

Wszystko to należy brać pod uwagę, gdy mowa o testamentach i opiece nad spuścizną literacką Marii Dąbrowskiej. Wcześniej czy później dojdzie to do wyczerpującego omówienia. Sprawa ta wkroczy w Polską rzeczywistość. Polskie Jestem wyda wyrok.

Na razie mamy wyrok władz Polski Ludowej. Generalne omówienie tego tematu nie da się pomyśleć w warunkach panujących dziś w kraju. Świat emigracji nie posiada wystarczających materiałów by sprawę tę podjąć i dać świadectwo prawdzie.

Jako jedna z osób bliskich Marii Dąbrowskiej poczuwam się do obowiązku utrwalenia tego, co przeżyłem, z czym się spotkałem, jakie były moje myśli i reakcje na to, co się działo i na co patrzyłem. Wspominam o znakach zapytania szukających odpowiedzi. Wskażę na parę pozycji w kłębowisku moich przeżyć.

Jest rzeczą niezrozumiałą i nie można się z tym pogodzić, że Maryjka, pisząc drugi testament w parę miesięcy po pierwszym, nie zawiadomiła o tym p. Gabrieli Szumskiej-Lipkowej, nie wycofała testamentu wręczonego p. Gabrieli w swoim czasie. Gdyby tak się stało, świadczyłoby to o zamroczeniu umysłu. Z Maryjką w tym czasie widywałem się nieustannie. Była taka jak zawsze. Nic nie wskazywało na wykolejenie Jej władz umysłowych. Testament drugi nie został wręczony przez Maryjkę Annie Kowalskiej osobiście. Jak twierdzi p. Anna, odnalazła go w szufladzie biurka Maryjki w parę miesięcy po śmierci.

Trudno jest zrozumieć i pogodzić się z tym, że Maryjka pozbawiła udziału w spadku swoją siostrę Helenę. Dopomagała jej przez całe życie.

Jak już wspomniałem, p. Anna usiłowała za wszelką cenę wejść w skład komisji opieki nad spuścizną literacką Marii Dąbrowskiej. Jak wiemy, została dokooptowana. Nie dało się jednak tego utrzymać ze względów prawnych. Pani Anna przegrała. I oto po paru miesiącach następuje coś, co daje p. Annie zdumiewającą satysfakcję. Komisja przestaje istnieć, a p. Anna w towarzystwie jej młodego wrocławskiego przyjaciela, Hernasa, obejmuje całkowitą i niczym nieograniczoną władzę nad spuścizną literacką Marii Dąbrowskiej, przy czym *expressis verbis* wymieniony jest Dziennik. Jakby jakaś różdżka czarodziejska zmieniła sytuację na korzyść p. Anny i nie tylko na jej korzyść.

Nie można wyzbyć się podejrzenia, że testament przedstawiony przez Annę Kowalską nie jest miarodajny. Jak się stało, że się pojawił? Jak odtworzyć bieg rzeczy? Wyobraźnia ludzka ma pole do popisu.

W ostatnich latach stosunki pomiędzy Maryjką a p. Anną uległy pogorszeniu. Zaczęły się pojawiać męczące i trudne do

zniesienia chwile. Testament wręczony przez Maryjkę p. Gabrieli w tym właśnie okresie mógł posiadać znaną nam treść. Testament dostarczony przez p. Annę z późniejszą datą okresu pogarszających się stosunków nie kojarzy się z tkaniną życia Maryjki w tym czasie. Po uprawomocnieniu się drugiego testamentu wszystko zostało załatwione. Instancją kierującą i decydującą o wszystkim stał się Neumark. On zwołuje konferencje z udziałem spadkobierców, tzn. Gabrieli Szumskiej-Lipkowej, Anny Kowalskiej, mecenasa Mieczychowskiego, obecni są urzędnicy i radcy prawni Ministerstwa. Tu zapadają decyzje. Na jednym z posiedzeń zapadła decyzja utworzenia w Muzeum Mickiewicza na Starym Mieście pokoju Marii Dąbrowskiej. Tam właśnie, jak głosi wersja oficjalna, znajduje się spuścizna literacka Marii Dąbrowskiej. Pewnego dnia Neumark wezwał p. Gabrielę i oświadczył, że z polecenia Ministerstwa znany rzeźbiarz Wnuk wykonuje nagrobek Marii Dąbrowskiej.

Nietrudno się domyśleć, że podobnie dzieje się z wydawnictwem dzieł Marii Dąbrowskiej i opieką nad Jej literacką spuścizną. Anna Kowalska weszła w skład czynników kierowniczych Czytelnika. Jest ona rzecznikiem spraw Maryjki a jednocześnie osobą zaufania godną. O ile wiem, powodzi się jej nieźle. Posiada emeryturę przysługującą literatom i zapewne niezgorsze uposażenie w Czytelniku. Dowiedziałem się, że uzyskała jednoroczne stypendium Ministerstwa Kultury w wysokości 3.000 zł. miesięcznie. Należy dodać, że uzyskała je w trybie wyjątkowym — z inicjatywy Ministerstwa a nie, jak zazwyczaj się dzieje, na wniosek Związku Literatów zatwierdzany przez Ministerstwo.

Sprawy związane z imieniem Marii Dąbrowskiej znalazły się w zasięgu urzędowania instytucji na imię Neumark. Można by zaryzykować twierdzenie, że niezależnie od takiego lub innego biegu wydarzeń musiało do tego dojść. Inaczej być nie mogło.

A teraz parę słów o instytucji Neumark. Zgodnie z powszechnie panującą opinią jest to osoba ciesząca się wyjątkowym zaufaniem władz rządowych i partyjnych. Gdy mowa o Neumarku, ma się na myśli U.B. Spotykam się z tym na każdym kroku. I jeszcze jedno... są ludzie w Warszawie, którzy oświadczają, że w czasie okupacji niemieckiej widywali Neumarka w mundurze S.S.

Z biegiem czasu wystąpienie prof. Wyki na przewodzie sądowym, o czym wspomniałem na początku, nabrało w moich oczach innej oceny. Prof. wystąpił z projektem przekazania opieki nad spuścizną literacką Marii Dąbrowskiej odpowiedniej i powołanej ku temu instytucji państwowej. Wystąpienie profesora zrobiło na mnie przykre wrażenie. Miałem mu za złe, że chce przekazać spuściznę literacką Maryjki czynnikom państwowym, a

nie wskazanym w testamencie osobom. Dzisiaj staje to w innym świetle. Odnoszę wrażenie, że profesor zdawał sobie już wtedy sprawę ku czemu idzie — przeczuwał instytucję typu Neumark. Była to ze strony profesora próba ominięcia niebezpieczeństwa. Profesor orientował się w sytuacji lepiej ode mnie. Mylił się jednak, że da się to ominąć.

Jak już wspomniałem, nie byłem na wszystkich uroczystościach poświęconych Maryjce. To, o czym słyszałem, nie było imponujące. Chcę napomknąć słów parę o uroczystości, na której byłem. Odbyła się ona w lokalu Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu. A więc patronował jej Związek Literatów. Różne odniosłem wrażenia. Sala była wypełniona. Reprezentacji Związku nie było. Fotele władz związkowych świeciły pustką. Na samym początku zjawiła się wśród publiczności jakaś pani i oświadczyła, że prezes Iwaszkiewicz przeprasza i nie będzie obecny, ponieważ wyjechał na Śląsk na tamtejszy zjazd literatów. Tak wyglądał pierwszy akt uroczystości. Następny wywołał przeżycia innego rodzaju. Mam na myśli przemówienia o Marii Dąbrowskiej wygłoszone przez czterech literatów młodszego pokolenia. Puste fotele i nieobecność władz związku nadawały temu osobliwy rezonans. Prelegenci występowali jakby z własnej inicjatywy, sami przez się. Przemówienia były na dobrym poziomie, chwilami wzruszały. Myślałem o Maryjce. Pamiętam, jak ceniła współpracę z młodszymi literatami. Młodzi nie zawiedli. Trzecia część uroczystości także była udana. Jacek Woszczerowicz odczytał rozdział niewydanej jeszcze powieści Maryjki i, jak należało się spodziewać, zrobił to dobrze, tak jak Woszczer potrafi.

Spuścizną literacką Marii Dąbrowskiej zaopiekowały się władze rządowe i partyjne. One decydują i ustalają ogólnie obowiązującą wersję. Jedynie w tych granicach może być mowa o Marii Dąbrowskiej i Jej dziele twórczym. Imię Marii Dąbrowskiej jest dziś, pomimo takich lub innych uroczystości na Jej cześć, planowo tłumione. Marię Dąbrowską skierowano na boczny tor. Znajdą się ludzie, którzy z tych lub z innych względów pójdą władzom na rękę. Jednak życie polskie nie sprzeniewierzy się Marii Dąbrowskiej, zachowa w sobie to, co wniosła w nie Jej Twórczość. Serca polskie biją dla Niej. Taki jest stan rzeczy i to charakteryzuje sytuację.

II. KOMPOZYCJA ISTNIENIA — CZŁOWIEK

Powieść o człowieku pisana przez śmierć jest dalszym ciągiem powieści pisanej przez życie. Powtarzają się te same akcenty

ludzkiego Jestem. Patrzymy w inscenizacji śmierci na to samo. Czasem jednak odnosimy wrażenie, że powieść pisana przez śmierć nie godzi się z powieścią pisaną przez życie.

Tak właśnie stało się z powieścią pośmiertną Marii Dąbrowskiej. Powieść ta nas oszołomiła. Pojawiły się nieznane nam dotąd desenie tkaniny istnienia i stawania się Maryjki. Dowiedzieliśmy się o czymś przez nas nieoczekiwanym, tragicznym i smutnym. Widać, że za życia Maryjki nie zwróciliśmy należytej uwagi na pewne akcenty Jej osobowości i warunki Jej życia. Dały one o sobie znać z niezwykłą ekspresją w czasach, jakie miały nadejść. Należy dodać, że Maryjka przeżycia swe skrzętnie ukrywała, nie zwierzała się nikomu, nawet najbliższym.

Już bieg wydarzeń po śmierci Maryjki budził niepokój. Po pewnym czasie nadeszła chwila, kiedy trzymałem w ręku Jej Dziennik, to znaczy część Dziennika obejmującą okres czasu od roku 1958 do ostatnich chwil Jej życia. Jest to tekst pisany ręcznie. Nie ma odbitek maszynowych. Zawiera około 2.000 stron.

Wcześniej czy później stanie się on tematem szczegółowych opracowań i dociekań. Obecnie nie ma ku temu warunków i nie wiem, czy byłoby to zgodne z intencją Zmarłej. O pewnych momentach, z którymi się spotkałem, nie można nie wspomnieć. Ograniczę się do paru z nich.

W pewnym miejscu Maryjka mówi o rodzinie jak o czymś, bez czego nie może się obejść, o czymś najbliższym, koniecznym i niezastąpionym. Mówi o rodzinie mając między innymi na myśli swoje małżeństwo z Marianem Dąbrowskim. Było to wspomniane przed chwilą „najbliższe". Potem „najbliższe" przybiera postać Stanisława Stempowskiego, wreszcie Anny Kowalskiej.

Rodzina w ogólnie przyjętym tego słowa znaczeniu nie obejmuje wszystkiego, co jest bliskością człowieka i ludzkim My zakwitającym miłością. Gdy mowa o bliskości człowieka do człowieka, rzecz cała sprowadza się do ludzkiego My, jego niekończących się przygód w naszym życiu.

Tak się dzieje, że po przyjściu na świat oczy noworodka spotykają się ze wzrokiem matki — wzrokiem ludzkiego My zakwitającego Miłością. Staje się to w rodzinie. Mówiąc o ludzkim My nie można nie wyczuwać obecności rodziny i nie można żyjąc życiem rodzinnym nie wyczuwać i nie przeżywać akcentu My. Akcent My tu właśnie przychodzi na świat i po raz pierwszy się pojawia. W świecie rodzinnym czuje się jak u siebie w domu.

Rodziną w szerszym znaczeniu może być koleżeństwo pracy i walki, środowisko społeczne, naród, ludzkość — może być poszczególny człowiek bliski jak brat albo ojciec. Są to nie-

kończące się przygody ludzkiego My. Temat ten rozsadza z góry narzucone ramy. Można czynić uwagi i spostrzeżenia bardziej lub mniej dorzeczne, możemy sobie na przykład wyobrazić miłość rodzinną obejmującą ścisłe grono i obojętność do wszystkiego co rodziną nie jest. Występuje różnie, w różnej postaci, skali i nasileniu. Przechodzimy nad tym zazwyczaj do porządku.

U Marii Dąbrowskiej stan rzeczy zarysowuje się niezwykle wyraźnie — bije w oczy Jej bliskość do człowieka. Ludzkie Jej My patrzy w oczy każdemu, a nie tylko rodzonemu bratu, siostrze, matce, ojcu.

Gdy mowa o Marii Dąbrowskiej, nie można o tym nie wspomnieć — nie wspomnieć o tym, co łączy Ją z ludzkim światem, o przygodzie Jej ludzkiego My zakwitającego Miłością.

Z Dziennika Marii Dąbrowskiej dowiadujemy się, że miłość do człowieka w ogóle nie usuwa z Jej pola widzenia miłości rodzinnej. Miłość ta była Jej potrzebą, była *conditio sine qua non* Jej życia. Maryjce chodziło o kogoś bliskiego — najbliższego na świecie. Nie była to miłość rodzinna w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Okresy swojego życia Maryjka łączy zawsze z kimś najbliższym w tym czasie. Nazywa to życiem rodzinnym. Mówi o okresach Mariana, Stanisława, Anny.

O ile relacje Maryjki z okresu Mariana przyjmuję do wiadomości i nie mam tu nic do powiedzenia — z p. Marianem widziałem się parę razy przygodnie — o p. Stanisławie nie mogę nie udzielić paru uwag. Był on moim wielkim i bliskim przyjacielem. Jego udział w przygodzie mojego życia był wyjątkowy i niezwykły. On właśnie odsłonił przede mną prawdę powstawania i tworzenia się rodziny z napotykanych w życiu ludzi.

Przyjechaliśmy z żoną do Warszawy w końcu stycznia 1920 roku. Jechaliśmy z Kijowa. Była to nasza podróż poślubna pełna przygód. Trwała sześć tygodni. I oto w niedługim czasie po przyjeździe poznałem p. Stanisława Stempowskiego. Spotkaliśmy się na ulicy Kredytowej. Szedł w towarzystwie majora Wiktora Czarnockiego, mego serdecznego kolegi i swego czasu szefa z K.N.III. P.O.W. Na mój widok Czarnocki padł mi w objęcia. Zamieniliśmy kilka słów, musiał się śpieszyć do Sztabu Generalnego. Czarnocki nie był sam. Szedł w towarzystwie starszego pana, z którym mnie zapoznał. Był to Stanisław Stempowski. Czarnocki odszedł. Zaczęliśmy z siwym panem rozmawiać. Krążyliśmy po Warszawie parę godzin. Od tego się zaczęło... Po paru miesiącach p. Stanisław zamieszkał razem z nami, to znaczy ze mną i z moją żoną. Było nam dobrze. Był to uśmiech losu. Nazywaliśmy go ojcem. Zresztą nie tylko my. Pan Stanisław wszedł w nasze życie jak promień o przedziwnym blasku. Stał się bliski naszym rodzinom. Tak trwało parę lat. Należy dodać, że w tym czasie miał własną rodzinę, żonę, synów, swoje

rodzinne mieszkanie, rodzinne uczucia, przyjaciół i bliskich. I my także weszliśmy w ten świat. Tak trwało przez cały czas. Pamiętam, jak w roku 1923, gdy odwiedzałem p. Stanisława w Ministerstwie Reform Rolnych, gdzie pracował, poznałem Marię Dąbrowską. Przedstawił mnie Jej p. Stanisław. Miałem przed sobą małą, skromną postać, blondynkę, w żałobie. Bieg wydarzeń sprawił, że nie mieszkaliśmy wtedy razem z p. Stanisławem. Byliśmy jednak razem jak zawsze i nic się nie zmieniło. W skład naszego świata rodzinnego weszła jeszcze jedna postać — Maria Dąbrowska. Ojciec Stempowski i Maria Dąbrowska zamieszkali na Polnej. I to także był nasz dom rodzinny. Pan Stanisław i Maryjka przyjeżdżali do nas na Wołyń, mieszkali u nas w Jaworzu na Śląsku, pamiętam jak z żoną i Maryjką pojechaliśmy na wakacje do Sorrento.

Z osobą p. Stanisława wiąże się jedyna w swoim rodzaju przygoda mojego życia promienna, urzekająca. Był to człowiek wyjątkowy, przedziwny. Pamiętnik Stanisława Stempowskiego i wstęp do niego pisany przez Marię Dąbrowską mówi wiele, ale nie wszystko... nie mówią o tym najbardziej nieuchwytnym, istotnym i czarodziejskim, co z Ojca Stempowskiego promieniowało.

Po śmierci p. Stanisława pozostaje na scenie Anna. Weszła ona swego czasu w skład rodziny, w której królował p. Stanisław. Wspomnę o okresach lwowskim i wrocławskim. Maryjka i p. Stanisław mieszkali u pp. Kowalskich.

W czasach tych prawie nie komunikowałem się z nikim bliskim. Byłem w podziemiu. Nie mogę nie wspomnieć, że Maryjka i p. Stanisław brali udział w wydawnictwie Polska Walczy. W początku roku 1952 trafiłem do więzienia. Przesiedziałem w nim około pięciu lat. W listopadzie 1956 roku wyszedłem. Pan Stanisław już nie żył. Zobaczyłem się z Maryjką. Zaczęło się nasze życie rodzinne. Maryjka mieszkała z Anną, to znaczy Anna ze swoją córką, Tulą, mieszkały u Maryjki. Najbliższą rodziną Maryjki stała się Anna. Tak trwało.

I oto po śmierci Maryjki kurtyna się odsłania... Bieg wydarzeń budził znaki zapytania coraz trudniejsze do zniesienia. Wreszcie dotknąłem Dziennika. Maryjka — była już o tym mowa — wspomina w pewnym miejscu o rodzinie, a raczej o Jej rodzinach w różnych okresach swego życia. Mówi o ostatnio utworzonej przez nią rodzinie i wymienia Annę. Potem dodaje, że rodzina ta się nie udała.

Jest to punkt wyjściowy dla zrozumienia tego, co działo się w ostatnich latach życia Maryjki i na co patrzyliśmy po Jej śmierci.

Każdy z nas usiłuje odtworzyć obraz tego, co było. Nie za-

braknie na ten temat wersji bardziej lub mniej wiarygodnych. Maria Dąbrowska jest postacią zbyt wielką w świecie polskiej rzeczywistości, by rozważania na Jej temat utraciły swą aktualność. I ja także chcę dodać parę swoich uwag, myśli i spostrzeżeń. Dałem już obraz tego, co wyjrzało po śmierci Marii Dąbrowskiej i jak to przeżywałem. Działo się to poza Nią. O tym, co działo się z Nią w ostatnich latach Jej życia, Maryjka milczała. Wiele rzeczy i spraw umknęło naszej uwadze. Obecnie chcę o tym słów parę powiedzieć.

Maryjka nie mogła żyć bez rodziny, bez kogoś najbliższego na świecie. Nie jest to moje domniemanie. Są to Jej słowa napotkane w Dzienniku. W kompozycji Jej osobowości był to akcent wyraźny i najbardziej obecny. Był jeszcze, jak na to wskazałem, akcent inny, nie mniej wyraźny i nie mniej obecny. Mam na myśli bliskość Maryjki do człowieka w ogóle, to, co Ją łączyło i zespalało z ludzkim światem, co było natchnieniem Jej twórczości.

Jaki był układ pomiędzy tymi dwoma akcentami, odpowiedzieć na to może tylko inwencja kompozycyjna Kompozycji Istnienia — Maria Dąbrowska, tylko ona. Rozmowa z inwencją tą nie jest łatwa, może nie jest możliwa. Nie chcę przedłużać tych rozważań. Zwracam tylko uwagę, że nie jest to pole do popisu dla kategorii Przyczyny — może być jedynie mowa o tym, co w swoim czasie nazwałem kategorią Kompozycji.

Dialog, o którym wspomniałem, odbywa się sam przez się. Z inwencją kompozycyjną naszego Jestem porozumiewamy się najbardziej bezpośrednio — bez słów.

Zwróciłem uwagę na te dwa akcenty osobowości Maryjki. Z kolei nadchodzi trzeci. Jest on obecny po swojemu, jak każdy zresztą z wymienionych poprzednio, ma w sobie coś z niespodzianki i nieporozumienia. Takie robi wrażenie przy pierwszym z nim spotkaniu. Mówiąc o nim, mam na myśli zachowanie się Maryjki, sposób Jej bycia. Jej walory towarzyskie.

Przed chwilą była mowa o bliskości Maryjki do ludzkiego świata. Zdawałoby się, że to właśnie i przede wszystkim to powinno nadawać charakter zachowywaniu się Maryjki przy spotkaniu z ludźmi. Jej walorom towarzyskim, wywoływać spontaniczność zbliżenia. Przychodzi na myśl padanie sobie w objęcia. Tymczasem spotykamy się z czymś innym — z czymś, co można by nazwać rezerwą, niepozbawionym uprzejmości chłodnym sposobem bycia. Nabiera to swoistej wymowy, gdy wiemy, że pod pokrywą tego czaił się płomień bliskości człowieka o wyjątkowej mocy i blasku.

Taka była Maryjka.

Dochodzą tu jeszcze inne jej właściwości. A więc skromność, zażenowanie, niezręczność postępowania. Patrząc na Maryjkę, nieraz przychodzi mi na myśl złapany ptak a raczej ptaszek o nastroszonych piórkach. Serce jego bije niepokojem, jest bezbronne.

I tutaj także zarysowuje się pełen wymowy kontrast. Ten sam „ptak" o nastroszonych piórkach — ta sama osoba na scenie nurtujących ludzi spraw i wydarzeń, odgrywała wybitną rolę wymagającą wielkiego charakteru, podejmowania decyzji nie cofającej się przed niczym.

Wspomnę z kolei o prawości Maryjki, braku zdolności plotkowania, intrygowania, działania zakulisowego. Właśnie ta prawość patrzyła z oczu Maryjki, mówiła Jej głosem. Był to autorytet moralny i autorytet prawdy Marii Dąbrowskiej, z którym szła przez życie, uznany przez świat polskiej rzeczywistości.

Nie znaczy, by Maryjka nie mogła się mylić i stać się wyrocznią w ocenie spraw i ludzi przesuwających się przed Jej oczami. Nie wpływało to jednak na pomniejszenie tego, z czym szła przez życie, w co wpatrzone były nasze oczy. Nie wpływało to na pomniejszanie mojej z Maryjką przyjaźni. Różnice zdań w ocenie poszczególnych sytuacji, różnice nieraz bardzo drastyczne nie rzucały na przyjaźń naszą cienia. Takie było promieniowanie Maryjki.

Gdy mowa o poszczególnych cechach Marii Dąbrowskiej, nie można nie wspomnieć o czymś bardzo istotnym i bardzo obecnym — o stanie pewnego podenerwowania, o Jej nerwowości. Czaiła się ona za zasłoną spokoju i opanowania cechujących Maryjkę, gotowa ukazać się w każdej chwili i dać o sobie znać. Spotykałem się z tym niejednokrotnie w przeróżnych sytuacjach dni codziennych Maryjki i wydarzeniach wielkiej wagi. Nie mówię już o wydarzeniach politycznych — mam na myśli Jej twórczość i mękę twórczości. Niepokój Maryjki sięgał wtedy szczytu. Nie podejmuję rozważań na ten temat. Jest to klasyczne zagadnienie aktu twórczego człowieka, tak jak twórczość się rodzi i jak się staje. Kiedyś zapytałem Maryjkę, ile opracowuje redakcji swoich utworów. Usłyszałem odpowiedź — „czasem sześć".

Nerwowości Maryjki, o której mowa, nie należy oceniać jako pewnej ułomności czy schorzenia ludzkiego organizmu. Gdyby jej nie było, nie byłoby dzieł Marii Dąbrowskiej i świata Jej twórczości. Zazwyczaj, gdy mowa o nerwowości Maryjki, ma się na myśli sprawy dni codziennych i krzątaninę codzienną człowieka. Wpływało to niewątpliwie na bytowanie Maryjki i bieg toczących się spraw dnia powszedniego.

Zwróciłem uwagę na parę pozycji stanowiących o osobowości Marii Dąbrowskiej. Pozycji takich jest niewątpliwie więcej. Nie podejmuję się nakreślenia pełnego obrazu. Ograniczam się do paru uwag.

Nie wspomniałem w toku moich rozważań o momencie najważniejszym i dominującym nad wszystkim, o tym, co nazywamy twórczością Marii Dąbrowskiej. Jest to niewątpliwie główny akcent w Jej istnieniu, przewodzi w Kompozycji Istnienia — Maria Dąbrowska jest słońcem w systemie planetarnym Jej Jestem.

Na temat twórczości Marii Dąbrowskiej nie zabieram głosu. Robią to inni. Niejedna praca i dzieło na ten temat jeszcze się ukaże. Do jednego muszę się przyznać — twórczość Marii Dąbrowskiej „zabrała we mnie głos".

Jest to jedna z przedziwnych i nieodgadnionych przygód mojego życia, nadała blask czarodziejstwa mojemu Istnieniu i stawaniu się człowieka w ogóle.

III. OSTATNIE LATA

Gdy mowa o Marii Dąbrowskiej, to, co przytaczam, winno być brane pod uwagę. Daje to możność zbliżenia się do obrazu odpowiadającego temu z czym mamy do czynienia i co usiłujemy zrozumieć.

Część pierwsza moich rozważań nosi tytuł „Śmierć Maryjki i to co wydarzyło się po Jej śmierci". Obecnie chcę mówić o tym, co wyjrzało w Maryjce samej w ostatnich latach Jej życia, jakie było jej życie.

Tu napotykamy na przeszkody, o których już wspomniałem. O pewnych sprawach życia osobistego Maryjka nic nie mówiła, milczała, a co ważniejsze, Jej zachowanie się wprowadzało w błąd.

W ostatnich latach odwiedzałem Maryjkę systematycznie. Działo się to jakby samo przez się, za aprobatą Maryjki i moją. Rozmawialiśmy o wszystkim, o sprawach i ludziach, o tym jak życie nasze się toczy, o tym co nas zajmowało, o naszych planach i nadziejach, o Jej pracy pisarskiej, o trudnościach realizacji planów i zamiarów. Zainteresowania Maryjki były bardzo wszechstronne. Było z Nią o czym mówić. Mówiliśmy także o Jej życiu prywatnym, osobistym, codziennym. Tu właśnie przychodziła do głosu wspomniana już nerwowość Maryjki przy wyliczaniu domowych kłopotów. Nerwowość ta jednak omijała p. Annę. Tu panowała nieprzenikniona zasłona milczenia. Słowa, które się pojawiały, nie sprawiały zamieszania, nie wychylały się poza normy powszechnie przeżywanych stosunków rodzinnych — w rodzinach, gdzie życie toczy się normalnie.

Odnosiłem wrażenie, że warunki bytowania Maryjki układają się wyjątkowo pomyślnie. Mam na myśli sprawy codzienne, materialne, mieszkaniowe. Maryjka miała swoje zasiedziałe przez

Nią mieszkanie na Alei Niepodległości, przez Nią urządzone, swoje meble i pamiątki. Poza tym miała Komorów, willę z ogrodem, którym zajmowała się namiętnie i po swojemu urządzała. Tu mogła pracować w ciszy i spokoju. W każdej chwili mogła pojechać do siebie, do Warszawy. Kilka razy w tygodniu przyjeżdżała do Komorowa p. Anna i córka jej, Tula. Obie one miały w Komorowie swoje pokoje. Tak toczyło się życie, dnie, miesiące, lata. Byt materialny Maryjki był zapewniony. Wydawnictwa jej dzieł w Kraju i w świecie wystarczały na utrzymanie tego skądinąd nieprzeciętnego stanu rzeczy. Wszystko przemiawiało za tym, że dla swej pracy twórczej miała jak najlepsze warunki. Dochodziły do tego wyjazdy za granicę, zazwyczaj w towarzystwie p. Anny i nawet Tuli.

Twórczość Maryjki zawojowała świat polski i cieszyła się powodzeniem poza Krajem. Świadczą o tym wydawnictwa dzieł Marii Dąbrowskiej w różnych językach. Pamiętam, jak trzymałem w ręku „Noce i Dnie" wydane w języku chińskim. Chińskie hieroglify zapełniające stronice mówiły o Bogumile i Barbarze, Rusowie, Kaliszu i życiu, jakie się tam toczyło. Byłem zdziwiony. Nie chciało mi się wierzyć, że jest to możliwe... A jednak była to prawda. Miałem wrażenie, że spotykam się z przedziwną magią obcowania człowieka z człowiekiem. Twórczość Maryjki wciągała Ją w wir komunikowania się z całym światem. Korespondencja Maryjki była olbrzymia. Poza tym Maryjka nie ustawała w swej twórczości. Brałem to wszystko pod uwagę i dochodziłem do wniosku, że sytuacja życiowa Maryjki jest dobra, nawet wyjątkowo pomyślna.

Rzecz jasna, że nie mogło być mowy o kontemplacji, spokoju i beztrosce. Świat twórczości, jedyny w moim przekonaniu akcent racji ludzkiego Istnienia i sensu stawania się człowiekiem, nie może obejść się bez męki i wysiłku. I one także decydują o pełni ludzkiego życia. Do tego dochodzi jeszcze udział Maryjki w tym, co się w Polsce działo. Dość wspomnieć o sprawie 34. Ale i to także stanowiło o pełni życia Maryjki, pomimo że towarzyszyły temu wysiłek i walka z różnymi niebylejakimi trudnościami.

Taki był zarys tego, co się z Maryjką działo i co się w Niej działo. Z biegiem czasu dawały o sobie znać pozycje obciążające ten rachunek. Obserwowałem wzrost nerwowości Maryjki i pogarszanie się Jej zdrowia. W miarę czasu cień ten rozrastał się coraz bardziej, wkraczał w świat Jej twórczości. Ostatnim wysiłkiem twórczym Maryjki była powieść o Przygodzie Człowieka Myślącego. Pochłaniało Ją to bez reszty. Tym żyła i to wypełniało sobą Jej samopoczucie. Było to ostatnie wielkie wydarzenie twórcze w życiu Marii Dąbrowskiej zakrojone na szeroką skalę. Towarzyszył temu ogrom pracy. Kto dotknął się

do warsztatu twórczego Marii Dąbrowskiej ten wie, że są to nieustanne zmiany redakcji, nieustające pomysły kompozycyjne, gromadzenie materiału.

W miarę stałego pogarszania się zdrowia sytuacja nabierała akcentów tragicznych, trudnych do zniesienia, nużących. Z czasem w moich rozmowach z Maryjką temat Jej zdrowia nabierał coraz większej aktualności i wagi. Mówiło się o cierpieniach, doktorach, lekarstwach, lecznicy.

Nie można nie wspomnieć o tym, co działo się pomiędzy zbliżającą się do śmierci Maryjką a otaczającymi Ją ludźmi. W „Elementach" — rozważaniach moich metafizycznych — wspomniałem o „doświadczeniu śmierci", o tym co dzieje się w takiej chwili. Ludzkie My nabiera wtedy osobliwego wyrazu i mówi o prawdzie naszego Istnienia mową nie napotykaną w innych znanych nam i przeżywanych przez nas okolicznościach. Graniczy to z objawieniem i ma w sobie coś z objawienia.

Zazwyczaj nie zdajemy sobie z tego sprawy. Mamy na myśli uczucia. Nie nazywamy rzeczy po imieniu. Nie mówimy o prawdzie Istnienia, która w nas się wtedy naradza. Nie zdajemy sobie sprawy z „doświadczenia śmierci" — perspektyw stawania się ludzkiego, jakie daje śmierć. Nieraz dane było to przeżywać. Gdy mowa o Maryjce i Jej śmierci, nie sposób tematu tego ominąć.

W ciągu ostatnich paru lat i w ostatnim roku Jej życia mieliśmy sobie z Maryjką niejedno do powiedzenia. W miarę czasu, w miarę postępu choroby mówiliśmy coraz więcej o zdrowiu Maryjki. Nie znaczy to, by Maryjka nie przestawała być i nie żyła tak, jak żyła w miarę swoich sił i możliwości. Niemało miejsca zajmowało omawianie spraw codziennych i domowych kłopotów. Sprawy rodzinne kojarzyły się z osobą p. Anny. Ona była rodziną najbliższą i brała udział w tym, co z Maryjką się działo, w biegu Jej dni. W tym miejscu muszę zaznaczyć, że poza nielicznymi wyjątkami byliśmy z Maryjką sami, rozmawialiśmy ze sobą sami. Ułożyło się to samo przez się. Obecność p. Anny nie była potrzebna, była nawet niepożądana. Pamiętam, jak kiedyś nie przyjechałem do Komorowa w wyznaczonym dniu. Napisałem list z przeprosinami. Ustaliliśmy nowy termin. Gdy w dniu tym się zjawiłem, usłyszałem od Maryjki — „nic się nie martw, że nie przyjechałeś w środę, bo była Anna". Słowa te zaskoczyły mnie nieco...

Po zainstalowaniu się Maryjki na stałe w lecznicy, w czasie moich odwiedzin była z małymi wyjątkami zawsze przy łóżku Maryjki p. Anna. Moje rozmowy z Maryjką odbywały się w większym gronie. Przyjaciele i znajomi odwiedzali Maryjkę systematycznie. W pokoju chorej były zawsze kwiaty. Od czasu

do czasu udawało się przebywać z Maryjką sam na sam. Prowadziliśmy wtedy tradycyjny dialog.

Nawet w ostatnim okresie przebywania w lecznicy Maryjka zachowywała swój znany wszystkim sposób bycia. Była opanowana i pomimo cierpień i powiększającego się zdenerwowania spokojna. Jej twarz zwracała się do odwiedzających ją osób tak jak zawsze. Widzę jeszcze Maryjkę — leżącą małą postać przykrytą szpitalną kołdrą, spokojną, czasem ożywioną w rozmowie. Łączność z domem na Alei Niepodległości sprawowała Anna, informowała o biegu rzeczy, sytuacjach i potrzebach. Z Komorowa przyjeżdżała Mela. W pokoju chorej pojawiały się wiadomości ze świata. Przynosili je odwiedzający. Poza tym Maryjka czytała prasę krajową i zagraniczną, książki i wypowiedzi różnych osób.

Nikt nie wiedział, że Maryjka w dalszym ciągu pisała swój Dziennik zmęczoną i martwiejącą ręką. Tu właśnie, jak się potem okazało, pisała o sobie i swoim życiu, o nurtujących Ją myślach i uczuciach. Nie mówiła o tym z nikim. Temat ten Maryjka przeżywała w sobie i miała go tylko dla siebie. Zbliżało się „doświadczenie śmierci". Nie doszło jednak do ostatniej sceny, do przekazania najbliższym tajemnicy ludzkiego Istnienia poruszeniem martwiejących warg i ostatnim błyskiem w oku.

Doświadczenie śmierci, o którym wspominam, nie ogranicza się do ostatnich chwil umierającego — wychodzi z ukrycia na spotkanie zbliżającego się zgonu. Może to trwać dnie, miesiące, lata. Zjawiają się wtedy akcenty jedyne w swojej wymowie zwrócone do najbliższych. W pierwszym rzędzie odnosi się to do rodziny. Zazwyczaj ci najbliżsi są rodziną.

Warunki śmierci mogą być przeróżne. Może nastąpić śmierć raptowna i nieoczekiwana. Doświadczenie śmierci sprowadza się wtedy do wspomnień o zmarłym. Nabierają one przedziwnego i nieprzeżywanego dotąd wyrazu. W wypadku Maryjki śmierć nie była nagła i nieoczekiwana. I tu dochodzimy do ukazania się sytuacji, z której nie zdawano sobie sprawy.

Rodzina w powszechnym i tradycyjnym słowa tego znaczeniu nie istniała... Nie było kręgu rodzinnego najbliższych. Zgodnie ze słowami Maryjki, z jakimi spotkałem się w Dzienniku, mogła być jedynie mowa o r o d z i n i e n i e u d a n e j, a więc pozbawionej rodzinnej bliskości. To określa i charakteryzuje stan rzeczy. Doświadczenie śmierci, o jakim mowa, nie mogło mieć tu miejsca. Maryjka umierała samotnie.

Dla najbliższych pozostawały wspomnienia o Maryjce, wspomnienia drogie i wiecznie żywe. Nie mogę nie wspomnieć o tym, co wyjrzało na mnie na parę tygodni przed śmiercią Maryjki. Jednego dnia, kiedy odwiedzałem Ją w szpitalu i byliśmy sa-

mi, Maryjka wyciągnęła rękę i wyjęła z szuflady stojącego obok łóżka stolika parę kartek zeszytowego papieru zapisanych Jej pismem. Powiedziała, że wiedząc o mojej nieznajomości angielskiego, przetłumaczyła dla mnie z jakiegoś angielskiego wydawnictwa parę nowel Sołżenicyna. Wręczyła mi te kartki. Był to może jej ostatni wyczyn pisarski. Poza wartością literacką tych stronic zeszytowych zabłysnęło przede mną i we mnie coś bardzo drogiego, jakby objawienie udziału Maryjki w moim życiu, mojej z Maryjką bliskości.

Wspomniałem już, że byłem przy śmierci Maryjki. Ostatnie chwile zrobiły na mnie wstrząsające wrażenie. Maryjka umierała w nieprawdopodobnych mękach, nieprzytomna. Trwało to godzinami.

W pokoju chorej kłębiło się od doktorów i pielęgniarek. Siedziałem w sąsiadującej z pokojem poczekalni. Nikogo ze mną nie było. Od czasu do czasu zaglądałem do pokoju Maryjki. W pewnej chwili stanął przede mną doktor w białym fartuchu i powiedział, że stan chorej jest beznadziejny i zgon może nastąpić lada chwila. Zapytałem, z kim mówię. Odpowiedział, że jest dyrektorem lecznicy.

Wszedłem do pokoju Maryjki. Już nie jęczała, ale jak stwierdził obecny w pokoju lekarz, jeszcze żyła. Ukląkłem i pocałowałem zwisającą z łóżka rękę Maryjki. Ręka była zimna. Oczy zamknięte. Postać trwała bez ruchu. Takie było moje z Maryjką pożegnanie. Niebawem zjawiły się panie Anna i Gabriela. Wszedłem znowu do pokoju, kiedy panie skończyły ubierać Zmarłą. Twarz Maryjki zdeformował skurcz bólu. Głowa była nienormalnie przekrzywiona.

IV. POWIEŚĆ NIENAPISANA

Gdy myślę o Maryjce, staje przede mną obraz życia niezwykle udanego. Dysonansem są ostatnie lata Jej życia. Tu wyjrzał tragizm ludzkiego Istnienia w nieznanej jeszcze i nie przeżywanej dotąd przez Maryjkę postaci. Był to kielich goryczy. Maryjka piła go martwiejącymi ustami.

Sprawa nieudanych rodzin jest tematem powszechnie znanym, jest to zjawisko, do którego się przyzwyczajono, posiada nieskończenie różne objawy, było tematem niejednej wypowiedzi i niekończących się rozmyślań.

U Maryjki przybrało to wyraz osobliwy. Tragizm Maryjki polegał na tym, że właśnie Ona — Maryjka, w której jak w nikim innym palił się płomień bliskości człowieka do człowieka, musiała w końcu swego życia oddychać brakiem bliskości do Niej własnej, stworzonej przez Nią rodziny, przeżywać nędzę najprzeróżniejszych z nią konfliktów, przeciskających się niepowstrzymanie przez tkankę Jej życia.

Była to ostatnia przygoda życia Maryjki — bogatego, wspaniałego, szczęśliwego. Nie mówię tu o dziejowych kataklizmach, które Maryjka przeżywała z innymi. Nie pomniejszały one skali i treści Jej Jestem. Przygoda, o której mowa, była Jej przygodą osobistą. I z nią zapewne także Maryjka dała sobie radę. Pokryła to jednak milczeniem.

Gdyby Maryjka żyła w dalszym ciągu, dowiedzielibyśmy się o tej przygodzie w następnej Jej powieści... przygodzie człowieka mówiącej o profilu ludzkiego Istnienia i stawania się w innej scenerii niż Przygoda Człowieka Myślącego — ostatniego utworu Maryjki.

Widzę tę powieść, dostrzegam scenerię... radosny okres dzieciństwa i młodości... pełne szczęścia małżeństwo z Marianem... okres następny związany z imieniem Stanisław, pełen ekstazy Istnienia i szczytowych osiągnięć twórczych — okres ten trwał około czterdziestu lat... wreszcie na scenie widzimy Annę... Na początku wszystko układało się pomyślnie, potem na pogodnym niebie rodzinnym ukazują się chmury... niebawem zapada mgła... Maryjka się dusi... ugina się pod ciężarem utworzonej przez Nią nieudanej rodziny... z biegiem czasu wzmaga się upadek sił Maryjki i posuwa się krokiem niepowstrzymanym choroba.

Gdyby Maryjka żyła, dowiedzielibyśmy się od Niej o tej „przygodzie" i o tym, jak dała sobie z nią radę. Tak się jednak stało, że możemy się o tej przygodzie tylko domyślać. Nienapisanej powieści Maryjki czytać nie będziemy.

Warszawa, 13 listopada 1966 roku

Henryk JÓZEWSKI

Książki

Jeszcze o Singerze

Do artykułu M. Brońskiego *Isaak Bashevis Singer, 1904–1991* (*Kultura* nr 9, 1991) wkradły się nieścisłości. Autor wspomina książkę Singera „Dwór" (*The Manor*), ale zapomina dodać, że jest to tylko pierwsza część dwutomowego cyklu; część druga nosi tytuł „Posiadłość" (*The Estate*). Obydwie ukazały się w roku 1967. Nieścisłość druga: „Zosia" (*Shosha*, 1978) nie jest historią służącej, która ukrywała bohatera podczas wojny i z którą on się później ożenił i wyemigrował do Stanów. Akcja „Zosi" toczy się w latach 30-tych w Warszawie. Bohaterem książki jest Aaron Greidinger, który po latach spotyka miłość swojego dzieciństwa, Zosię (która jako młoda kobieta pozostaje małą, fizycznie niedorozwiniętą dziewczynką) i zostaje z nią w Polsce, odrzucając propozycję amerykańskiej aktorki, aby wyemigrował do Stanów. Książka, w której Singer opowiada historię służącej Jadwigi, która podczas wojny przechowuje na strychu Żyda, Hermana Bordera (i z którą Border żeni się i emigruje do Ameryki) nosi tytuł „Wrogowie, opowieść o miłości" (*Enemies, A Love Story*, 1972).

Broński nie omawia obfitej nowelistycznej twórczości Singera, tłumacząc się, iż w powieściach lepiej uwydatnia się problematyka jego prozy. Nie jest to zgodne z prawdą; nowele Singera obejmują znacznie więcej psychologicznych aspektów. Są także bardziej współczesne w problematyce — przynajmniej wiele z nich — niż jego, w większości historyczno-epickie, powieści. To tak jakby pisać o Nabokowie i zająć się tylko jego twórczością powieściową, a zapomnieć o wielu tomach niezrównanych w swojej jakości nowel.

Inna sprawa: Broński zdaje się dość powierzchownie traktować aspekty filozoficzne twórczości Singera, pomija całkowicie stronę formalną jego prozy (sposób opowiadania) i stawia pod znakiem zapytania jej uniwersalność. Pisze: „Na ile jego czytelnicy nie-Żydzi potrafią się z jego bohaterami zidentyfikować, jest rzeczą trudną do ustalenia..." Ale czy krytycy francuscy, angielscy lub amerykańscy zastanawiają się na ile czytelnik polski na przykład potrafi identyfikować się z bohaterami prozy ich narodowych pisarzy? Stawiając pytanie inaczej: dlaczego Kowalskiego mają obchodzić problemy rodziny Guermantów czy pani Bovary?

„Żydowskość" bohaterów Singera jest równie folklorystyczna (etniczna) co zakotwiczona we współczesnej, europejskiej i amerykańskiej, mentalności. W Polsce na przykład — żeby nie sięgać za daleko — Singer od lat jest pisarzem ogromnie popularnym. Do tego stopnia, że niedawno ukazały się pirackie tłumaczenia jego opowiadań, bo ktoś po prostu zwietrzył w tym dobry interes.

Nie tylko tematyka, lecz również forma prozy Singera gwarantuje mu czytelników na wielu poziomach; Singer pisze prosto, zajmująco i pozornie bardzo tradycyjnie. Piszę „pozornie", bo był to największy szmugler w literaturze 20-go stulecia; szmuglował nowoczesną problematykę w klasycznych, trącących myszką formach narracji. Singer był przeciwnikiem powieści politycznej, programowo zaangażowanej w problematykę społeczną. Powiedział w jednym z wywiadów, że wielu pisarzy usiłowało zrobić bohaterami swoich powieści bank lub fabrykę, ale nigdy nie wychodziła z tego dobra proza. Był także przeciwnikiem fenomenu, który potocznie określa się jako powieść analityczną i przeciwnikiem eksperymentów formalnych. Napisał kiedyś: „Wyobraźnia to jedna sprawa, zaś wykrzywianie tego co Spinoza nazwał 'porządkiem rzeczy' to sprawa zupełnie inna. Literatura może znakomicie opisywać absurd, ale sama nigdy nie powinna być absurdalna".

Na zakończenie sprawa, która, przyznam, bardzo mnie dotknęła. Broński powiada, że dla niektórych czytelników „żydocentryzm" prozy Singera „może stać się nawet elementem odstręczającym, gdyż — jak zauważył kiedyś Orwell, na pewno nie antysemita — antysemityzm jest neurozą, ale żeby zrozumieć jej źródła, wystarczy poczytać Stary Testament". Co to za czytelnicy i jak nazywają się ci mili ludzie? Osobiście świetnie rozumiem pokusę cytowania Orwella przy byle jakiej okazji, ale tutaj okazja wydaje mi się dość niefortunna. Singer był pisarzem żydowskim i pisał o Żydach, Maria Dąbrowska pisała o Polakach, James Joyce o Irlandczykach, a Proust i Flaubert o Francuzach. Polak Joseph Conrad pisał o Anglikach, ale to dlatego, że tak mu się życie ułożyło. Zaś Stary Testament jest jedyną świętą księgą, która nie upiększa ani Boga ani człowieka. I w końcu trudno wymagać od jego autorów, żeby zajmowali się Chińczykami.

Kopenhaga, 7.10.91

Janina KATZ HEWETSON

Nadesłane nowości wydawnicze

SOŁŻENICYN (Aleksander). *Jak odbudować Rosję?*. Str. 63 i 1 nlb. Przełożył Juliusz Zychowicz. (Wyd. Arka, Kraków 1991).

WIŚNIEWSKI (Maria), SIKORSKA (Małgorzata). *Szpitale powstańczej Warszawy*. Str. 302 i 34 str. fotografii. (Wyd. Oficyny RYTM i POLCZEK, Warszawa 1991).

NOWAK (Edmund). *Cień Łambinowic. Próba rekonstrukcji dziejów obozu pracy w Łambinowicach 1945–1946*. Str. 200 (Wyd. Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach–Opolu, 1991).

WERNIK (Romuald). *Piołuny losów*. Str. 242 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1991).

ŻUROWSKI (Antoni). *W walce z dwoma wrogami*. Str. 246 i 6 nlb. (Wyd. RYTM, Warszawa 1991).

PAWŁOWICZ (Bohdan). *Krew na oceanie*. Str. 136 i 12 nlb. (Wyd. RYTM, Warszawa 1991).

KOWALCZYK (Andrzej Stanisław). *Kryzys świadomości europejskiej w eseistyce polskiej lat 1945–1977 (Vincenz – Stempowski – Miłosz)*. Str. 208 (Wyd. nie podane, Warszawa 1991).

HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Inny świat*. Wybór. Opr. Anna Maciejewska. Str. 24. (Wyd. Akcydens, Poznań 1991).

HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dwa opowiadania. Wieża. Cud*. Str. 49 i 3 nlb. Ilustrował Jan Lebenstein. (Wyd. FIS, Lublin 1991).

Blok-notes Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza. Nr 10. Str. 464. (Wyd. Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, Warszawa 1991).

BEAUVOIS (Daniel). *Szkolnictwo polskie na ziemiach litewsko-ruskich 1803–1832*. Przełożył Ireneusz Kania. Str. 382 i 2 nlb. (Wyd. Fundacja Jana Pawła II, Rzym i KUL, Lublin; 1991).

WASIUTYŃSKI (Wojciech). *Patrząc z Ameryki... czyli faxem z Nowego Jorku*. Str. 135 i 5 nlb. (Wyd. Gdańskie i Societas Amicorum Catholicae Juventis Poloniae, Gdańsk 1991).

Literatura a wyobcowanie. Studia. Str. 297 i 3 nlb. (Wyd. Lubelskie Tow. Naukowe, Lublin 1991).

CZAPSKI, CZUCHNOWSKI, HERLING-GRUDZIŃSKI, NAGLEROWA, OBERTYŃSKA, WAŃKOWICZ, WAT. *Więźniowie nocy. Wypisy z polskiej literatury łagrowej*. Str. 105 i 3 nlb. (Wyd. Arka, Kraków 1991).

WĘGRZYNIAK (Rafał). *Wokół „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego*. Str. 201 i liczne fotografie. (Wyd. Ossolineum, Wrocław–Warszawa-Kraków 1991).

Bibliografia historii polskiej za rok 1987. Opr. W. Bukowski, St. Głuszek, Z. Solak. Str. 441 i 3 nlb. (Wyd. Ossolineum, Wrocław-Warszawa–Kraków 1991).

ZAHRADNIK (Stanisław). *Czasopiśmiennictwo w języku polskim na terenach Czechosłowacji w latach 1848–1938*. Str. 256. (Wyd. Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Powstańców Śląskich, Opole 1989).

WIEGANDT (Ewa). *Austria felix czyli o micie Galicji w polskiej prozie współczesnej*. Str. 169 i 1 nlb. (Wyd. UAM, Poznań 1988).

NOWAKOWSKI (Zygmunt). *Wieczory pod dębem. Gawędy historyczne*. Opr. Lidia Ciołkoszowa. Str. 539 i 1 nlb. (Wyd. Myśl, Warszawa 1991).

GŁOGOCZOWSKI (Marek). *Etos bezmyślności. Wybór esejów naukowych i satyrycznych z paryskiej „Kultury", „Aneksu", „Twórczości", „Polityki" oraz innych, szkodliwych dla „dobrze myślących" obywateli...* Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Autora przez wydawnictwo Lewiatan, bmw.).

STEMPOWSKI (Jerzy). *Listy do Jerzego Giedroycia*. Str. 210 i XIV. (Wyd. LNB, Warszawa 1991).

KOTT (Jan). *La vie en sursis. Esquisses pour une biographie*. Przeł. z polskiego Marie Bouvard. Str. 387 i 5 nlb. (Wyd. Editions Solin, Arles 1991).

GIRAUD (Robert). *Dictionnaire français-russe et russe-français de la langue des affaires*. Str. 400. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1991, cena F. 380 do 15 grudnia 1991, potem F. 475).

CONFINO (Michael). *Société et mentalités collectives en Russie sous l'Ancien Régime*. Str. 432 i 12 nlb. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1991).

PHILIPPOT (Robert). *Société civile et état bureaucratique dans la Russie tsariste. Les zemstvos*. Str. 200 i 4 nlb. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1991).

MERVAUD (Michel), ROBERTI (Jean-Claude). *Une infinie brutalité. L'image de la Russie dans la France des XVIe et XVIIIe siècles*. Str. 171. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1991).

Contre une vérité exclusive. Littérature polonaise de 1939 à 1989. W: *Revue des études slaves*, tom 63, zesz. 2. Str. 580 i 2 nlb. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1991).

BERBEROVA (Nina). *Les Francmaçons russes du XXe siècle*. Traduit par A. Pletnioff-Boutin. Str. 272. (Wyd. Les Editions Noir sur Blanc/Actes Sud, 1991).

SCHÖNBRUNN (Svetlana). *Rêves de décembre*. Traduit du russe par Michel Davidenkoff. Str. 211 i 5 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1991).

BOBKOWSKI (Andrzej). *En guerre et en paix. Journal 1940–1944*. Traduit du polonais par Laurence Dyèvre. Str. 613 i 3 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1991).

BLANC (Helene). *Les Auteurs du printemps russe. Okoudjava, Galitch, Vyssotski*. Str. 144 i LXXXII. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1991).

PARNICKI (Teodor). *Le Fin de "L'Entente des peuples"*. Traduit du polonais par Elisabeth Czachorowska. Str. 485 i 3 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1991).

ZUZOWSKI (Robert). *The Origins of Open Organized Dissent in Today's Poland: KOR and other Dissident Groups*, w: East European Quarterly, vol. XXV, nr 1, March 1991, str. 59-90.

HERLIHY (Patricia). *Odessa. A History 1794–1914*. Str. 411 i 3 nlb. (Wyd. Harvard Ukrainian Research Institute, Cambridge, MA, 1991).

The Tel Aviv Review, Winter 1991, vol. nr 3. Str. 469 i 19 nlb. (Wyd. Ah'shav Publisher i Duke University Press, Tel-Aviv 1991).

St. Petersburg-Leningrad Papers. How to Save the Soviet Economy? Papers of the First International Conference on Transformation in the Soviet Union, held in Leningrad by ICRET and CRCE in September 1990. Str. 72. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, 1991).

Solanus. International Journal for Russian and East European Bibliographic, Library and Publishing Studies. Vol 5, 1991, Str. 208 i 4 nlb. (Wyd. Standing Conference of National and University Libraries, Londyn, 1991).

NAISHUL (V.A.). *The Supreme and Last Stage of Socialism*. Str. 48. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, Londyn 1991).

Polemiki

Polska demokracja w pół drogi

Totalizmu nie zwalczy się metodami demokratycznymi, w dodatku pozostawionymi w rękach ludzi, którzy potrafili się w tym totalitaryzmie urządzić.

Stefan KISIELEWSKI

Do trzech monteskiuszowskich władz, współcześni politolodzy dodają czwartą: władzę mass mediów. Zważywszy na rolę opinii publicznej w nowoczesnych demokracjach, to uzupełnienie wydaje się uzasadnione. Posługując się tym schematem (który nie uwzględnia co prawda ani Kościoła ani związków zawodowych) obecny rozkład władzy w Polsce wygląda następująco: władza wykonawcza należy w zasadzie w 90% do obozu „Solidarności", władza ustawodawcza należy do niego mniej niż w połowie, władza sądownicza w ok. 25% (tu sytuacja jest najmniej wyraźna) i mass media — w 10%. Ogólne proporcje wynoszą zatem 2,25 : 1,75 dla komunistów.

Ocena ta może zaskakiwać. Przecież najpoczytniejsza gazeta należy do byłych solidarnościowców i z nich wywodzi się też prezes Radiokomitetu. Niestety — i temu głównie chcę poświęcić ten artykuł — w tym wyrażeniu należy podkreślić grubą kreską słowo „byłych".

Historycy ocenią, jakie czynniki wpłynęły na sukces sierpniowych strajków: ile było w tym zasługi tradycji Grudnia 70, jaką rolę odegrał pomysł Leszka Moczulskiego, aby założyć Wolne Związki Zawodowe, jak cenna była działalność KORu i kręgu *Robotnika*, a przede wszystkim jaki był wkład działalności Andrzeja Gwiazdy i pomagającego mu od pewnego czasu Lecha

Wałęsy. Sięgam do tej prehistorii, by przypomnieć, że w publicystyce korowskiej, a potem *Tygodnika Mazowsze*, z upodobaniem posługiwano się terminem „opozycja demokratyczna" — sugerując tym samym, że istnieje jeszcze jakaś inna opozycja, niedemokratyczna. Mniej czy bardziej dyskretnie wskazywano przy tym na Moczulskiego, który, jak to napisał Jan Walc, „pochodzi od małpy, i to w dodatku wyjątkowo złośliwej". (Walc nazwał potem ten artykuł paszkwilem, co jest — jak mniemam — formą samokrytyki i przeprosin).

Naturalnie teza, iż jedynym dobrym skutkiem okrągłego stołu było zamknięcie *Tygodnika Mazowsze* — którą, wyznaję ze skruchą, sam wymyśliłem i puściłem w obieg — jest żartem zbyt złośliwym i niesprawiedliwym wobec niewątpliwych zasług *Tygodnika*. Nie ma jednak powodu do żalów, jako że ekipa *Tygodnika* przeistoczyła się w królującą nam do dzisiaj właściwie niepodzielnie tzw. (znów złośliwie) *Gazetkę*.

To, co mogliśmy w niej przeczytać, będzie zapewne przedmiotem rozpraw wielu historyków i prasoznawców: mnie akurat najbardziej utkwił w pamięci początek korespondencji Anny Husarskiej z Oświęcimia po wizycie tam delegacji skrajnie ortodoksyjnej sekty z Nowego Jorku: „najbardziej haniebny czyn Polaków wobec Żydów w ciągu ostatniego półwiecza...". Pracowałem wtedy w *Gazecie* i zadałem sobie pytanie, co ja tam właściwie robię. Kiedy parę dni później zaproponowano mi etat, przemyślałem swoją sytuację i pożegnałem się z redakcją. W samą porę: na początku sierpnia Region Północno-Zachodni zagroził strajkiem w wypadku powołania rządu Kiszczaka, wymuszając w ten sposób dalsze zmiany. *Gazeta* skomentowała to z niesmakiem, pisząc o robotnikach jak o Pigmejach, którzy nic nie rozumieją ze światłej polityki kolonizatorów.

Moim zdaniem zresztą właśnie te dwa miesiące między 4 czerwca a początkiem akcji Kaczyńskich i Wałęsy ilustrują kaliber polityczny działaczy i bohaterów opozycji „demokratycznej". O tym, że Solidarność zgarnie wszystko, co może zgarnąć po prostu dlatego, że naród czekał na tę chwilę od 45 lat — wiedział każdy szatniarz, taksówkarz, kelner czy listonosz. Nie wiedziała o tym „elita" — i kiedy przepadła lista krajowa, osłupiały naród, zamiast tak długo oczekiwanej radości, przeczytał w *Gazecie*, że jest niedojrzały i znowu wszystko popsuł.

Byłoby jednak oczywiście zbyt proste, gdyby chodziło jedynie o głupotę. Psycholodzy wiedzą, że podłożem niemal wszystkich błędnych decyzji jest nasze *wishful thinking*, czyli pobożne życzenia. Otóż przytłaczająca większość ludzi, którzy, nie wiadomo dokładnie z czyjego nadania, reprezentowali społeczeństwo przy okrągłym stole — w rzeczywistości tego społeczeństwa się bała. Można krytykować wyniki tego gremium, ale niewątpliwie

stwarzały one szanse, żeby pójść do przodu. Pominę tu sprawę wyboru Jaruzelskiego na prezydenta — na szczęście generał okazał się politykiem biernym i szkód narobił stosunkowo niewiele. Prawdziwie zdumiewające jest natomiast następne posunięcie naszych reprezentantów: uchwalenie zmian w ordynacji wyborczej, które uniemożliwiły... odwołanie posłów. Oczywiście zablokowało to możliwość przeprowadzenia ogólnopolskiej akcji, która uwolniłaby Sejm od zakontraktowanej większości.

Skąd taka postawa?

Istnieje analogia w naszej historii do obecnej sytuacji. Jest ona brutalna, toteż bardzo zwlekałem zanim zdecydowałem się — pod naporem faktów — przedstawić ją publicznie. Taką analogiczną sytuacją było Powstanie Listopadowe. Wówczas to elita społeczna, której naród zawierzył swoje nadzieje — zawiodła je po prostu dlatego, że nie widziała w nich swojego interesu: nie zamierzała obalać systemu carskiego, w którym zdołała się urządzić.

Olbrzymia większość członków obecnej elity wdrapała się na najwyższe szczeble drabiny społecznej dzięki mniej czy dalej idącemu kompromisowi, jaki w swoim czasie zawarła z komunistami. Zgadzam się, że wielu z nich w późniejszych latach miało poważne kłopoty — ale mogli je przeżywać w obszernych mieszkaniach umiejscowionych w najlepszych dzielnicach, a dzięki nazwisku, które mogli sobie wcześniej wyrobić (wskutek tego czy innego trybutu, jaki zapłacili bolszewickiej władzy) pomagali im koledzy z Zachodu.

W latach 80-tych ta uprzywilejowana grupa przeskoczyła na drugą stronę barykady, stając się — byłoby głupotą temu zaprzeczać — cennym sprzymierzeńcem społeczeństwa. I oto nagle — nieraz ku swemu, jak sądzę, zakłopotaniu — obrośli gromadą akolitów, od których dowiedzieli się, że są... moralnymi autorytetami!

Moralnym autorytetem stał się reżyser każący chłopcu z AK umierać na śmietniku historii, a polskim ułanom rąbać szablami czołgi, (...) — moralnym autorytetem stał się pisarz, który dopiero w 68 roku zorientował się, że jest członkiem Czarnej Sotni (i który w swojej autobiografii przyznaje, że całe niemal dorosłe życie przeżył w izolacji politycznej od społeczeństwa) — moralnym autorytetem stał się aktor, który swym dźwięcznym głosem przekonywał widzów stalinowskich kronik filmowych, że istnieje raj na ziemi i jest to ZSSR pod wodzą Józefa Stalina.

Powyższe zdania nie mają szansy pojawić się kiedykolwiek na łamach *Gazety Wyborczej*. Wypowiedzenie ich w krakowskim, wrocławskim czy warszawskim salonie eliminuje z tego towarzystwa na zawsze. Kiedy paru ludzi powiedziało coś podobnego w czasie pamiętnego zebrania Komitetu Obywatelskiego w czerwcu

90 r., dowiedzieli się, że są „dzikim, groźnym tłumem" (Helena Łuczywo), „ludźmi drugiego gatunku" (Jacek Moskwa), „świniami" (Adam Michnik), „proletariatem towarzyskim" (Stefan Bratkowski), oraz „facetami spoconymi w pogoni za władzą" (Andrzej Celiński). Marcin Król proponował oddanie ich pod sąd — po czym w kierowanym przez siebie studium wyborczym Tadeusza Mazowieckiego przedstawił ich jako bandytów i złoczyńców, którzy siekierą rozwalają Polskę. (Dokonania tego studia pogrzebały wszelkie szanse jego kandydata).

Wyznam, że piszącego te słowa ten wybuch dzikiej, niemal irracjonalnej nienawiści oszołomił. Potem jednak uświadomiłem sobie, że żadnego irracjonalizmu tu nie ma. Ci ludzie walczą po prostu o wszystko. Jeśli przywołamy przeszłość bowiem — a demokracja na to pozwala, a w kampanii wyborczej nawet do tego zachęca — to cały ich zdobyty świeżo prestiż stopnieje do zera. Jeśli uruchomimy wolny rynek — to okaże się, że ich odbiorcy mogą się zmieścić w Spatifie i salce na ul. Foksal. W społeczeństwie zajmą co najwyżej miejsce szukających uznania artystów, którzy muszą czekać na nie nieraz przez całe życie. Stąd właśnie ten okrzyk jednej z członkiń owego światka „rządu dusz nie oddamy nigdy!".

Nie należy zapominać o tej ogromnej sile społecznej, jaką jest snobizm: dla olbrzymiej większości dziennikarzy rodem z PRL-owskiej prasy owa towarzyska *haute couture* ma tak nieodparty urok, że gotowi są dorabiać swoim idolom poprawione biografie. Zdarzają się przy tym zupełnie mrożkowskie sytuacje, kiedy np. ludzie, którzy przez długie lata z całym oddaniem usiłowali przeistoczyć Polskę w gubernię azjatyckiego supermocarstwa... teraz pouczają ten sam naród co jest, a co nie jest europejskością!

No dobrze, powie ktoś, ale co mnie to właściwie obchodzi?

Niestety, nie da się zignorować broni masowego rażenia, jaką jest telewizja, a także radio. Obie te instytucje są nadal niemal w całości opanowane przez dawnych pracowników propagandy, którzy nader często powtarzają te same łgarstwa, co wcześniej: tyle, że teraz mają obok siebie parę nowych twarzy; najlepszym przykładem jest cotygodniowa audycja p. Turskiego w telewizji, w której red. Mroziewicz z *Polityki* tłumaczy nam, jaką głupotą jest walczyć o wolność i wierzyć w godność ludzką oraz jak mądrze jest popierać każde posunięcie Sowietów. (Wypuszcza się też na teren polityki krajowej i oświadcza zupełnie spokojnie, że żadnego ludobójstwa w PRL nie było). Wszystko to w cynicznym sosie znanym nam z tekstów Passenta czy Szyndzielorza.

Ale ten stan rzeczy ma niestety swoje intelektualne zaplecze. Przerażające jest, ilu się ostatnio namnożyło kieszonkowych

Bismarcków czy Machiavellich po 100 zł za sztukę, którzy z głębokim przekonaniem dowodzą, że wystarczy zdradzić sąsiedni naród walczący o wolność czy pozwalać sowieckim generałom na najgorsze wyzwiska pod adresem Polski, by zasłużyć na miano Talleyranda czy Metternicha. Znam jednego z młodych polskich polityków — byłego działacza opozycji — który uznał się za super-przebiegłego tylko na podstawie faktu, że zrobił w konia najbliższego kolegę.

Dziennikarzy tych nie można podobno zwalniać, gdyż są to fachowcy i byłaby to tylko zemsta. Cała Polska mogła podziwiać ich fachowość, gdy nawiedzony mesjasz z Peru ze swobodą kontrował ich nieporadne pytania i nieudokumentowane zarzuty.

Dla niżej podpisanego wielkim szokiem emocjonalnym, z którym nie do końca jeszcze zdołałem się uporać, była konstatacja, że ludzie, z którymi siedziałem w Białołęce, znajdują więcej wspólnego z naszym dawnym klawiszem i jego zwierzchnikami — niż ze swoimi dawnymi towarzyszami walki. Wyznaję, że wciąż nie mogę pogodzić się z tezą, którą podsuwa mi logika: iż cała ta wojna trzydziestoletnia (1960-1990) była dla nich po prostu kłótnią w rodzinie. Kłótnią okropną, nieraz krwawą — ale taka to już „rewolucyjna" rodzina...

Fakty są jednak bezlitosne. Rzeczpospolita Polska ma doktrynę obronną z lutego 1990 roku, wedle której głównym wrogiem są USA, a głównym sojusznikiem ZSSR. Sowieccy politycy i generałowie zachowują się w Polsce, jakby była nadal Krajem Przywiślańskim. Historia dalsza i nowsza nadal jest fałszowana w mass mediach, albo po prostu przemilczana: nadal są tematy tabu. (W tej chwili myślę o tym, jak próbuje się wybielić socrealizm i „artystów", którzy się wtedy sprostytuowali).

Całkiem niedawno mogliśmy obejrzeć w telewizji film o roku 1989. Zaprezentowano tam m.in. migawkę z X-go, przełomowego plenum KC PZPR ze stycznia 1989, w której zobaczyliśmy jedną z działaczek mówiącą o tym, że w interesie partii leży popieranie Mazowieckiego i Geremka. Takie było źródło okrągłego stołu. Jego celem było możliwie bezproblemowe przekształcenie komunistycznych właścicieli Polski Ludowej w statecznych kapitalistycznych właścicieli Rzeczypospolitej Polskiej. Jak się wydaje, ten właśnie plan był realizowany za parawanem polityki gospodarczej panów Kuczyńskiego i Syryjczyka. Pod parasolem tej ekipy rozkwitają takie firmy jak np. Universal, która stała się prawdziwym gigantem na naszym rachitycznym rynku kapitałowym i która na pewno nie przypadkiem obsługuje jedną czwartą naszego eksportu do ZSSR: to znaczy najmniej opłacalnego przedsięwzięcia w historii światowej ekonomii.

O heroicznej walce Leszka Balcerowicza z inflacją przyszli studenci ekonomii będą zapewne czytać jak o walce św. Jerzego ze smokiem. Wydaje się jednak, że w ferworze tej walki sir Leszek i jego rycerze zapomnieli, co jest celem, a co jest środkiem. Zamorscy lekarze naszej gospodarki przysłali nam masę słusznych recept, ale zupełnie zagubili się w gąszczu odziedziczonych po komunizmie ustaw i rozporządzeń, których Polacy-supercwaniacy potrafili użyć, by obejść wszelkie inflacyjne zakazy. Proste założenie, że ci, co nie sprzedają, będą musieli się zmodernizować albo zbankrutować, okazało się niepraktyczne, gdyż transfuzje kredytowe odbywały się bez zakłóceń także w wypadku ewidentnych trupów: po prostu prawdziwymi pieniędzmi obracały nadal nieprawdziwe — bo państwowe — banki i przedsiębiorstwa. Bohaterem fachowców-dyrektorów, tak żarliwie bronionych przez Syryjczyka i *Gazetę Wyborczą*, stał się Ludwik XV i jego hasło „po nas choćby potop".

Praprzyczyną tego stanu rzeczy jest arbitralne i tchórzliwe oddzielenie kwestii prywatyzacji od reprywatyzacji. Ogłoszenie reprywatyzacji było kwestią trudną, ale możliwą w chwili apogeum zaufania do pierwszego niekomunistycznego rządu. Należało odnaleźć wszystkich żyjących właścicieli lub ich potomków, choćby mieszkali w Nowej Zelandii, i oddać im wszystko, do czego mieli choćby najsłabszy tytuł własności. Rezultatem byłaby możność natychmiastowego stworzenia giełdy, a więc kośćca kapitalizmu. Oczywiście początkowe perturbacje przyćmione zostałyby przez podwójną korzyść: stworzenie podstawy ekonomicznej dla zaistnienia klasy średniej, a po drugie — o czym się często zapomina — uruchomiłoby system powiązań, jakie wielu emigrantów polskich posiada: powiązań ze światowym kapitałem.

Panowie Kuczyński i Bugaj zaprzątnięci byli jednak problemem fantomu pod nazwą „sprawiedliwość społeczna". Moim zdaniem za użycie tego wyrażenia student ekonomii i innych nauk społecznych powinien zostać natychmiast relegowany ze studiów. Nie istniała, nie istnieje i istnieć nie może nic takiego, jak „sprawiedliwość społeczna"! Sprawiedliwość z jakimkolwiek przymiotnikiem jest po prostu zaprzeczeniem sprawiedliwości. Sprawiedliwość społeczną można wprowadzać tylko wtedy, jeśli uważa się siebie i swoich kumpli za mądrzejszych i moralniejszych od Pana Boga, to znaczy jeśli się samemu zacznie decydować, komu ile się należy od życia. Jedyną drogą do tego celu jest wymordowanie połowy ludności i zamiana drugiej połowy w niewolników — jak wykazali magister Uljanow i dr Pol Pot.

Trzecią korzyścią byłoby jeśli nie zablokowanie, to przynajmniej poważne utrudnienie procesu uwłaszczania się nomenklatury, poprzez którą — nie bądźmy naiwni — wsącza się w krwiobieg naszej gospodarki sowiecka mafia.

Podsumujmy nasze wywody. Uważam, że rację mają ci, co

protestują, kiedy się ich nazywa lewicą: obóz postkomunistyczny oraz ci, którzy na łamach prasy bronią jego interesów (nie tylko materialnych — Max Weber wyróżnił także kategorię interesów „idealnych", co odnosi się przede wszystkim do prestiżu) nie mają żadnej ideologii. Łączy ich jedynie interes wspólnej klasy, z której wywodzą się jeśli nie bezpośrednio, to za pośrednictwem rodziców czy innych najbliższych krewnych — parę lat temu socjolodzy zainteresowali się kwestią dziedziczenia zawodów w Polsce i okazało się, że proces kształcenia jest u nas w zasadzie reprodukcją prostą jednej warstwy społecznej, to znaczy ludzi, którzy za taką lub inną cenę moralnych kompromisów zdołali się jakoś w PRL urządzić. Hodowana przez komunistów jako ich zaplecze intelektualne, warstwa ta wyemancypowała się jednak i z pomocą rewolty robotniczej sama przejęła władzę. Jej apogeum przypada na rok 1990, kiedy to półprywatne rozmowy w salce na ulicy Foksal (moim zdaniem, nieznośnie pretensjonalne) transmitowane były na cały kraj niczym trzecia izba parlamentu. Czegoś takiego nie znała historia ludzkości. Na szczęście nie mogło to trwać długo i ów wyśniony przez intelektualistów (ale jak można nazywać intelektualistą kogoś, kto niegdyś uwierzył w majaczenia Marksa i fantazje Lenina?) model państwa, rządzonego przez platońskich mędrców, zaczyna się rozwiewać w powietrzu.

Co teraz? Cóż, szansa wielkiego narodowego przełomu została zaprzepaszczona — choć, jak usiłowałem wykazać, właściwie jej nie było. Zważywszy, że nomenklatura dziennikarska zdołała się już uwłaszczyć, drogą do przełamania monopolu środowisk postkomunistycznych w sferze środków masowego przekazu może być chyba tylko zakładanie prywatnych gazet i stacji telewizyjnych, a więc jest to perspektywa już z przyszłego tysiąclecia. Pewne nadzieje wiązać można natomiast z jesiennymi wyborami i instytucjami państwowymi, które wtedy przejdą w ręce demokratycznego rządu. (Już dziś słyszę ryk, jaki podniosą owieczki z Woronicza oraz ich pasterze z ul. Iwickiej). Być może da się wtedy uratować coś z pomysłów reprywatyzacyjnych. Żeby to jednak mogło się ziścić, środowiska liberalno-antykomunistyczne powinny się skupić wokół wspólnych wartości i nie składać broni w połowie drogi.

Piotr SKÓRZYŃSKI

Warszawa 13.09.91

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Marek Adamiec, autor tekstu „Literatura polska lat 80-tych", niewątpliwie zasłużył na gratulacje co najmniej z dwóch powodów. Jego szkic (*Kultura* nr 6/91) stara się bowiem przełamać liczne tabu narosłe zwłaszcza wokół niezależnej „drugoobiegowej" literatury. To pierwszy powód. Podziwiać także należy odwagę autora, który przyjął pełną odpowiedzialność (można rzec — prawie osobistą) za głoszone tezy, poprzez rezygnację z monotonii bezosobowego wykładu (za to jakże bezpiecznego!) na rzecz „pierwszoosobowej formy wypowiedzi" i publicznego głoszenia własnego zdania.

Wiadomo było, że — po początkowej euforii — przyjdzie czas na rzetelne, tzn. krytyczne podsumowanie dokonań „drugiego obiegu" i w ogóle literatury mieniącej się „niezależną" (jest, czy raczej był to skrót myślowy oznaczający niezależność od totalitarnej władzy i „jej" sztuki). Wszyscy jakby zdawali sobie z tego sprawę, tylko jakoś niewielu kwapiło się do podjęcia tej problematyki. Dalej — jeśli już pisano o owej literaturze bez należytej euforii — a nawet „krytykująco" — to starano się wywody te rozwodnić w nudnym — niby obiektywnym — stylu, pełnym autozastrzeżeń, delikatnych zasugerowań itd. Brakowało ostrości. Z czasopism krajowych chyba tylko *Odra* pozwalała sobie na krytykę tego, co „słuszne", ale nie zawsze „dobre". I dlatego znamiennym jest, że tekst pana Marka Adamca ukazał się właśnie w *Kulturze*, co dowodzi, że — tak jak to jest już chyba od czasów Wielkiej Emigracji — spojrzenie z oddali rzuca bardziej wyraziste światło na sprawy Kraju. Ze względu na rangę tego szkicu warto jest jednak dopisać do niego kilka uwag:

1. Polemizowałbym z twierdzeniem, iż „najpełniejszą, imponującą pod względem edytorskim bibliografią wydawnictw drugiego obiegu jest Józefy Kamińskiej „Bibliografia publikacji podziemnych w Polsce, 13.XII.1981 — VI. 1986". Otóż w roku 1989 ukazała się w kraju bibliografia wydawnictw niezależnych Józefa Gajewskiego (pseudonim) pod jakże skromnym tytułem: „Materiały do bibliografii druków zwartych wydanych poza zasięgiem cenzury 1982-86" (Oficyna Literacka, Kraków). Wydaje się, że jest to pozycja podająca o wiele więcej tytułów (także czasopism oraz wydawnictw regionalnych, niekoniecznie o literackiej proweniencji) niż książka Józefy Kamińskiej. Poza tym praca Kamińskiej skonstruowana jest podług anglosaskiego wzoru, obcego polskim przyzwyczajeniom, co czyni tę niewątpliwie wartościową pozycję trudną do odczytania. Dość powszechne są zresztą narzekania środowiska naukowego właśnie na strukturę tej bibliografii.

2. Do rozważań Adamca na temat bezkrytyczności w lekturze wydawnictw niezależnych warto może dodać opis zjawiska, zwanego „imperatywem polityczności" — to jest preferencji wydawców drugiego obiegu dla literatury wówczas niecenzuralnej politycznie — to jest po prostu antykomunistycznej. Powodowało to, iż autorzy czuli się jakby zobowiązani do uczynienia swego dzieła niecenzuralnym — co czyniło je często gorszym niż mogłoby być — po to, by „zasłużyło" na publikację w wydawnictwie niezależnym. W ten sposób pojawiły się w drugim obiegu pozycje niewątpliwie chybione artystycznie, np. „Małpeczka" Mariana Brandysa czy „Operacja Kartagina" Andrzeja Mandaliana. Tadeusz Konwicki, tak często cytowany przez Marka Adamca, wspomina także w swoich rozmowach ze Stanisławem Nowickim: „Słyszałem na przykład, że drukarze NOW-ej nie chcieli drukować 'Małej Apokalipsy', bo nie jest to utwór mobilizujący". Wreszcie należy powiedzieć, że bezkrytycyzm odbiorców i „imperatyw patriotyczny" pozwalały na dość masową produkcję zwyczajnej propagandy. Tu ciekawa rzecz: często takie propagandowe pozycje tworzone były bez premedytacji! Ich autorami byli ludzie głęboko przekonani o słuszności swej sprawy, zaangażowani w działalność niepodległościową. Ich grzechem — zwłaszcza w przypadku „opracowań historycznych" (np. znamienna praca Andrzeja Ostoja-Owsianego o Bitwie Warszawskiej 1920 roku) — była nadgorliwość każąca, jak niegdyś zacietrzewionym pozytywistom, popadać w tendencyjność. Poza tym twórcy niezależni pozbawieni byli swojej krytyki literackiej — gdy trzeba — przywołującej do porządku. Co ciekawe, najbardziej chyba bezwzględny „swój" krytyk literatury drugiego obiegu — Jan Walc — często przesadzał: jak choćby w przypadku „Początku" Andrzeja Szczypiorskiego i „Agitki" Anny Bojarskiej — pozycji wybitnych, na których nie zostawił suchej nitki.

3. Pisząc o „naprawdę ważnych książkach", jakie ukazały się w drugim obiegu, Marek Adamiec nie mówi nic o dwóch kategoriach: przekładach i literaturze naukowej (też zresztą głównie przekłady). Pozwólmy sobie na wymienienie tylko niektórych: Hannah Arendt „Korzenie totalitaryzmu", „O myśleniu", „O woli", Arnold Toynbee „Cywilizacja w czasie próby", Karl R. Popper „Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie", „Nędza historyzmu", Leszek Kołakowski „Główne nurty marksizmu", Max Weber „Polityka jako zawód i powołanie". Nic nie szkodzi, że większość tych książek wydana została potem oficjalnie, a pozostałe czekają na wydanie. Dzięki drugiemu obiegowi polska nauka miała przez kilka „ciemnych" lat możliwość normalnej działalności badawczej.

4. „Literatura źle obecna" rzeczywiście staje się „literaturą odzyskaną", ale, co jest nieobecne w tekście Adamca, nadmiernie eksploatowaną (choć pisząc o ewentualnym powstaniu widowiska muzycznego o zbrodni katyńskiej Marek Adamiec dotyka tematu przesady). Wystarczy popatrzeć na nową listę lektur czwartej klasy liceum, żeby zobaczyć, iż króluje tam literatura martyrologiczna związana z czasem drugiej wojny światowej oraz tematyka prześladowań stalinowskich (ulubione tematy wypracowań to teraz różne wersje motywu „Łagry i lagry" — koniecznie w tej kolejności). Młodzież, której zachowanie jest zawsze bardzo czułym barometrem społecznych postaw, już teraz (!), zaledwie po roku funkcjonowania nowego programu, wyraża swoją dezaprobatę dla takiej, a nie innej struktury spisu lektur. Niegdyś znikające ze straganów książki dziś nie znajdują nabywców. Ale ile też można przeczytać szkiców, opracowań, wspomnień i opowieści o Katyniu, który często przywoływany jest jako symbol tej literatury? A więc nie tylko o pytanie „po co czytać, skoro już wolno?" chodzi. Być może przesyt tematyką martyrologiczną spowodował tak wielką popularność mało ambitnej literatury kryminalno-szpiegowskiej, na którą zapotrzebowanie, mimo nasyconego przecież rynku, zdaje się stale rosnąć? Być może ów nieznany, „wirtualny" czytelnik świadomie odwraca się — zrażony rzeczywistością polityczną — od lektur niegdyś zabronionych, bo mu się źle kojarzą? Być może „normalnienie", jak się w Polsce mawia, przejawia się także w zasadniczym odejściu od wartości tradycyjnych — patriotyzmu, poczucia misji w wykonywaniu obowiązków zawodowych (etos), integracji narodowej (przynajmniej w sprawach fundamentalnych, to jest etycznych) — a więc i literatury głoszącej owe wartości?

Mam nadzieję, że powyższe pytania mogą stanowić dobry punkt wyjścia do zastanowienia się nad koniecznością rozliczenia się przez literaturę lat osiemdziesiątych z „realizacji prywatnych obowiązków wobec konkretnych czytelników" — jak napisał słusznie na zakończenie swego szkicu Marek Adamiec.

Łączę wyrazy szacunku

Jarosław KLEJNOCKI

KRAJ — BLOK WSCHODNI

22.6.91
W Warszawie odbył się pierwszy kongres Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Wyłoniono na nim zarząd główny: Jan Zamoyski (prezes), Napoleon Siemaszko (wiceprezes), Jan Engelgard (wiceprezes), Krzysztof Majek (sekretarz), Tomasz Szukała (skarbnik). O losach Stronnictwa Narodowego na emigracji zdecyduje światowy zjazd SN, który odbędzie się w przyszłym roku. Do tego czasu SND i SN będą działać w ścisłym związku, ale oddzielnie.

15.9.91
Muzeum Sztuki w Łodzi przygotowało wystawę około 200 prac Josepha Beuysa, pochodzących ze stałej kolekcji tego Muzeum. Wystawa miała miejsce w Watari-Um Muzeum Sztuki Współczesnej w Tokio i nosiła tytuł „Joseph Beuys — Polska — Tokio — Ponad granicami".

23.9.91
Sąd Rejonowy w Katowicach ogłosił upadłość Wydawnictwa „Śląsk". Zbankrutowała istniejąca od 37-miu lat oficyna, która na swoim koncie ma 3.500 wydanych tytułów. W tej chwili „Śląsk" ma 100 umów autorskich na różnym etapie realizacji. Trudno przewidzieć ich los. ■ Ministerstwo Kultury cofnęło subwencje miesięcznikom: *Twórczość, Odra, Dialog*. To jest już pogrom polskiej kultury. Powinno się chyba uratować w pierwszym rzędzie *Odrę*. Jest to nie tylko doskonałe czasopismo, ale jego zamknięcie zrobi z Wrocławia pustynię.

27.9.91
Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat Eryk Lipiński, wybitny artysta grafik i popularny satyryk oraz dziennikarz.

1.10.91
Rada Ministrów RP podjęła decyzję wypowiedzenia umowy z ZSSR o budowie elektrowni atomowej w Żarnowcu, gdyż zaniechano tej inwestycji. Nie podano szczegółów o skutkach finansowych wypowiedzenia tej umowy.

10.10.91
Na podstawie umowy pomiędzy Komitetem do Spraw Radia i Telewizji a Episkopatem Polski wprowadzono do III radiowego programu dwie godziny tygodniowo audycji przygotowywanych przez redakcję katolicką, całkowicie niezależną od kierownictwa radia. Jednocześnie do sejmowego projektu ustawy o radiu i telewizji Senat wniósł poprawkę, że radio i telewizja mają być chrześcijańskie. Co to znaczy? Sformułowanie — jak obecnie mówi się w języku polskim — kuriozalne.

16.10.91
Nagrody im. Stefana Kisielewskiego. W ubiegłym roku Stefan Kisielewski ustalił na łamach tygodnika *Wprost* Nagrody Kisiela. Redakcja *Wprost* w porozumieniu z synem Stefana Kisielewskiego, Jerzym, będzie przyznawać począwszy od bieżącego roku Nagrody im. Stefana Kisielewskiego fundowane przez tygodnik *Wprost*. Nagrody za rok 1991 otrzymali: Premier RP Jan Krzysztof Bielecki, Jerzy Grohman, doradca Prezydenta do spraw reprywatyzacji, Bogusław Bagsik — za stosowanie niekonwencjonalnych rozwiązań ekonomicznych.

19.10.91
Zmarł w Warszawie w wieku 94 lat ks. Jan Zieja, kapelan wojskowy — podpułkownik Wojska Polskiego, założyciel i członek KSS KOR; pełnił w nim funkcję przewodniczącego Rady Funduszu Samoobrony Społecznej.

23.10.91
Wydawnictwo *Progress* i Stowarzyszenie *Memoriał* prezentują w Moskwie rosyjski przekład (pióra Natalii Gorbaniewskiej) książki Gustawa Herlinga-Grudzińskiego *Inny świat*.

ZACHÓD

28.8.91
W Galerie Barbier-Beltz w Paryżu odbyła się wystawa indywidualna Ludwiki Ogorzelec.

1.10.91
Jury Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie przyznało Florianowi Śmieji nagrodę za całokształt twórczości. Prof. Śmieja, hispanista, poeta i tłumacz, przeszedł w tym roku na emeryturę z Uniwersytetu Zachodniego Ontario (Kanada) i przez 4 miesiące wykłada w Instytucie Filologii Romańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego.

4.10.91
Nagroda Fundacji im. Roberta Boscha dla polskich tłumaczy literatury niemieckiej, przyznana po raz szósty przez Deutsches Polen-Institut w Darmsztadzie, przypadła w tym roku Małgorzacie Łukasiewicz. Laureatka pracuje od 1974 r. jako tłumacz i krytyk literacki. W 1981 była członkiem redakcji *Tygodnika Solidarność*, podczas stanu wojennego uczestniczyła w ruchu podziemnym. Od 1989 r. jest lektorką redakcji niemieckiej w „Czytelniku". W roku 1989 dostała nagrodę „Pro Helvetia" za tłumaczenia Roberta Walsera. Małgorzata Łukasiewicz tłumaczyła m.in. Bölla, Grassa, Hermana Hesse, Roberta Walsera, Hansa-Georga Gadamera i Jürgena Habermasa. Jej przekład „Pachnidła" Süsskinda spotkał się z wielkim uznaniem. Nagroda Fundacji im. Roberta Boscha wynosi 10.000 DM. ■ W Instytucie im. Generała Sikorskiego w Londynie odbył się odczyt Anthony Montague Browna, prywatnego sekretarza Churchilla w latach 1952-65, na temat „Jak widzę Winstona Churchilla".

7.10.91
W Stanach Zjednoczonych odbyła się największa, jeśli nie jedyna, konferencja poświęcona 200-nej rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Miejscem spotkania był Bloomington, gdzie mieści się Uniwersytet Indiana, a organizatorem prof. Samuel Fiszman. Konferencję sponsorował Ośrodek Polskich Studiów wraz z wydziałem Slawistyki Uniwersytetu Indiana i Ośrodkiem

Studiów Amerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego. Po przemówieniu powitalnym kanclerza uniwersytetu, słowo wstępne wygłosili: Kazimierz Dziewanowski, Ambasador RP w Waszyngtonie i John R. Davis, do niedawna Ambasador USA w Warszawie, a obecnie ambasador w Bukareszcie. Na pierwszej sesji, której przewodniczył prof. R. Byrnes, Piotr Wandycz miał referat na temat „Dwie rewolucje — 1788–1792, 1980–1990", Andrzej Walicki wygłosił prelekcję pt. „Idea narodu w głównych prądach myśli politycznej polskiego Oświecenia", a Roman Szporluk mówił o „Roli polskiego nacjonalizmu w rozwoju nowoczesnych narodów europejskich". Na sesji popołudniowej, pod przewodnictwem Anny M. Cienciały, przemawiali: W.J. Wagner (Uwagi o dawnych przywilejach i *liberum veto*), Józef Andrzej Gierowski (Reformy w Polsce po „niemym sejmie"), Andrzej Ajnenkiel (Wpływ Konstytucji 3 Maja na życie konstytucyjne Drugiej Rzeczypospolitej 1918–39: rzeczywistość i mity) i Marek Wierzbowski (Nowa konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej: dawne tradycje i obecne wyzwania). Komentarz przedstawił Leszek Garlicki, a Samuel Fiszman otworzył wystawę w bibliotece starych ksiąg (*Lilly Library*) i mówił o „Amerykańskich i europejskich opiniach o Konstytucji 3 Maja". Wieczorem odbył się koncert muzyki polskiej od barokowej po XIX-wieczną. Drugiego dnia przedstawiono następujące referaty na sesjach, którym przewodniczyli Leo Solt i William Edgerton: „Elementy strukturalne Konstytucji 3 Maja i ich szanse zastosowania w praktyce" (Jarosław Piekałkiewicz), „Pierwszy i jedyny rok Konstytucji 3 Maja" (Daniel Stone), „Reformy administracyjne podczas Sejmu Czteroletniego" (L. Kądziela), „Porównanie głównych zasad pierwszych konstytucji amerykańskiej, polskiej i francuskiej" (Rett Ludwikowski), „Wpływ konstytucji amerykańskiej na polską opinię publiczną w późnym XVIII wieku" (Zofia Libiszowska — referat odczytany pod nieobecność autorki, której choroba przeszkodziła w przyjeździe z Polski), „Echa Polskiej Rewolucji we wczesnodziewiętnastowiecznej literaturze angielskiej i amerykańskiej" (P. Drozdowski). Komentowali Janusz Duzinkiewicz i David Stefancic. Na zakończenie konferencji miał miejsce panel dyskusyjny na temat „Amerykańska i polska konstytucja w historycznej perspektywie". Przewodniczył Michał Rozbicki, a w dyskusji wzięli udział obaj ambasadorowie Dziewanowski i Davis, Ajnenkiel z PAN-u, Ludwikowski z Catholic University of America oraz trzech profesorów z Indiany. Materiały z konferencji mają być ogłoszone drukiem w formie książki, ale zapewne nie nastąpi to szybko. ■ Dyplomy dla uczonych amerykańskich: w ambasadzie RP odbyła się uroczystość wręczenia przez ambasadora Kazimierza Dziewanowskiego dyplomów dziewięciu uczonym amerykańskim, którym Polska Akademia Nauk przyznała tytuł członka zagranicznego. Są to: prof. Robert Young, fizyk, Instytut technologiczny w Atlanta w stanie Georgia, utrzymujący ścisły kontakt z polskimi ośrodkami naukowymi i publikujący w polskich wydawnictwach naukowych; prof. Piotr Wandycz, urodzony w Polsce, Uniwersytet Yale, znany historyk dziejów najnowszych; prof. Robert Malina, urodzony w Nowym Jorku, rodzice pochodzili z Polski, antropolog, Uniwersytet Teksasu, współpracuje od lat z antropologami polskimi; prof. Hilary Koprowski, urodzony w Polsce, absolwent medycyny Uniwersytetu Warszawskiego, dyrektor Instytutu Anatomii i Biologii im. Wistara w Filadelfii, współpracuje z placówkami naukowymi w Polsce (w Instytucie Wistara przebywają stale na stażach pracownicy naukowi z Polski), członek Akademii Nauk USA; prof. Chauncy Harris, geograf, Uniwersytet Chicagoski, promotor polskich wydawnictw geograficznych; prof. Henryk Wiśniowski, urodzony w Polsce, studia medyczne w Gdańsku, w Stanach Zjednoczonych od 1966 r. dyrektor *Institute for Basic Research in Developmental Disabilites* w Nowym Jorku, neurobiolog; prof. Samuel Eilenberg, urodzony w Warszawie, doktor matematyki Uniwersytetu Warszawskiego, profesor Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku; prof. Malcolm McKenna, paleontolog, Uniwersytet Columbia w Nowym Jorku, współpracuje z polskimi paleontologami; prof. Alan Katritzky, urodzony w Londynie, chemik polskiego pochodzenia, Uniwersytet Florydy, utrzymuje ścisły kontakt z polskimi uczonymi, a polscy stażyści pracują w jego laboratoriach.

8.10.91
Jeden z największych banków francuskich, Société Générale, otwiera w Warszawie swój oddział, który będzie funkcjonował od połowy przyszłego roku. W początkowym okresie będzie zatrudniał 25 osób.

16.10.91
Doroczna nagroda pisarska SPK w Londynie została przyznana p. Andrzejowi Pomianowi za prace historyczne i publicystykę polityczną. Drugą nagrodę otrzymała p. Anna Nowakowa, redaktorka *Kwartalnika Kresowego*. Trzecią nagrodę otrzymało Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie.

17.10.91
Zmarła w Lozannie w wieku 91 lat p. Irena Vincenz, wdowa po Stanisławie Vincenzie, osoba wielkiej szlachetności, przyjaciółka *Kultury*.

18.10.91.
W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się uroczysty wieczór poświęcony pamięci Stefana Kisielewskiego. Przemawiali: Jakub Karpiński, Jerzy Kłoczowski, Jerzy Marchwiński, Zbigniew Rapacki, Jolanta Rostworowska. ■ 25.10.br. Jerzy Kłoczowski wygłosił odczyt pt. „Aktualne problemy dyskutowane w UNESCO".

21.10.91
Na Uniwersytecie we Fribourgu (Szwajcaria) odbyło się XI kolokwium na temat „La Pologne et la Suisse". ■ Nagrody Fundacji im. Kościelskich w tym roku otrzymali Andrzej BART za powieść pod tytułem „Rien ne va plus" oraz Marian STALA za zbiór esejów literackich noszących tytuł „Chwile pewności". Każda z tych tegorocznych nagród wynosi 4.000 franków szwajcarskich. Jury miało też przyznać dodatkową, jednorazową nagrodę im. Kajetana Morawskiego. Ambasador Kajetan Morawski był pierwszym prezesem Fundacji. Nagroda dla uczczenia pamięci Kajetana Morawskiego, zmarłego w 1973 r. we Francji, wynosi 10.000 franków francuskich. Jury zdecydowało odłożyć jej przyznanie do jesieni 1992 roku. Nagroda im. amb. Morawskiego ma być przyznana osobie szczególnie zasłużonej na polu krzewienia w Polsce znajomości francuskiej literatury.

22.10.91
W Librairie Internationale FNAC w Paryżu odbyło się spotkanie z pisarzami czeskimi i słowackimi. W spotkaniu tym wzięli udział: Zbynek Hejda, Josef Hirsal, Bohumil Hrabal, Petr Kral, Eda Kriseova, Karel Pecka, Martin M. Simecka, Josef Skvorecky, Jan Trefulka, Ludvik Vaculik.

22.10.91
Ambasador RP w Paryżu, Jerzy Łukaszewski, wręczył dyplomy i insygnia

członków zagranicznych Polskiej Akademii Nauk prof. prof. Danielowi Beauvois, F. Chapeville, J. Kravtchenko, J. Le Goff, J.M. Lehn, L. Schwartz, A. Touraine i P. Vidal.

24.10.91
W Bibliotece Polskiej w Paryżu, staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Zarządu Oddziału AK we Francji, odbył się odczyt prof. Jerzego Kłoczowskiego z KUL-u pt. „Armia Krajowa w okupowanej Polsce 1939-1945".

29.10.91
W Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Paryżu odbył się wieczór dyskusyjny na temat *„Lettre International* — une navette entre et pour les intellectuels d'Europe" z udziałem Kazimierza Brandysa, Antonina Liehma oraz Adama Zagajewskiego.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W Kalifornii działa Polish-American Siemienas Foundation, która służy rozdziałowi subsydiów na kształcenie młodej polskiej generacji ze szczególnym uwzględnieniem ochrony środowiska, służby zdrowia i przedsięwzięć handlowych między USA a Polską. W kwietniu 1991 przeznaczono 2 miliony dolarów na oczyszczenie środowiska w rejonie Olsztyna, pokryto część kosztów związanych z wizytą Wałęsy w USA, udzielono pomocy w zainstalowaniu sieci komputerowej w nowym konsulacie w Los Angeles. Duchem ożywczym jest Feliks Siemienas, polski przemysłowiec i właściciel szeregu przedsiębiorstw, a prezesem fundacji Artur Zaremba. ■ Wydawany w Chicago przez polskich jezuitów „Posłaniec Serca Jezusa" obchodzi w br. swoje 75-lecie. ■ Fundacja Charytatywna KPA wysłała do Polski 63 kontenery morskie ze sprzętem medycznym, lekami oraz żywnością, której wysłanie jest bezcelowe w związku z nadprodukcją w Polsce żywności. Równocześnie chicagoski przemysłowiec Przemysław Inglot zainicjował pod patronatem Fundacji zbiórkę pieniędzy na wsparcie Centrum Zdrowia Dziecka. ■ Od 1950 r. działa w Chicago Polski Związek Akademików w Ameryce, który w ciągu czterdziestu lat działalności zorganizował 300 spotkań dyskusyjnych, wieczorów poetyckich i autorskich, dyskusji i prelekcji; prezesem jest Andrzej Azarjew. ■ W lipcu przebywała w USA delegacja polskiego MON oraz Maciej Zalewski, sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego przy Prezydencie RP. Mówiono o możliwościach szkolenia polskich oficerów w amerykańskich szkołach wojskowych oraz o „bezpieczeństwie zewnętrznym" RP. ■ Rząd USA zniósł embargo na dostawy broni do Polski, Czecho-Słowacji i na Węgry, które dotyczyło transakcji między prywatnymi przedsiębiorstwami. Podczas pobytu sekretarza obrony Cheney'a w Polsce wiosną br. rząd polski

zgłosił chęć zakupu myśliwców F-16 i rakietowego systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej „Patriot". ■ Podczas swojej amerykańskiej wizyty (początek września) polski premier Bielecki spotkał się z prezesem Rady Polsko-Amerykańskiego Funduszu Przedsiębiorczości — Johnem Birkelundem. Fundusz przyznał pięciuset prywatnym przedsiębiorstwom w Polsce pożyczki na sumę 100 milionów dolarów. Polski premier spotkał się również z Johnem Welshem — wiceprezesem Projektu „Hope", który pomaga krakowskiemu szpitalowi dla dzieci. ■ Dzięki zbiórce pieniędzy wśród społeczności polonijnej w stanie Connecticut, Uniwersytet w New Britain otrzymał prawie milionową dotację federalną oraz pomoc finansową Amerykańskiej Agencji Informacyjnej (USIA) na organizację specjalnych kursów na uniwersytetach warszawskim i wrocławskim oraz na szkolenie przewodniczących Rad Robotniczych Solidarności na Dolnym Śląsku. Polonia w Connecticut imponuje swoimi przedsięwzięciami, uporem w ich realizacji i mnogością form życia kulturalnego istniejących w tym małym stanie i wśród, nie największej w skali kraju, polskiej grupy. ■ Od połowy sierpnia działa automatyczne połączenie telefoniczne między Polską a USA. Minutowe połączenie jest prawie dwukrotnie droższe niż minuta rozmowy ze Stanów do Polski; do tego należy jeszcze dodać najróżniejsze zniżki i „okazje", których polscy abonenci są pozbawieni. ■ Joanna Regulska, profesor w Uniwersytecie Rugers'a, założycielka *Local Democracy in Poland*, współpracującej z polską Fundacją Rozwoju Samorządności Lokalnej uzyskała wielesettysięczną pomoc od fundacji amerykańskich. ■ W lipcu poinformowano oficjalnie o odwołaniu ze stanowiska pierwszego postkomunistycznego konsula polskiego w Chicago — Huberta Romanowskiego i przeniesieniu go do Waszyngtonu. Rada Miejska Chicago uhonorowała Romanowskiego specjalną proklamacją uchwaloną w październiku. ■ Od lipca ukazuje się w USA i Polsce miesięcznik *Okay America*, którego redaktorem naczelnym jest Renata Gorczyńska, a który rozchodzi się w 100-tysięcznym nakładzie. ■ LOT otrzyma w latach 1992–1994 dziewięć zakupionych samolotów typu Boeing 737 (seria 400 i 500).

Mariusz SZAJNERT

KRONIKA KANADYJSKA

Polskie parafialne Kasy Kredytowo-Oszczędnościowe (Credit Union) św. Stanisława i św. Kazimierza z Toronto rozpoczną działalność w Polsce pod nazwą *Polsko-Kanadyjski Bank św. Stanisława S.A.* Prezes Credit Union p. Tadeusz Gonsik otrzymał 3 października zgodę

Narodowego Banku Polskiego na uruchomienie banku. Akcjonariuszami po równej ilości akcji 49,5% są: St. Stanislaus Holding Co. Ltd. i St. Casimir's Holding Co. Ltd. — a więc wyłonione specjalnie przedstawicielstwa parafialnej Credit Union — a 1% akcji otrzymał polski „Caritas". Oddział polski znajduje się czasowo przy parafii św. Barbary — ul. Nowogrodzka — później przeniesie się do własnego budynku przy skwerze Prymasa Wyszyńskiego. ■ Minister Imigracji Valcourt stwierdził, że nie zdołano w przewidywanym terminie, tj. do końca września br. załatwić zaległych wniosków o prawo pobytu osób deklarujących się jako uchodźcy, gdyż ilość ich wynosi ponad 10.000 więcej od szacunkowej 85.000. Przebadano 58.400 aplikacji do końca sierpnia br. i przyznano 38.100 praw stałego pobytu, natomiast odrzucono wnioski 16.200 osób. Zdecydowały się one opuścić Kanadę dobrowolnie przed nakazem deportacji. Wydano rozkaz aresztowania i deportacji 4.100 osób. Z tej ostatniej grupy ponad 2.000 wniosło apelacje. Deportowano pod koniec sierpnia 661 osób. W grupie nie rozpatrzonych aplikacji 9.277 osób postanowiło opuścić Kanadę. ■ Przedstawiciele Ministerstwa Imigracji oraz konsulowie z Buffalo i Detroit poinformowali m.in. delegatów Kongresu Polonii Kanadyjskiej na zebraniu poświęconym zaległym aplikacjom *self-exile*, iż do końca 1992 r. wszystkie aplikacje będą załatwione i wyrazili przekonanie, że większość otrzyma prawo stałego pobytu. ■ Komitet funduszu papieża Jana Pawła II dla polskich sierot i opuszczonych w Toronto zebrał w br. do końca sierpnia 18.125 $, które przekazano Domom Samotnej Matki i Dziecka w kuriach diecezjalnych w Gorzowie, Katowicach oraz kurii metropolitalnej w Krakowie.

Toronto 10.10.1991 r.

B.H.

KRONIKA SZWEDZKA

15 września br. odbyły się wybory do szwedzkiego parlamentu (Riksdagen), które tym razem były historyczne: oznaczały koniec trwających od kilkudziesięciu lat rządów lewicy (socjaldemokracji popartej w parlamencie przez komunistów). Raz tylko w okresie powojennym (1981 r.) wybory dały rząd koalicyjny pod przewodnictwem stronnictwa Centrum (dawniej chłopskiego). Fenomen ten trwał jednak tylko przez jedną kadencję. Tym razem socjaliści stracili władzę nie tylko w Riksdagen, ale przegrali również z kretesem w wyborach do władz wojewódzkich i komunalnych. Ciekawe jest również zjawisko utraty przez socjalistów ich bazy — młodego pokolenia. Badania opinii pokolenia głosującego po raz pierwszy wykazały, że uprawnieni do głosowania uczniowie w znakomitej większości oddali głosy na konserwatystów, tzw. „Moderatów", czyli na umiarkowaną prawicę. W wyniku głosowania wylecieli z Riksdagen „Zieloni", czyli obrońcy ekologii. Do parlamentu wejść mogą tylko te ugrupowania, które w powszechnym głosowaniu do parlamentu uzyskają co najmniej 4% głosów. W ten sposób zabezpieczono kraj przed politycznym chaosem, co mogłaby sobie wziąć za wzór Rzeczpospolita Polska. Dla osiągnięcia większości w głosowaniu parlamentarnym potrzeba 175 mandatów. Nowa demokracja posiada rolę decydującą. Czołowe miejsce na chadeckiej liście wyborczej zajął Polak — Jerzy Einhorn, onkolog o międzynarodowej sławie, szef uniwersyteckiej Kliniki Badania Raka przy Klinice Karolińskiej. Niestety Einhorn zamierza obecnie całkowicie poświęcić się polityce. Z deklaracji programowej wynika, że nowy rząd wykaże więcej zainteresowania wspólnotą nordycką, problemem pomocy sąsiednim krajom bałtyckim, walczącym o odzyskanie całkowitej suwerenności, oraz przyspieszeniem sprawy wejścia Szwecji do Wspólnoty Europejskiej. Pierwsza wizyta premiera Bildta złożona zostanie Finlandii, z którą Szwecję łączą więzy historyczne i kulturalne. Do 1809 roku Finlandia była związana ze Szwecją unią personalną. W wojnie o niepodległość w latach 1918-1920 Szwecja poparła Finlandię przez oddziały ochotnicze i odmówiła daru Danaidów w postaci wysp Alamdzkich, całkowicie zamieszkałych przez ludność szwedzkojęzyczną. Współpraca i współżycie obu państw nie zostały więc niczym zakłócone. Rozwiązanie unii i dalsze stosunki poszły tu innym torem niż w przypadku Polski i Litwy.

•

Wobec wyborów w Szwecji, dramatycznych zmian i wypadków w Sowietach czy wojny domowej w Jugosławii — polskie sprawy, siłą rzeczy, przesunęły się w tym okresie na dalszy plan. Tym bardziej, że — na szczęście — nic takiego na razie nie dzieje się w Polsce, a jej dzisiejsi przywódcy nie wyrastają ponad przeciętność. A jednak przynajmniej Stockholm stał we wrześniu pod znakiem zainteresowania Polską, ale nie polityczną tylko kulturalną. Mam na myśli sympozjum w Vitterhetsakademien tj. Akademii Historii Literatury, poświęcone twórczości Czesława Miłosza w 80-tą rocznicę jego urodzin oraz festiwal Sławomira Mrożka. W wielkim ilustrowanym wywiadzie w *Dagens Nyheter* Mrożek stwierdził: „po 28-letnim pobycie w Europie Zachodniej miałem wszystkiego dosyć i wyniosłem się z Europy. Istnieje pewnego rodzaju europejska arogancja, która widzi resztę świata jako przygodę czy wczasy. Po pewnym czasie mogłem stwierdzić, że ucieczka niestety nie istnieje. Nie ma wyjścia". Mówił też o swojej śmiertelnej chorobie, o tym że był już właściwie na tamtym świecie, dodając: „Dla mnie ten pobyt w Szwecji jest wielkim przeżyciem — powróciłem do życia". Stockholmski Teatr Miejski obchodził nieco spóźnione 60-lecie naszego

sławnego dramaturga, który przyjechał aż z Meksyku na premiery swoich trzech sztuk: „Tango", „Lisy" i „Pieszo". „Tango" grano tu po raz pierwszy w 1957 r. i było przyjęte entuzjastycznie. W ogóle Mrożek jest często grany w Szwecji, jest tu popularny, a jego humoreski dość regularnie ukazują się w niektórych pismach. Według profesora literaturoznawstwa — Gunnara Brandella — Mrożek potrafi „przemienić sytuacje historyczne w wielką sztukę teatralną". Zdaniem tutejszej krytyki nie należy zaliczać Mrożka do absurdystów, lecz do twórców abstrakcyjnych; jest moralistą, dyskutującym uparcie o znaczeniu moralności — obowiązkiem jednostki jest zajęcie własnego stanowiska. Żaden Polak, żaden polski polityk nie potrafił zgromadzić takich tłumów jak Mrożek 4 września w Instytucie Polskim. Nie tylko sala pełna była międzynarodowej publiczności, ale ludzie stali na korytarzu i przyległym do sali ogrodzie Instytutu. Mrożek, z uwagi na międzynarodową publiczność, mówił po angielsku. ■ Szwedzka Akademia Literatury uczciła 80-te urodziny Czesława Miłosza uroczystym i doskonale zorganizowanym sympozjum poświęconym jego twórczości. Sympozjum odbyło się w dniach od 9-11 września w Stockholmie i wzięli w nim udział uczeni szwedzcy i polscy: Stanisław Barańczak, Per-Arne Bodin, Włodzimierz Bolecki, Aleksander Fiut, Zdzisław Łapiński, Leonard Neuger, Nils Ake Nilsson, Ryszard Nycz, Marian Stala, Marek Zaleski i Roman Zimand. Większość referatów koncentrowała się na późnej twórczości poety wydobywając z niej treści filozoficzno-religijne i ukazując ją na bogatym tle kultury europejskiej i amerykańskiej. Materiały z sympozjum zostaną wydane w formie książkowej pod redakcją prof. Nilsa Akego Nilssona, znakomitego slawisty szwedzkiego, tłumacza „Wierszy zebranych" Czesława Miłosza i głównego organizatora sympozjum. Sympozjum to spowodowało opublikowanie w działach literackich czołowych dzienników i czasopism prac o twórczości Miłosza. Profesor historii literatury Univ. w Uppsali, czołowej wszechnicy, stwierdza w *Svenska Dagbladet*, że Czesław Miłosz „jest podobny do Tomasza Manna, który był wczoraj sumieniem Europy. Tak samo liryka i eseistyka Miłosza wzbudza w nas dzisiaj świadomość, że Miłosz jest reprezentatywnym Europejczykiem naszych czasów. Czesław Miłosz jest unikalnym świadkiem teraźniejszości". ■ Ostatnia uchwała Wspólnoty Europejskiej o niewystępowaniu w najbliższych latach z inicjatywą wprowadzenia w życie współdziałania również w dziedzinie wojskowej i polityki zagranicznej została przyjęta w Szwecji z ulgą. Oznacza to bowiem, że neutralność Szwecji nie stanie na przeszkodzie w przyjęciu jej do Wspólnoty Europejskiej. ■ Tegoroczna Literacka Nagroda Nobla, wynosząca obecnie 6 mln koron, przyznana została 67-letniej pisarce południowoafrykańskiej — Nadine Gardimer, która całe swoje życie poświęciła zwalczaniu rasizmu. ■ Ponad tysiąc polskich Cyganów zgłosiło się o azyl w Szwecji. Stworzyło to chaos w działalności Urzędu Imigracyjnego w południowej Szwecji. Prasa uważa, że *exodus* Cyganów z Polski spowodowany został polskim rasizmem i wypadkami pod Mławą, co oczywiście nie przyczynia się do dobrej opinii o Polsce. Natomiast policja szwedzka jest zdania, że ten *exodus* został specjalnie w Polsce zorganizowany. Prasa przypomina, że udzielanie pomocy uchodźcom za opłatą jest czynnością nielegalną i nie może być brane pod uwagę przy azylu. ■ Szwedzki koncern samochodowy VOLVO zaczyna współpracę z polską wytwórnią ciężarówek i autobusów JELCZ. Uważa się tu, że Europa środkowo-wschodnia jest dobrym rynkiem dla tego rodzaju produkcji szwedzkiej. ■ Polak, Marian Radetzki (lat 34) został wykładowcą ekonomii na Uniwersytecie w Luela (Szwecja Północna). Wykłada on również w Colorado School of Mines w Stanach Zjednoczonych. ■ Janina Ludawska, Polka zamieszkała od lat w Szwecji, bronić będzie 13 grudnia br. w Instytucie Teatrologii i Filmu przy uniwersytecie stockholmskim pracy doktorskiej o trzech szwedzkich inscenizacjach „Ślubu" W. Gombrowicza. ■ Czasopismo naukowe Uniwersytetu w Uppsali — *Kulthietica* — zawiera m.in. recenzje Andrzeja Nilsa Uggli z dwóch polskich książek naukowych poświęconych literaturze polskiej na świecie: Jana Zielińskiego „Leksykon polskiej literatury emigracyjnej" (Lublin 1990) i Krzysztofa Dybciaka „Panorama literatury na obczyźnie" (Kraków 1990). W 1918 r. poza Polską mieszkało tylko 5 mln Polaków. Obecnie ilość ta się podwoiła. Uggla podkreśla w swojej pracy, że najważniejszym i najbardziej zasłużonym wydawnictwem na obczyźnie jest Instytut Literacki w Paryżu pod dyrekcją Jerzego Giedroycia, a przedstawicielem tego Instytutu w Szwecji jest Norbert Żaba. ■ Od 24 sierpnia do 12 września br. miała miejsce w ośrodku szwedzkiej sztuki ludowej w Szwecji środkowej wystawa polskiej sztuki ludowej, połączona z kiermaszem. Cieszyła się ona dużym powodzeniem. ■ Od niedawna korespondentem *Dagens Nyheter* (najpoczytniejszy szwedzki dziennik liberalny) w Moskwie jest stosunkowo młody Polak, Michał Winiarski. Jest to syn znanego dziennikarza i działacza polonijnego, Łukasza Winiarskiego. Michał Winiarski, znając rosyjski i polski, śledził od lat zagraniczną i wewnętrzną politykę Sowietów i Rosji i dzięki temu nie uległ złudzeniom wielu korespondentów zagranicznych. Jego artykuły wyróżniają się sumiennym opracowaniem tematu i interesującym podejściem do aktualnych problemów. Zwrócił on uwagę na fakt, że w czasie ostatniego spotkania Bush udzielił Gorbaczowowi „mocnego poparcia w jego wysiłkach utrzymania jedności Związku Sowieckiego". W Kijowie Bush przestrzegał Ukraińców przed „wybujałym nacjonalizmem". Winiarski uważa, że stała się rzecz niebywała: Bush — gość — dyktował gospodarzom, jak należy zmienić sowiecką politykę zagraniczną. Śledzi on również ruchy narodowościowe i separatystyczne w Sowietach. Cytując rzecznika prasowego Gruzji dochodzi do wniosku, że Gruzja zmierza do zerwania oficjalnych stosunków ze Związkiem Sowieckim na wszystkich płaszczyznach. Tenże rzecznik, na konferencji prasowej, nazwał Szewardnadze „wrogiem Gruzji" i „konspiratorem przeciwko

Republice Gruzji". Będąc w Kijowie Winiarski zauważył, że przybyli z Moskwy Ruckoj i Sobczak byli zaszokowani i zaskoczeni zdecydowaniem Ukraińców. ■ *Dagens Nyheter* opublikował obszerny wywiad Timothy Garton Asha o Polsce. Ten wybitny brytyjski historyk, znawca Polski i Europy Środkowo-Wschodniej, dochodzi do wniosku, że „polityka polska jest wyrazem ogromnego bałaganu. Wałęsa nie okazał się dyktatorem wyższej rangi, a jego zdecydowanie jest tylko despotyzmem. Wykazuje brutalny antyintelektualizm, a jego zdolności oratorskie są krasomówczą demagogią. Polskiej demokracji udało się to, w czym dyktatura zawiodła — rozbicie 'Solidarności'. Lech Wałęsa własnoręcznie ją rozszarpał, a przecież dawniej bronił jej przed zakusami Jaruzelskiego. Związki zawodowe doprowadziły do zjednoczenia robotników i intelektualistów, ale ten sojusz dzisiaj należy niestety do przeszłości". Tak nas widzą obcy!

7 październik 1991 r.

Norbert ŻABA

ZESZYTY HISTORYCZNE

Kwartalnik pod redakcją Jerzego Giedroycia wydawany od 1962 r. przez INSTYTUT LITERACKI w PARYŻU, przedrukowywany w drugim obiegu, nareszcie ukazuje się oficjalnie w Polsce. Wydawcą edycji krajowej ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH jest WYDAWNICTWO PoMOST, spółka z o.o.

Cena prenumeraty czterech numerów kwartalnika:
93/1990, 94/1990, 95/1991, 96/1991 wynosi zł. 50.000.
Wpłaty należy przekazywać na konto:
Wydawnictwo PoMOST, spółka z o.o.
PBK III O. w Warszawie, nr 370015-973548-136
z zaznaczeniem: prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Okruchy historii

Czy to tylko niedawna przeszłość?

ROZMOWA DZIENNIKARZA Z MJR. KGB J. PROSKURINEM

— „Ty, majorze, podsłuchujesz i donosisz. Ja, majorze, mam cię w nosie", zwykł rzucać w słuchawkę T. Gdlian przed szczególnie ważnymi rozmowami telefonicznymi. Czy to prawda, że podsłuchem zajmują się w KGB na ogół oficerowie w stopniu majora?

— Nasłuch to robota wymagająca sporych kwalifikacji. Zajmują się nim niekoniecznie majorzy, powiedzmy że od starszego lejtnanta do majora. Ale na podsłuchiwanie Gdliana mogli posadzić nawet pułkownika.

— W jaki sposób KGB instaluje aparaturę podsłuchową u interesujących go ludzi?

— Robią to zazwyczaj trzy brygady. Pierwsza blokuje miejsce pracy, w którym w danym momencie znajduje się dany obywatel, druga blokuje miejsce pracy jego żony, a trzecia zakrada się do mieszkania, wystawiają czujki piętro niżej i piętro wyżej. Sześcioro ludzi w miękkich pantoflach wchodzi do pomieszczenia, odsuwa na przykład meblościankę, wycina niewielki kwadrat w tapecie, wywierca w ścianie dziurkę, umieszcza w niej „żuczka", przykleja z powrotem tapetę, a brygadowy artysta starannie retuszuje miejsce, tak że nawet z bliska niczego nie można zauważyć. Przysuwa się mebel, zamyka drzwi i znika. Cała operacja trwa kilka minut.

— Podobno telefoniczne stacje podsłuchowe rejestrują wszystkie absolutnie rozmowy i przechowują ich nagrania przez co najmniej trzy dni. Jak można nagrywać tak ogromną ilość rozmów? Przecież do tego potrzeba równie wielkiej armii ludzi?

— Nie, wcale nie trzeba. Czekiści nie muszą nawet siedzieć w centralach telefonicznych — wystarczy się podłączyć do ogólnej sieci ATC. Co więcej, nie ma po co przesłuchiwać wszystkich telefonicznych rozmów. Przesłuchuje się selektywnie, z wyznaczonych numerów.

A z nagrywaniem nie ma problemów. Istnieje system nagrywania rozmów na wolnoobrotowe taśmy stalowe, wydajniejsze niż taśmy magnetofonowe. Niech sobie pan wyobrazi dwie rolki, z których przekręca się z jednej na drugą kilkaset metrów taśmy. System ten pozwala ustalić czas rozmowy i numery telefoniczne, z których była prowadzona. Ten sam system może ustalić treść rozmów.

— Trzaski, które słychać w toku rozmowy, to właśnie moment włączania aparatu podsłuchowego?

— Niekoniecznie. Trzaski mogą mieć różne przyczyny — złe kontakty, zdezelowany aparat telefoniczny. Nasłuchy niczym się nie manifestują — tak są zbudowane, żeby człowiek nie podejrzewał, że go podsłuchują.

— Czy prawdą jest, że KGB może rozłączyć rozmowy, jeżeli padną pewne „zakodowane" słowa?

— Tak. Takim zwrotem było np. do niedawna „Precz z KPZS".

— Mam w biurze aparat telefoniczny, którym się w danej chwili nie posługuję. Jak można przy jego pomocy podsłuchać, o czym w tej chwili mówimy?

— Specjalne urządzenie pozwala nagrywać fale elektromagnetyczne z kapsułki mikrofonu tego telefonu. Poza tym można zainstalować ruchome mikrofony, które z dość dużej odległości, powiedzmy 200 m zarejestrują naszą rozmową. Ale jakość nagrania pogarsza się wraz z odległością.

W ten sam sposób można nagrywać rozmowy na ulicy. Powiedzmy, że KGB interesuje się jakimś zagranicznym dyplomatą i chce podsłuchać jego rozmowy z innymi ludźmi, w trakcie spacerów ustaloną trasą. W tym celu w fasadach domów, obok których zazwyczaj przechodzi, co trzy metry wstawia się „żuczki", które rejestrują wszystkie rozmowy tego dyplomaty, nawet jeśli idzie w tłumie głośno rozmawiających ludzi. Nie wykluczam, że liczne centralne ulice w Moskwie są dosłownie naszpikowane urządzeniami podsłuchowymi.

— Pod oknami domu, w którym mieszka Gdlian, przez pół roku rdzewiała standardowa niebieska furgonetka z napisem „Poczta", a przez drugie pół roku autobus jakiegoś lwowskiego przedsiębiorstwa.

Gdlian był przekonany, że są to samochody specjalnie wyposażone w aparaturę podsłuchową do jego mieszkania. Podobno KGB posiada wszystkiego trzy takie samochody, bo aparatura ta kosztuje astronomiczne sumy. Podobno nazywacie je „łodziami podwodnymi".

— Nie myślę, żeby to były „łodzie podwodne". Raczej kontrolny punkt śledzenia wszystkich, którzy przychodzą do Gdliana, tzw. „rogówka", tj. zewnętrzny punkt obserwacyjny. Czy przeciw Gdlianowi użyto „łodzi podwodnych"? Nie wiem. Taniej przecież kosztuje zainstalowanie w mieszkaniu podsłuchu.

— A ile kosztują „żuczki"?

— Od 100 do 200 rubli, wyjątkowo do tysiąca.

— Jakie mają rozmiary?

— Na ogół niewielkie. Kształt mogą mieć różny: kwadratowy, okrągły, podłużny, prostokątny, mogą być też całkiem płaskie, niewiele grubsze od kartki papieru. Najbardziej zminiaturyzowane są nie większe niż główka zapałki.

— Jakie mają źródło zasilania?

— Na ogół baterię światłoczułą.

— Podobno w gabinecie ambasadora amerykańskiego w Moskwie wisiał portret prezydenta Ameryki, podarowany mu przez rząd sowiecki. Amerykanie przez długi czas nie mogli wykryć, skąd przeciekają informacje o wszystkich prowadzonych w tym gabinecie rozmowach, aż któregoś dnia jeden z pracowników, przyglądając się uważnie portretowi, ze zdziwieniem odkrył aparat podsłuchowy, wmontowany w oko prezydenta.

— Wstawienie „żuczka" do oka prezydenta jest dosyć proste. A że jest to rodzaj bluźnierstwa, to inna sprawa.

Argumenty i fakty, wrzesień 1991

Listy do Redakcji

Lublin, 13.IX.1991.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Antoni Pospieszalski w liście do Redakcji *Kultury* (nr 7/8, 1991) jeszcze raz wraca do sprawy polonizacyjnych, jego zdaniem, dążeń Kościoła katolickiego w ZSSR. Tym razem czyni to nawiązując do anonimowego tekstu pt. „Kościół polski w republikach sowieckich", zamieszczonego w 5-tym tegorocznym numerze *Kultury*.

Otóż rozumiem obawy p. Pospieszalskiego o to, by dążenia polonizacyjne w Kościele katol. w ZSSR nie dochodziły do głosu i zgadzam się z opinią, że byłyby one dla niego bardzo szkodliwe. Gdy jednak Autor listu od obaw przechodzi do ciężkich zarzutów i twierdzi, że wspomniany tekst, który go skłonił do napisania listu, świadczy, „że duchowieństwo polskie walczy o tę polskość Kościoła równie gorliwie jak o sprawy wiary", to chciałbym go zapytać, na jakiej podstawie to czyni, na czym polega ta walka o polskość i jakie ma jej dowody. Bez ich podania są one bezpodstawne i budzą tylko szkodliwe podejrzenia.

Znając od z górą dwudziestu lat, z kilkudziesięciu dłuższych i krótszych pobytów duszpasterskich, wiele parafii na Białorusi i Ukrainie za Zbruczem uważam, że opinia p. Pospieszalskiego jest daleka od prawdy, a przez to bardzo krzywdząca i szkodliwa. Duszpasterstwo w języku polskim w ZSSR, a szczególnie na Białorusi i Ukrainie istnieje dlatego, że oczekuje go, czy wprost domaga się go ludność katolicka, uważająca się za ludność polską. Przywiązanie do tego języka można trochę lepiej zrozumieć, gdy się wie, że w tym języku przekazywana była wiara od niepamiętnych czasów, zwłaszcza w okresie najcięższych prześladowań religijnych pod rządami komunistów.

Jeśli można niekiedy mówić o narzucaniu wiernym w kościele języka, którego oni sobie tam nie życzą, to dotyczy to nie polskiego, lecz białoruskiego, ukraińskiego czy rosyjskiego, którymi to językami nieliczni zresztą księża usiłują czasem zastąpić język polski w oficjalnej liturgii, na zasadzie wyłączności. Chciałbym podkreślić słowa „oficjalna liturgia", gdyż używanie wspomnianych języków w takich sytuacjach jak kontakty duszpasterskie i udzielanie sakramentów, wierni przyjmują jako rzecz naturalną, czy wprost konieczną. Jest to zresztą dawna praktyka. Zupełnie nowym bezprecedensowym i bardzo częstym już zjawiskiem (w zależności od terenu i wiernych) jest równoległe, lecz nie wyłączne, korzystanie z wymienionych wyżej języków w liturgii mszy św. Ta równoległość języków jest z uznaniem przyjmowana przez wszystkich.

Mogło się zdarzyć, że jakiś ksiądz z Polski, nie znający jeszcze miejscowych stosunków, położył nacisk na język polski tam, gdzie zdaniem wiernych jest to niekonieczne (np. w kontaktach duszpasterskich) i zraził sobie tym kogoś z parafian. Takie lub inne wypadki, jeśli się zdarzały, były czymś wyjątkowym. Regułą jest postawa przeciwna. Jak pokazują doświadczenia ostatnich 2-3 lat, największe zmiany na korzyść języka rosyjskiego, białoruskiego i ukraińskiego w kościołach wprowadzają młodzi księża, którzy przyjechali z Polski, nie wyczuwający różnych historycznych i psychologicznych uwarunkowań, jakie w tej dziedzinie istnieją wśród wiernych.

Alarmujące i bardzo krzywdzące zarzuty p. Pospieszalskiego co do polonizacyjnych dążeń Kościoła katol. w ZSSR oparte są zapewne na bardzo jednostronnych, czy stronniczych informacjach oraz na zupełnym braku znajomości z autopsji poruszanych zagadnień. Obecnie, gdy wyjazdy do ZSSR nie są już takim problemem jak niegdyś, zdobycie tego rodzaju znajomości jest możliwe, a dla zainteresowanego poważnie powyższą problematyką obowiązkowe.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Roman DZWONKOWSKI, SAC

●

Ostatnio ukazało się w *Kulturze* kilka interesujących artykułów Czesława Miłosza. Jeden z nich, w numerze marcowym, dotyczył twórczości Rodziewiczówny, a w szczególności przedstawionych przez nią stosunków między Żydami i kresowym ziemiaństwem. Miłosz słusznie podkreślał negatywny stosunek Rodziewiczówny do Żydów, co występuje wyraźnie w jej powieściach, ale chyba niesłusznie zasugerował, że podobne nastawienie było na kresach powszechne.

Wydaje mi się, że nowoczesne wówczas prądy nacjonalistyczne i towarzyszące im nastawienie antysemickie rozprzestrzeniały się na początku tego wieku dość szybko w Polsce zachodniej i centralnej i stawały się popularne wśród tamtejszych ziemian. Natomiast na kresach północno-wschodnich, czyli na terenach polsko-litewsko-białoruskich, czyniły one jedynie powolne postępy.

Za mojej młodości w latach 30-tych, kiedy Miłosz był studentem w Wilnie, inteligencja wileńska w mieście (a szczególnie młodzież) była już w znacznej większości nacjonalistyczna i niechętna Żydom. Natomiast ziemiaństwo na terenach W.X. Litewskiego pozostawało nadal w większości wypadków wierne dawnym tradycjom współistnienia i z małymi, chociaż wzrastającymi wyjątkami (jak np. Rodziewiczówna) nie wykazywało tendencji antysemickich.

W latach 30-tych Żydzi odgrywali w dalszym ciągu poważną rolę. Do nich bowiem należał handel, zarówno hurtowy jak detaliczny, z wyjątkiem handlu świniami, który należał do chrześcijan pochodzenia chłopskiego. Las, drzewo, zboże, kartofle, bydło, owce, konie, owoce, czyli ogromna większość tego, co ziemianin miał na zbyciu, jak również

większość tego co ziemianin nabywał (tkaniny, uprząż, żelazo, mydło, sól itd.) szła przez ręce żydowskie. Było to ustalone wiekową tradycją. Owszem, ziemianie brali czynny udział w organizowaniu kooperatyw i spółdzielni (szczególnie mleczarskich), jak również banków, w których byli udziałowcami, jednak nie miało to podłoża antysemickiego, a było podyktowane w pierwszym rzędzie chęcią zwiększenia własnych dochodów, co stało się konieczne w związku z o wiele wyższym opodatkowaniem ziemian w Polsce niepodległej, niż uprzednio za czasów carskich. Pomimo tych posunięć Żyd pozostawał w dalszym ciągu główną osobą, z którą załatwiało się sprawy handlowe. Nastawienie takie mieli nie tylko ziemianie, ale również chłopi, którzy chętniej handlowali z Żydem (tradycyjnym handlarzem), niż z innym chłopem.

Zresztą Żyd Żydowi nie był równy. Jedni byli solidnymi kupcami, cieszącymi się zaufaniem, z innymi unikało się jakichkolwiek interesów.

Czesław Miłosz wyraża opinię, że stosunki z Żydami przedstawione przez Rodziewiczównę są „bliższe wyobrażeniom powszechnie przyjętym" (str. 14) niż postać szlachetnego Jankiela w „Panu Tadeuszu". Zgodziłbym się z tym, że Jankiel jest zbyt wyidealizowany, ale pomimo że dzieci straszono niekiedy Żydami (chociaż częściej Cyganami), to jednak przypuszczam, że ogromna większość kresowych ziemian w okresie niepodległości nie miała tak silnych tendencji do potępiania Żydów jak Rodziewiczówna.

Anegdoty często świadczą o opiniach i nastrojach. Za mojej młodości opowiadano, jak po powstaniu styczniowym oskarżono na kresach Żyda o dostarczanie powstańcom prochu (ma się rozumieć za pieniądze i na wagę). W czasie rozprawy sądowej Żyd na swoje usprawiedliwienie tłumaczył się następująco:

— Trochu proch, a trochu mak. Trochu — niet, a trochu — tak.

Czyli według anegdoty Żyd dostarczał proch (z makiem czy bez maku) wspomagając przez to powstanie, w którym ziemiaństwo kresowe brało czynny udział.

Powstaje pytanie, co przyczyniło się do tego, że Rodziewiczówna tak szybko uległa nastawieniu przeciwko Żydom, nadchodzącemu wówczas z zachodu. Możliwe, że losy jej były podobne do losów ziemianina mińskiego Michała Pawlikowskiego, który uciekł przed bolszewikami do krewnych, ziemian w Kieleckiem. Tam, jak pisze w swych pamiętnikach, uległ nacjonalistycznym wpływom tych krewnych. Jednak później, gdy po pokonaniu Czerwonej Armii przyjechał do Wilna, gdzie został urzędnikiem wojewódzkim za czasów wojewody (pochodzącego również z Mińszczyzny) Władysława Raczkiewicza, powrócił do istniejących jeszcze wówczas w Wilnie tradycyjnych poglądów i porzucił wpływy kieleckie. Możliwe, że Rodziewiczówna również uciekła przed bolszewikami do swych krewnych, ziemian pod Skierniewicami (*vide* Miłosz, str. 16) i tam „nabawiła się" antysemityzmu, który (nie tak jak Pawlikowski) wyznawała w dalszym ciągu, powróciwszy na swoje Polesie po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej.

Londyn, sierpień 1991 r.

Z.S. SIEMASZKO

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M.K., Kanada; J.J. w Kraju; M.W., Francja. — **Z wierszy nie skorzystamy.**

M.B. Australia. — **Czy to nie lekka przesada nazywać przydeptanie karalucha w kuchni „raną zadaną wieczności"?**

E.D., Austria. — **Byłoby niesprawiedliwością powiedzieć, że opowiadanie Pani *Żywot człowieczy* nie posiada żadnej wartości, ale jest słabe, napisane niewprawną ręką.**

I.F., USA. — **Opowiadanie *Ska* wydaje nam się ćwiczeniem z dziedziny piętrzenia absurdów. Może udanym, nie znamy się na tym.**

Z.Z. w Kraju. — **Książka Pana *O niepewności* jest niewątpliwie bardzo interesująca i pobudzająca do myślenia, zgadzamy się całkowicie z opinią Małgorzaty Szpakowskiej. Pasuje jak ulał do PIW-u czy do PWN. Pisze Pan po kilku odmowach wydawnictw w Kraju: „Kryzys wydawniczy u nas sprawił, że teksty nie gwarantujące szybkiego zysku są w opałach". Ostry kryzys wydawniczy panuje teraz także u nas, czyli w polskich wydawnictwach za granicą. Wydanie przez nas takiej książki jak *O niepewności*, choć cennej, nie wchodzi w ogóle w grę. Proszę wybaczyć, że odpowiedź na Pana list ogłaszamy publicznie. Robimy to, by ostrzec Autorów w Kraju, że kierowanie do nas obecnie manuskryptów *książek* jest niestety — z punktu widzenia wydawniczego — bezcelowe.**

J.B.-Cz. w Kraju. — **Pani książka *Szczeliny istnienia* jest zbiorem refleksji i obserwacji filozoficznych, subtelnych, choć miejscami może zbyt przepoetyzowanych. Niekiedy trafiają się truizmy w rodzaju „Trzeba rodzić się, żeby istnieć". W każdym razie wydawcą *Szczelin istnienia* mogłaby być tylko Biblioteka Filozoficzna.**

G.K. w Kraju. — **Pisze Pan w liście do Redaktora: „Kiedy zaczynałem pisać tę powieść, w perspektywie miałem wysłanie maszynopisu do jednego tylko, Pańskiego wydawnictwa. W międzyczasie w Polsce wiele się zmieniło, kopię *Kupca gwiazd* dostaną zatem także wydawcy krajowi". Postąpił Pan słusznie, bo my nie mielibyśmy możliwości wydania Pana powieści. Nie zwracamy rękopisów nie zamówionych, od lat uprzedzamy o tym w notce poprzedzającej Odpowiedzi Redakcji.**

R.S., Anglia — **Okropnie nudne jest to przymierzanie się do trzech kobiet i strasznie długo trwa. Co do dziennika, to pisze Pan sam: „Ten dziennik jest dla moich bliskich... Nie znaczy to, że dziennik ten nie może być czytany przez osoby mi obce". Rzeczywiście może, ale bez większego zainteresowania.**

H.R., USA. — **Słusznie na zakończenie swego artykułu o „kapitalizmie z ludzką twarzą" i „lewicowych marzycielach" powołuje się Pan na artykuł Karola Modzelewskiego *Solidarność Pracy*, drukowany w *Kulturze*. Jest to bez wątpienia poważna próba socjaldemokratycznego złagodzenia kapitalizmu „z nieludzką twarzą". I ma Pan rację, że zyskałaby na uważniejszym potraktowaniu problemów rolnictwa.**

E.Z. z Kraju. — **O wydaniu Pana krótkiej powieści *Igrzyska* nie ma mowy (m.in. z powodów, które wyjaśniliśmy wyżej), ale jeżeli spróbuje Pan znaleźć wydawcę w Kraju, to radzimy powieść przepracować; w obecnej postaci jest zbyt rozgadana i rozbiegana.**

T.W. w Kraju. — **Pani praca doktorska o „koncepcjach literackich w poezji realizmu socjalistycznego w Polsce w latach 1949–1955" odznacza się obiektywizmem, uczciwością, skrupulatnością. Ale kto taką książkę mógłby dzisiaj wydać? Pomijając nasze wydawnictwo, które nie może być w ogóle brane w rachubę, chyba tylko jakieś wydawnictwo uniwersyteckie. I to w bardzo niewielkiej ilości egzemplarzy z dwóch względów: po pierwsze, z uwagi na koszty; po drugie, w obawie że poeci omawiani przez Panią w poprzednim, stalinowskim wcieleniu (dziś nierzadko luminarze nowej Polski) mogliby zdemolować lokal wydawnictwa i poturbować autorkę książki.**

E.B., Kanada. — **Napisał Pan książkę w czterech tomach o strajku więźniów w obozach Workuty *W piekle Czerwonego Imperium* (wydaną w skrócie po angielsku). Przysłał nam Pan jako „próbkę" kilkanaście rozdziałów (czy, jak Pan to nazywa, „opisów"), wyrwanych na chybił trafił ze wszystkich czterech tomów. Te fragmenty nie mogą w żadnym razie dać pojęcia o całości. Ale nawet gdybyśmy otrzymali całość, i gdyby ta całość została pozytywnie oceniona przez lektora, nie moglibyśmy myśleć o jej wydaniu. Wydanie jej w Polsce też jest wątpliwe, gdyż na krajowym rynku wydawniczym nastąpiło nasycenie tą tematyką. W każdym razie, jeśli Pan zamierza spróbować w wydawnictwach krajowych, musi Pan przygotować maszynopis pełnego i uporządkowanego tekstu książki.**

A.W., Kanada. — **Wspomnienia z ubeckiego więzienia, napisane dość żywo, uderzająco dokładne, ale co z tego? „Wiem — przyznaje Pan — że na rynku polskim ta tematyka już się przejadła". Nawet w sytuacji polskiego rozkwitu wydawniczego (a przeżywamy jego odwrotność) Pana *Drzwi bez klamki* miałyby niewielkie szanse ujrzenia światła dziennego w druku.**

P.J.D., Kanada. — ***Pomruk* nie nadaje się do *Kultury*.**

P.S. w Kraju. — **W artykule *Grenada się broni* ma Pan dużo racji, ale ciągłe krążenie wokół „hańby domowej" staje się już doprawdy nudnawe. *Dziennik lat wojny* zawiera trochę ciekawych spostrzeżeń i refleksji, jest jednak zanadto przeładowany cytatami z innych autorów.**

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4e trimestre 1991.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 4486-1991

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1992		
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 12,00	$A. 70,00	$A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 100,00	Fl h 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	$can. 12,00	$can. 65,00	$can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 43 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$US 10,00	$US 55,00	$US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128. Cena F. 70,00.

●

TOM 466 — JAKUB KARPIŃSKI (MAREK TARNIEWSKI)

DZIWNA WOJNA

(Grudzień 1981)

Szósta książka autora w Bibliotece „Kultury" należy do serii prac o przełomowych okresach w powojennej historii Polski, w której poprzednio ukazały się „Pochodzenie systemu", „Porcja wolności", „Krótkie spięcie", „Płonie komitet".

Książka mówi o *dziwnej wojnie* z grudnia 1981 roku. Pokazano ją na tle wydarzeń z początku lat osiemdziesiątych. Rozdziały: *„Solidarność" przed stanem wojennym — główne punkty historii, 1981-1982: Pierwszy rok stanu wojennego. 1983-1984: Policja i opozycja.*

Str. 260. Cena F. 80,00.

●

TOM 469 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

zawiera opracowania: Marek Zieliński: *Lekcja historii;* Bogusław Leitgeber: *Europejskie tło narodzin Akademii Krakowskiej*; Bernadeta Tendyra: *Władysław Sikorski w oczach Brytyjczyków;* Leszek Brzoza: *Piłsudczycy na emigracji;* P.R. Magocsi: *Ukraińcy Galicji pod rządami Habsburgów i Sowietów;* Adam Ciołkosz: *Raport z okupowanej Polski* (opr. Andrzej Friszke); Jerzy Polaczek: *Żołnierze AK w obozach Maryjskiej ASSR;* Józef Mirski: *Kościół katolicki na Białorusi;* Tadeusz Wyrwa: *Losy wywiadu polskiego we Francji;* Benedykt Heydenkorn: *Bractwo ukraińskich mesjanistów;* Andrzej Paczkowski: *„Izolacja" Prymasa Wyszyńskiego;* Witold Ptasznik: *Legia Oficerska. Z dziejów zapomnianego oddziału Wojska Polskiego na Bliskim Wschodzie;* Hubert Łaszkiewicz: *Polacy w Brześciu* oraz bogaty dział LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 90,00.

I.N. 93400 St-Ouen - 4486-1991

Cena 50 F